

**BIBLIOTEKA
PRZEKŁADÓW**

ARTHUR KOESTLER

KRUCJATA BEZ KRZYŻA

(ARRIVAL AND DEPARTURE)

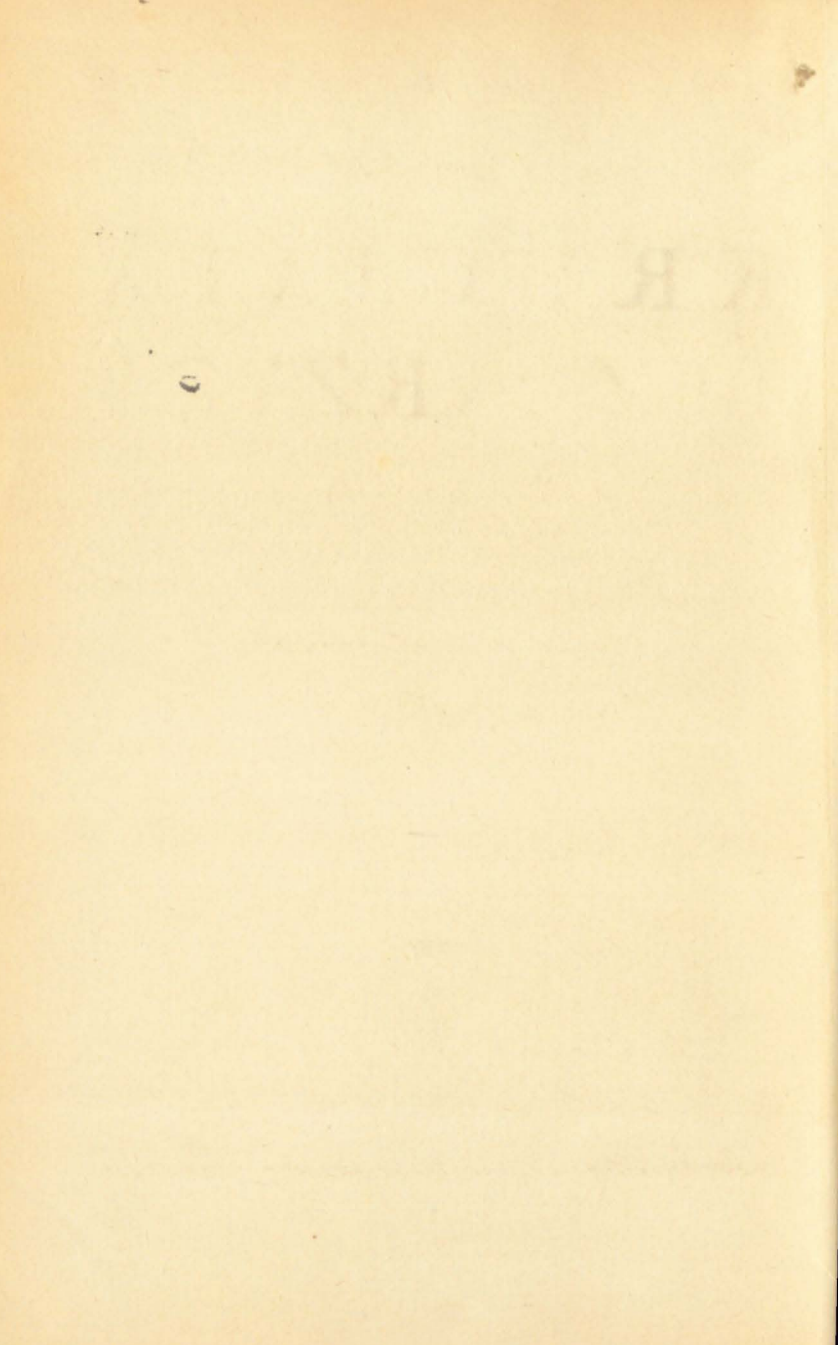
INSTYTUT

LITERACKI



207806 chr.

KRUCJATA BEZ KRZYŻA



ARTHUR KOESTLER

KRUCJATA BEZ KRZYŻA

(ARRIVAL AND DEPARTURE)

Z upoważnienia autora przełożył z angielskiego
GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI



INSTYTUT LITERACKI
RZYM

1947

TYTUŁ ORYGINALU ANGIELSKIEGO
"ARRIVAL AND DEPARTURE" (1943)



NA WYDANIU ANGIELSKIM WIDNIEJE DEDYKACJA
TO MARIO



NA WYDANIU FRANCUSKIM;
À MANES SPERBER



1207.806



Chr.

PRINTED IN ITALY

PRZYJAZD

Co mówisz? Że przegrałem? Ach, wiem o tym,
wiem.

Nigdy nie walczy się z myślą o zwycięstwie.

Nie, nie. Daremna walka ileż jest piękniejsza.

Wiem, że mnie w końcu rzucisz na kolana;

Lecz nie dbam o to: walczę! walczę! walczę!

Rostand: „*Cyrano de Bergerac*”.

I.

— Już czas — pomyślał młody człowiek i podawszy całe ciało do przodu ruchem tak niezgrabnym, że wyglądał bardziej na utratę równowagi niż na przemysłany akt — skoczył.

Odległość pokładu od ciemnej powierzchni wody wynosiła około szesnastu stóp. Obliczył więc, powodowany ciekawością i zamięłowaniem do szczegółów, że skok zajmie mu półtora sekundy — ale trwał jak gdyby krócej. Jedyłą rzeczą, o jakiej mógł pomyśleć przytomnie, kiedy z kolanami przyciśniętymi do brzucha leciał w dół było zdanie „już czas”, powtórzone dwukrotnie. Dopiero wówczas twarda powierzchnia wody uderzyła go najpierw w stopy, a potem — znacznie boleśniej —

pomiędzy rozkraczone uda. O twarz zaczepiło zawiniątko z nieprzemakalnym ubraniem, które przywiązał sobie sznurkiem dookoła szyi: usłyszał szum ciemnej wody kłębiącej się ponad uszami, lyknął trochę gorzkiej piany, zmieszanej z krwią z wargi, rozciętej przez tłumoczek, wydało mu się, że tonie coraz głębiej i głębiej, wspomniiał światło w okienku, które mijał spadając z pokładu i wypłynął wreszcie na powierzchnię, w odległości około trzech metrów od czarnego, nieruchomego kadłuba okrętu.

Niedaleko w przodzie łańcuch kotwicy wynurzał się z wody i wznosił się, naprężony i prawie pionowy, ku okrągłemu otworowi w ścianie okrętu, wysoko ponad jego głowę. Podpłynął paroma ostrożnymi ruchami, uchwycił się linki i słuchał. Na okręcie panował spokój. Wybrzeże w zasięgu około ćwierci mili trwało również w ciszy, oświetlone rzędem latarni elektrycznych. Latarnie, na przemian z palmami wytyczały prostą drogę o gładkiej, połyskującej nawierzchni, która biegła równoległe do plaży. Palmy były wysokie i wyglądały ze swoimi cienkimi, z lekka wygiętymi gałęziami, jak ogromne, piórzaste miotły, wetknięte w ziemię w równych od siebie odległościach. Po jednej stronie ulicy stał samochód o zaciemnionych światłach: od czasu do czasu mijaly go łagodnie i bezgłośnie inne wozy o jaśniejących światłach czołowych. Jedynym przejawem miasta, położonego o parę mil dalej, był storczyk luny, iskrzący się na niebie.

Trzymając się łańcucha, młody człowiek przesunął wolną ręką zawiniątko na plecy i rozejrzał się za wygodnym schronieniem na wybrzeżu. W małej zatoczce, w odległości paruset metrów, dostrzegł ciemne sylwetki kabin kąpielowych. Wypuścił łańcuch i powolnymi zamachami zaczął płynąć w kierunku brzegu kraju neutralnego. Działo się to o godzinie trzeciej nad ranem, w bezksiężycową noc, wiosną 1941 roku.

W odległości trzydziestu metrów od brzegu nogi jego dotknęły dna. Stanął więc: woda sięgała mu akurat do szyi. Obejrzał się i zobaczył nieruchomy okręt na tle gwiazd. Blotniste dno podniosło się nagle. Poruszył się ostrożnie pochyłony, unikając najmniejszego plusku: po chwili musiał się już czołgać na rękach i kolanach. Potem zatrzymał się, nasłuchując.

Zatoka była cicha i bezludna. Kabiny kąpielowe stały rzędem jak schrony betonowe i wyglądały dziwnie martwo. W pobliżu wody dzieci pobudowały skomplikowane zamki z piasku: fala podmyła je widać, bo przypominały teraz zamokłe kretowiska. W jednym z nich pozostała jeszcze mała flaga, wetknięta ukośnie, o drzewcu nie wiele grubszym od wykałaczkii. Jedynym dźwiękiem były tu westchnienia fal morskich, gdy wymiotłszy przestrzeń pomiędzy suchym piaskiem i morzem odpływały z powrotem.

Ruszył więc w kierunku brzegu i choć w pobliżu nie było nikogo, kto by go mógł zobaczyć, wbiegł instynktownie skulony do najbliższej kabiny.

Była to zwykła, kwadratowa budka zbita z surowych desek, bez dachu, a czwartą ścianę tworzyła zasłona z jasnego perkaliku w czerwone i niebieskie paski. W ścianie naprzeciwko zasłony tkwiła deseczka, służąca jako ławka: z prawej strony półka z hakami, a po lewej lustro z wytłoczoną złotymi literami reklamą pasty do zębów. Piasek przesypywał się przez szczeliny w obudowaniu i czuć było zapach suchego drzewa i psujących się muszli. Młody człowiek zasunął zasłonę, zdjął zawiniątko z szyi i położył je na półce. Potem ściągnął mokrą koszulę, spodnie, kalesony i skarpetki i rozwiesił wszystko na gwoździach. Wydobył wreszcie z tobołka chusteczkę i wytarł się możliwie dokładnie. Noc była ciepła, a powietrze w kabinie duszne od parowania

włóknistych desek, które wyziewały teraz spiekotę całego dnia. Wyciągnął z tobołka zegarek i przyłożył go do ucha: tykał miarowo. Wyciągnął tabliczkę czekolady i suchara i schrupał je wolno, stojąc nago w wąskiej kabinie i nadstawiając ciągle uszu na każdy podejrzany szmer z zewnątrz. Ale noc była cicha, bez najmniejszego nawet podmuchu wiatru. Namacał więc w zawiniątku zapalniczkę i nieco drżącą ręką zapalił papierosa.

Zaciągnąwszy się głęboko dwa, trzy razy znowu wrócił do dzieła. Złożył marynarkę w kształt poduszki, ustawił równo obcasami obok siebie buty na podłodze, a pozostałe mienie: — portfel, scyzoryk i ołówek — rozmieszczył na półce. Dopiero wtedy wypróbował ławkę: była zupełnie dobra, jeśli kładąc się na plecach podciągał wysoko kolana, jak w za krótkiej wannie. Obciągnął więc nieprzemakalne ubranie na całym ciele i dopełnił cowieczornego rytuału dotykając palcem wskazującym trzech odparzeń: na prawej pięcie, na udzie, i w załomie kolana — a wszystko to, żeby się uchronić od Złego Snu: potem skończył papierosa. Za każdym zaciągnięciem się ogieniek rozżarzał się na sekundę, a w lustrze pojawiało się jego zadymione odbicie z głębokimi cieniami w zapadlinach oczu.

Wyrzucił papierosa. Gwiazdy migotały nad nim jaśniej i żywiej niż kiedykolwiek. Leżał spokojnie na plecach i czuł jak rozluźniają mu się stopniowo mięśnie i ścięgna. Uszy nie łowiły już dźwięku zbliżających się kroków: myśl ukolysała się hipnotycznym rytmem nadchodzącej i odpływającej fali, tego powolnego bicia serca przestrzeni: zamknął oczy i poraz pierwszy od czasów dzieciństwa zapłakał. Poczuł ciepłą wilgoć, ciekącą żłobkami wzdłuż nosa o złamanym siodełku i wsączałą się pomiędzy wargami i pniami wybitych zębów do jego storturowanych ust.

Słońce nie weszło jeszcze nad daszkiem kabiny, gdy powietrze zaparowało ciepłem. Obudziły go dreszcze, a na całe ciało, obciążnięte impregnowanym ubraniem, wystąpił pot. Zły Sen nie wrócił, ale tuż przed obudzeniem przyśniło mu się, że siedzi ciągle w ciemnym i dusznym ukryciu pod pokładem „Speranzy”, pomiędzy zwojami smolistych lin, spiętrzonymi skrzyniami ryżu i kawy i pakami suszonych rodzynek. Podpokładzie pachniało wszystkimi przyprawami sklepu kolonialnego, a jego wysokość była równie przytłaczająca jak ogrom katedry w chwili, gdy zakrystian gasi światła i zapiera wrota: przez piętnaście niczym nie różniących się nocy i dni kulił się na tych skrzyniach, wdychał ich zapach, wymiotował i wsłuchiwał się to w stukot maszyn, to w trzeszczenie i postękiwanie ładunku okrętowego; próbował także obliczyć położenie okrętu i czekał na chwilę gdy staną maszyny, kotwica pójdzie w dół, a jego los zadecyduje się w ciągu paru krótkich chwil. A teraz było już po wszystkim. Skrawek nieba nad kabiną miał kolor tak płomienistego błękitu, jakiego nie widział nigdy w życiu: i tym razem nie był to już sen.

Zeskoczył z ławki i zapominając o ostrożności, szarpnął zasłonę. Plaża jaśniała w słońcu, a rząd kabin z pasiastymi zasłonami wyglądał jaskrawo i wesoło. Była godzina ósma i jak dotychczas nie było w nich jeszcze nikogo.

Zbiegł w dół plaży i pobrodził, rozbryzgując płytką wodę. Gdyby go zobaczyli jacyś ludzie, pomyśleliby tylko że jest wczesnym kąpielowiczem, jedyną bowiem rzeczą jaką się wyróżniał był brak kostiumu kąpielowego. Popłynął równolegle do brzegu, unikając kierunku, w którym „Speranza” zarzuciła kotwicę w oczekiwaniu na przyływ zabierający do portu — jedynego czarnego i wrogiego punkciku na całym tym promieni-

stym tle. Przewrócił się na wznak i zaplótłszy ręce pod szyją, dał się unosić morzu. Prąd obrócił go szybko nogami w kierunku słońca, tak że musiał przymknąć oczy: ale ostry blask rozżarzył jego powieki do przezroczystej różowości. Poczuł, że nowa fala wzruszenia wzbiera w nim jak ostatniej nocy. Wybucho jak łkanie w pobliżu przepony, rośnie, rośnie i podpywa aż do krtani: ale tym razem powstrzymał ją. Przekręcił się na brzuch koziółkując w wodzie i popłynął z powrotem.

Kiedy biegł po mokrym piasku, obok dziecinnych kretowisk dostrzegł w płytkiej kałuży, pozostawionej przez odpływ, miniaturową flagę, którą zauważył jeszcze wczoraj na jednym z walących się zamków. Podniósł ją i zorientował się od razu co to za flaga. Rozejrzał się pośpiesznie dokoła i umieściwszy cienkie drzewce pomiędzy kciukiem i palcem wskazującym — tak jakby chodziło o jakiś rzadki i kruchy okaz chrząszcza — wbiegł do kabiny.

Ubranie na gwoździach było suche. Ubierając się spoglądał na flagę, którą wetknął za ramę lustra nad ogłoszeniem pasty do zębów. Tam skąd przyszedł, posiadanie takiej flagi oznaczało zdradę stanu i śmierć: tu dzieci zatykały ją na szczytach swych zamków. Mogłyby oczywiście uczynić tak i z każdą inną flagą, ale było niemniej rzeczą fantastyczną mieć teraz właśnie tę flagę przed oczyma.

Bawiło go ubieranie się znowu jak kiedyś przed lustrem. Wydobył kołnierzyk z wewnętrznej kieszeni kurtki, i zawiązał starannie krawat. Ogółem biorąc nie wyglądał podejrzanie. Buty miał porządne, spodnie wprawdzie zmięte, ale dla tego gatunku ciemnej flaneli był to drobiazg bez znaczenia — a na dnie „Speranzy” leżał przecież w kalesonach, ażeby ich nie powalać. Kurtka była znoszona, koszula wytarta pod pachami i raczej wyblakła, ale czysty kołnierzyk nadrabiał wszystko. Inna rzecz z twarzą: twarz była bardzo podejrzana

i policjant, który by ją zobaczył raz jeden tylko, znalazłby już jej rysopis na pamięć:

Kształt: długi, owalny.

Włosy: rude, twarde.

Czoło: wysokie, pągowate.

Oczy: duże, brązowe.

Nos: złamany mostek, poza tym normalny.

Usta: wyrazista górna warga zazwyczaj uniesiona, odsłonięte dąsłło i wystające zęby, dwóch brak na przodzie.

Wiek: dwadzieścia dwa lata.

Teraz był gotów do wyjścia. Wpakował wszystkie drobiazgi do kieszeni zapalił papierosa i po chwili wahania, wetknął flagę do butonierki. Wyglądała zupełnie naturalnie. Jeżeli dzieciom pozwalano powiewać nią na szczytach zamków, to nie groziło to widać niczym. Był przecież w Neutralii, w kraju bez zaciemnienia.

4.

Szeroka, bita droga do miasta prowadziła pomiędzy monotonnymi rzędami palm i latarni. Pierwszym tubylcem, którego spojrzenie uchwycił, był stary czyściciel ulic, zasuszony zabytek z wieku panowania koni, skrętnie zmiatający łajno do swojego wiadra. Kiedy podszedł bliżej, poczuł nagle ukłucie lęku, ale było już za późno, aby ukryć flagę. Gdy się prawie zrównali zamiatacz podniósł głowę, dostrzegł flagę, uśmiechnął się i dotknął czapki. Młody człowiek odwzajemnił ten uśmiech, odsłaniając w zakłopotaniu zęby. Stary przypuszczał najwidoczniej, że jest on upoważniony do noszenia tej flagi.

Ruch uliczny zagęścił się teraz: pojawiły się zaprzężone w muły wózki, którymi wieśniacy wieźli do miasta owoce i egzotycznie wyglądające jarzyny: strumieniem popłynęły auta pomalowane jaskrawo na różowo.

żółto i kremowo. Na zakręcie zobaczył nagle policjanta. Policjant w białym mundurze i w białym hełmie, z czarnymi wąsikami i w czarnych butach stał pod parasolem na drewnianym podwyższeniu i regulował ruch uliczny gestami mistrza baletowego: pośrodku ulicy klęczał mały chłopiec i pucował zapalczywie jego buty. Młody człowiek minął go, uspokojony.

Dotarł do przedmieścia i szedł dalej krętymi, wąskimi uliczkami, pomiędzy straganami, obwieszonymi pomarańczami, bananami i winogronami. Schnąca bielizna zwisała z żelaznych poręczy balkonów i okien jak choraągwie w chińskim mieście. Upał, owoce i rozwieszona bielizna damska połączyły się, aby wywołać w nim proste i dawno oczekiwane uczucie tęsknoty. Odkrył w swoim kroku elastyczność, jakiej nie pamiętał od długiego już czasu. Odparzenia na nodze, choć wyleczone, wpłynęły w pewien sposób na jego chód: od lat chodził po ulicach ze swoimi bliźniami, jak z ukrytymi stygmatami. Teraz, mijając sklep krawiecki z lustrami w oknie odkrył utracony obraz siebie samego: chudy student sunie naprzód strusimi susami wyrośniętego i niezgrabnego korpusu, rzuca od czasu do czasu spojrzenia na przechodzące kobiety i opuszcza w popłochu oczy, gdy któraś przychwyci wreszcie jego wzrok. Parę kroków dalej znalazł kantor wymiany. Oszklone drzwi były otwarte. Przeszedł na drugą stronę ulicy i odczekał kilka minut, przyglądając się jakiemuś klientowi, który wymieniał właśnie zagraniczny banknot: widział, że nie zażądano od niego żadnych papierów ani paszportu. Uspokojony wszedł do kantoru i położył całą zawartość portfela na ladzie. Urzędnik o czarnych polyskujących włosach odliczył mu pewną ilość miejscowych, malowniczych banknotów. Były na nich galopujące konie i antycznie udrapowane dziewczęta o surowym wejrzeniu. Obliczył, że ta kwota wystarczy mu na dwa tygodnie: a w przeciągu dwóch tygodni prze-

cież załatwi wszystkie swoje sprawy w Neutralii i będzie już daleko stąd, za morzem, w porządnym mundurze i w zawadiacko przekrzywionej furażerze. Po skończonej tranzakcji urzędnik zaproponował mu bilety na loterię z jeszcze większą ilością koni i dziwnie ubranych dziewcząt. Wybrał niebieski z numerem kończącym się na siódemkę i pogonił na poszukiwanie śniadania. Dopiero potem miał zamiar iść do konsulatu.

Zbliżał się już do centrum miasta. Ulice zamieniły się w aleje, po obu stronach ciągnęły się rzędem znacznie okazalsze palmy, a białe, sześciennie bloki zabudowań odbijały rażące i ostre światło słońca. Sklepy nabrały cech prowincjonalnego zbytku i zawierały przede wszystkim jedwabne koszule męskie i słomkowe kapelusze. Cudaczne tramwaje, trąbiące jak samochody, z brzękiem sunęły na szynach odgiętych przez żar słońca, a zwinne, pomalowane na kolor śmietankowych lodów, taksówki przeskakiwały we wszystkich kierunkach przez szyny, więznąc w nich czasem oponami jak wózki na torze wyścigowym w Luna - Parku. Dobrął do szerokiego, otwartego placu z fontanną po środku. Plac otoczony był kawiarniami, a na chodnikach tłoczyły się stoliki i fotele trzcinowe, chronione od słońca jasnymi daszkami z płótna żaglowego. Większość stolików zajmowali mężczyźni, śniadolicy mieszkańcy Neutralii w muszkach i z wywatowanymi ramionami, i popijali małymi łykami kawę z miniaturowych filiżaneczek: czasem zapalali papierosy woskowymi zapalkami, podobnymi do fajerwerków, albo wygrzewali się tylko na słońcu w rozkosznym odrętwieniu, jak wielkie jaszczurki przyćpione do skały. Część stolików obsiadły mieszane grupy mężczyzn i kobiet, najwidoczniej cudzoziemców, którzy zatrzymali się tu, uciekając z krajów ogarniętych wojną. Rozmawiali przyciszonymi głosami, a przez ich twarze przebiegało niekiedy nerwowe drganie, gdy



skupiwszy głowy nad stolikami, tkwili tak niby kruki w czas burzy.

Młody człowiek ominął dwie kawiarnie i usiadł dopiero na tarasie trzeciej, gdzie stoliki miały niebieskie, błyszczące blaty a fotele wygodne obicia ze skóry. Gdy tylko usiadł jeden z małych oberwańców, od których roilo się między stolikami jak od karaluchów, zaczął czyścić jego buty. Spróbował cofnąć nogę, ale chłopiec uchwycił drugą i spokojnie wrócił do swego zajęcia: młody człowiek musiał wreszcie ustąpić kiedy, z głupim raczej uczuciem, zaczął tłumaczyć kelnerowi, że chce kawy ze śmietanką, dwa jajka na miękko, szynkę, masło, miód i owoce. Kelner, starszy ugrzeczniony człowiek, który zwracał się doń po francusku, przejął się tak wagą zamówienia, że zapisał wszystko w małym notesie. Kiedy odszedł, młody człowiek cisnął czyścibutowi jakąś monetę, ale była ona widać zbyt wysoka, bo chłopiec złożył mu trzy uroczyste ukłony i uskoczył w bok, chichocząc.

Młody człowiek obrzucił potajemnym spojrzeniem sąsiedni stół, odległy zaledwie o parę kroków i zajęty przez cudzoziemców — szczupłego mężczyznę w średnim wieku, starszą kobietę o zmęczonym wyglądzie i młodą kobietę, lub też raczej dziewczynę o przenikliwym wzroku. Obserwowali jego ceregiele z kelnerem i pucybutem i starsza pani, prawdopodobnie Francuzka, rzuciła mu przyjazny uśmiech.

— Uciekł pan pewnie stamtąd? — Słowem „stamtąd” określało się najwidoczniej każdy kraj podbity przez wroga: obejmowało ono cały kontynent.

Przytaknął, odczuwając coś w rodzaju wdzięczności dla francuskiej guwernantki, którą rodzice utrzymywali dlań w dzieciństwie. Spojrzał na młodą panią czy raczej pannę, i doszedł do wniosku, że jest panną. Ssała oranżadę przez słomkę, wzrok utkwivszy gdzieś ponad jej głowę.

— Mieszka pani tu już od dawna? — odwzajemnił pytanie, zwracając się raczej do dziewczyny, która siedziała naprzeciwko niego. Podniosła oczy na chwilę, ale odpowiedziała starsza pani: z odpowiedzi wynikało, że obie, i ona i dziewczyna, której na imię było Odette, czekają od trzech miesięcy na wizy amerykańskie. Młody człowiek doszedł do wniosku, że ten szybki sposób zawierania znajomości nie jest w Neutralii czymś niezwykłym i że uciekinierzy żyją tu powiązani wspólnym losem — podróżników z jednego szlaku pustynnego, zbitych w gromadę wokół źródła w oazie.

— Był pan już w swoim konsulacie? — zapytał szczupły mężczyzna. Wyglądał na wyczerpanego i chorego, a w jego żółtych, wylupiastych oczach zabłyśła zazdrość, gdy spojrzał na flagę w butonierce młodego człowieka.

Młody człowiek poczuł się jak oszust.

— Jeszcze nie — powiedział. — Pójdę po śniadaniu.

— Niech pan się nie śpieszy — powiedział chory człowiek. — Oni też się tam nie śpieszą.

— Krążą wieści, że potrzeba im lekarzy do waszej armii — wyjaśniła Francuzka — i dr Huxter zaofiarował swoje usługi, ale w waszym konsulacie ciągle mu odpowiadają, że jeszcze nie przyszła zgoda.

Nadejście kelnera, uroczyście niosącego tacę, uratowało młodego człowieka od odpowiedzi. Kiedy kelner ustawił na stole kawę i dzbanuszek z mlekiem, jajka, szynkę, masło, miód i duży klosz z owocami, zapomniał prawie o głodzie w nagłym przypływie zakłopotania. Pozostali ludzie na tarasie siedzieli tylko nad małymi filiżankami czarnej kawy, albo nad szklankami z mrożonymi napojami: od wielu stolików popłynęły ku niemu ciekawe spojrzenia. Francuzka wróciła dyskretnie do rozmowy z dr Huxterem.

Młody człowiek zacisnął mocno zęby, pomyślał „czas na mnie”, nalał uważnymi ruchami kawy i mleka

do filiżanki, wrzucił dwie kostki cukru, zamieszał i pociągnął pierwszy łyk. Gorący, słodki napój spłynął jak objawienie po jego podniebieniu. Przez chwilę śledził rozchodzenie się radosnego uczucia szczęścia po całym ciele. „To dopiero rozkosz” — pomyślał — „a byłaby ona zupełna, gdybym mógł wyžłopać wszystko sam, nie podpatrywany przez nikogo”. Włożył jedno jajko do kieliszka, szerokim końcem do góry i otworzył je ostrożnym cięciem noża. Potem wydrażył łyżeczką białko z odciętej łupiny, ułamał kawałek bułki, otarł nim żółtko ciekące z jajka, posolił i połknął. Wreszcie posmarował masłem pół bułki, wygarnął łyżeczką trochę jajka, ugryzł bułkę, zapił kawą i dopiero wtedy, z wyraźnym wysiłkiem woli, podniósł oczy znad talerza.

Nie omyliło go przeczucie: Odette przyglądała mu się cały czas. Przyłapana na tym niespodzianie, nie odwróciła oczu, ale odpowiedziała uśmiechem przyzwolenia i jak gdyby współwiny. Polegało to na wysunięciu dolnej wargi do przodu, w lekko drwiącym grymasie. Jej wargi podobne były do warg nadąsanego chłopca, okrągłe, suche, z drobnymi pęknięciami i nieuszminkowane. Oczy miała jasno szare, ale o przezroczystej wprost światłości.

— Wygląda pan na zadowolonego z siebie — powiedziała. Głos jej był ochryply i przypominał miękką materię o trochę szorstkiej powierzchni. Zaprzeczył i zaśmiał się. Ale gdy po chwili podniósł znowu oczy dostrzegł jej przenikliwe spojrzenie, wlepione nieprzytomnie w klosz z owocami. Przesunął trochę klosz, więc spojrzała znowu na niego.

— Ma pani ochotę na pomarańczę? — zapytał, a serce zabiło mu gwałtownie.

— Myślałam, że ma pan zamiar zjeść wszystko, nawet filiżanki i talerze — powiedziała.

— Mogę ocalić jedną dla pani — powiedział, wyjąwszy pomarańczę z klosza. Złożyła ręce na wysokości

twarży i rozchyliła je jak do gry w piłkę, a on szybkim ruchem cisnął jej pomarańczę przez dwa stoły. Schwyciła ją odąwszy wargi w ten sam ironiczny sposób. Starsza pani przerwała pogawędkę i odwróciła głowę. — Jesteś w świetnym humorze — zauważyła sucho.

Zjadł szynkę i rozsmarował trochę miodu na bułce z masłem, umyślnie czy też niechcący pozwalając mu skapywać przez brzegi. Spoglądał teraz prawie bez przerwy na dziewczynę. Ramiona miała również chłopięce i wąskie: nosiła obcisły sweterek który uwydatniał świetnie dwa pogórki jej piersi. Pomyślał, że nie nosi pewnie staniczka i wyobrażenie jej piersi, młodych, białych i jędrnych skojarzyło mu się ze smakiem jedzonego miodu. Obierała pomarańczę i jej spojrzenie stało się znowu nieobecne.

Skończył w milczeniu jedzenie. Poczuł nagle nieprzepartą chęć pójścia do celu całej tej podróży, do Konsulatu, który na dnie „Speranzy” i wcześniej jeszcze urósł w jego myślach do rozmiarów jedynej obietnicy zbawienia. W ciągu najbliższej godziny los jego się rozstrzygnie. Przywołał kelnera i zapłacił rachunek. Wyniósł zdumiewająco mało. Na pewno starczy mu pieniędzy na dwa tygodnie: a potem już go tu nie będzie.

Odsuwając fotel spojrzał raz jeszcze na dziewczynę: ale nie zwracała na niego uwagi. — Wszystkiego dobrego — powiedziała Francuzka. — Mam nadzieję, że się jeszcze zobaczymy — odpowiedział, zwracając się na pół do niej, a na pół do Odette. — Naturalnie — powiedziała starsza pani — w tym mieście spotykamy się wszyscy conajmniej raz dziennie. W którym hotelu pan mieszka?

— Mieszkam u przyjaciół — odpowiedział młody człowiek.

— U przyjaciół? Chciałbym poznać trochę tutejszych ludzi. Są mili i uprzejmi, ale żyją w innym świecie.

— Czy może mi pani powiedzieć gdzie jest Konsulat? — zapytał.

— Wasz Konsulat? Każdy to panu powie. Proszę iść wzdłuż Alei minąć Urząd Pocztowy, i skrócić w drugą ulicę na prawo: wąska, stroma uliczka, która prowadzi w dół i pachnie rybami. Zobaczy pan zresztą flagę.

Młody człowiek podziękował i torując sobie niezgrabnie drogę pomiędzy stolikami ruszył pośpiesznie przed siebie, jak gdyby chciał teraz nadrobić stracony czas. Francuzka, Doktor i dziewczyna przyglądali mu się jeszcze przez chwilę: wysoki chłopiec, z rękami w kieszeniach, szedł naprzód wielkimi krokami, a jego rude włosy połyskiwały ostro w białym świetle placu.

5.

Pani Tellier, owa Francuzka, miała słuszną mowę, że w tym mieście, gdzie wszyscy uciekinierzy chodzą do tych samych kawiarni, komitetów i konsulatów, lub na te same spacer, ludzie nie mogą się nie spotykać. Nawet przechodząc przez plac i główną aleję młody człowiek został zauważony (choć sam nie dostrzegł ich w pośpiechu) przez kilka osób, które nie znając się zresztą wzajemnie, znalazły się kiedyś na drodze jego życia i wiedziały — lub w każdym razie sądziły że wiedzą — o nim wszystko.

Jedną z tych osób był mężczyzna w wieku lat około trzydziestu, niski i nieproporcjonalnie rozrośnięty w barach, który stał w ogonku przed Główną Poczta. Obok niego stała chuda, niechlujnie uczesana dziewczyna w okularach, o bezmyślnym wyrazie twarzy. Ogonek poruszał się w kierunku okienka w hali, gdzie wydawano listy posté-restante.

— Zauważyłaś go? — zapytał niski mężczyzna.

— Zauważyłam kogo? — powiedziała kobieta.

— Piotra Sławka.

— Jest tutaj? — zapytała z ożywieniem kobieta.

— Przeszedł przed chwilą — powiedział niski mężczyzna. Mówił przez zaciśnięte wargi, spokojnym, bezbarwnym głosem, jaki w ludziach wyrabia tylko długie doświadczenie.

— Cieszę się, że nas nie dostrzegł — powiedziała kobieta. Ogoniek poruszył się i musieli postąpić krok do przodu.

— Wiesz, nigdy go osobiście nie spotkałam — ciągnęła dalej. — Kiedy wstąpiłam do Partii, stał na czele komórki uniwersyteckiej i został właśnie aresztowany. Był niesłychanie popularny.

Niski mężczyzna wzruszył ramionami. — Był odważny, ale nie umiał się nigdy dostosować do zmian w taktyce Ruchu. Dlatego właśnie musiał wystąpić z Partii.

Posunęli się znowu o krok dalej i kobieta powiedziała bojaźliwie:

— Nie łatwo jest zrozumieć, dlaczego po tylu nawoływaniach do krucjaty pozostaliśmy neutralni, a nawet zawarliśmy z nimi pakt.

Wargi niskiego mężczyzny drgnęły. — Czego nam potrzeba, to ludzi z zimnym, naukowym podejściem do rzeczy. Na wojnie można wspierać najpierw jedną a potem drugą stronę — tak jak w grze na giełdzie.

— Przypominam sobie... — zaczęła kobieta.

— Bywają ludzie, którzy przypominają sobie pewne rzeczy w niewłaściwym momencie i w niewłaściwym kontekście — przerwał jej niski mężczyzna.

Posuwali się milcząco w ogonku: Kobieta trzymała w dłoni chusteczkę, zmiętą w kulkę. Była wilgotna, więc zaczęła przebierać nią nerwowo pomiędzy palcami: po chwili powiedziała:

— Wiedzieliśmy dokładnie o wszystkim, co oni z nim robili. Złamali mu nos, wybili zęby i gasili palące

się cygara na ciebie — a jednak nie wysypał. Był bohaterem naszego pokolenia.

Doszli teraz do hali.

— Jeśli czego potrzeba rewolucji, to nie bohaterów, ale żelaznych urzędników państwowych — powiedział niski mężczyzna: głos jego przypominał zamykanie aktów i odkładanie ich do szafy, pomiędzy inne, przejrzone już akty.



Drugą osobą, która rozpoznała Piotra Sławka, była wysoka, dobrze zbudowana kobieta: siedziała z młodym blondynem w kawiarni po przeciwległej stronie placu. Miała na sobie suknię uszytą z białej wełny, która podkreślała jeszcze świetnie zachowaną młodzieńczość jej figury: bujne, ale długie i kształtne uda, i obfity biust o masywnych, i jędrnych piersiach. Nie nosiła kapelusza: gładkie, zaczesane na tył głowy włosy odsłaniały tylko uszy, obwieszone parą ciężkich kolczyków. Jej twarz miała w sobie odrobinę lubieżności doświadczonej kobiety w połączeniu z dziewczęcymi zupełnie rysami.

Była lekarką i nazywała się Sonia Bolgar. Sledziła z rozbawionym uśmiechem szybkie wyjście Piotra z kawiarni i odprowadziła go wzrokiem poprzez cały plac, aż zniknął za narożnikiem Urzędu Pocztowego.

— Któż to był? — zapytał młody blondyn, który powiódł oczyma w ślad za jej spojrzeniem. Siedział rozparty, z wyciągniętymi przed siebie nogami, ręce trzymał w kieszeniach i kołysał się na tylnych nogach fotelu.

— Neurotyczny przypadek — powiedziała kobieta w bieli. — Jego matka była moją przyjaciółką. Byłam pewna, że oni go zastrzelili.

— Co za „oni”?

— Wasi ludzie. Przywykliśmy wszyscy mówić o

was jako o „nich”.

— Skąd on pochodzi?

— Z moich stron, to znaczy skądś pomiędzy Dunajem i Bałkanami.

— Czemu wobec tego nosi tę flagę w butonierce?

Dr Bolgar wyglądała na ubawioną. — Nosi flagę? To zupełnie w stylu małego Piotra.

Młody blondyn zamówił coś do picia. Był wysoki, dobrze ubrany, szczupły i miał smagłą twarz sportsmena. Jego ruchy były szybkie i ostre: od czasu do czasu zanurzał długie i giętkie palce w czuprynie.

— Czy nie obawia się pani kompromitacji siedząc ze mną w kawiarni, dr Bolgar? — zapytał. — Ostatecznie i ja jestem jednym z „nich”.

Zajrzała mu drwiąco w oczy. — Jestem zawsze uprzejma w stosunku do moich pacjentów, Bernardzie i lubię gorszyć moich przyjaciół.

— Może opowie mi pani jeszcze coś o swoim małym rodaku?

— Niewiele jest do opowiedzenia. To typowy wypadek z podręcznika terapii. Kiedy miał pięć lat wydarzył się w rodzinie wypadek z jego winy: potraktowano go z wielką wyrozumiałością, ale chłopiec dostał szoku i odtąd wszystko co robi wywodzi się — choć sam oczywiście o tym nie wie — z tego faktu. Na Uniwersytecie wstąpił do rewolucyjnej organizacji studenckiej: był bity przez policję i wtrącany raz czy dwa razy do więzienia, ostatnio, kiedy nasz kraj został właśnie zajęty przez was. Chodziły słuchy, że go rozstrzelano — a teraz powraca oto z flagą w butonierce i świerzbi go aż widać chętką wpakowania się w nowy bigos.

Bernard zapalił papierosa.

— Szkoda — powiedział. — Wygląda na miłego chłopca. Powinien być z nami.

— Nie będzie nigdy — odparła kobieta w bieli. —

Będzie zawsze po stronie pokonanych.

— Cóż za anachronizm — powiedział Bernard.

Kobieta wzruszyła ramionami. — Poza tym napisał jako student jeden czy dwa zupełnie niezłe wiersze — powiedziała. — Były drukowane w jakimś radykalnym piśmie.

— To uzupełnia obraz — dorzucił młody blondyn.

6.

Okolo południa Piotr przechadzał się znowu w Alei. Rozmowa w Konsulacie była skończona.

Wchodząc do budynku, ozdobionego flagą i jakimś herbowym emblematem nad bramą, doświadczył sennego jak gdyby wrażenia, że wszystko to już się kiedyś działo. Wbiegł z tym mglistym uczuciem na schody, wytarł buty o słomiankę i zadzwonił. Drzwi otworzył mu odźwierny z piersią pełną starych odznaczeń wojennych i skierował go do poczekalni, w której siedziały już dwie czy trzy osoby. Wypełnił formularz i po chwili gdy wywołano jego nazwisko wszedł do następnego pokoju, poprzedzianego niskimi przepierzeniami z drzewa. Zbliżył się do jednego z nich i zobaczył bladą kobietę, która zdawała się cierpieć na ból głowy i przemówiła doń bezbarwnym głosem. Powiedziała mu o ograniczeniach w podróżowaniu, o konieczności wyrobienia sobie paszportu, jakichś papierów z miejscowej policji, referencji z kraju przeznaczenia i zaświadczenia o źródłach utrzymania. Kiedy Piotr, sądząc, że to nieporozumienie, próbował jej wytłumaczyć, że nie jest turystą, ale chce wstąpić do wojska, powtórzyła z wyrazem uprzejmej cierpliwości, że musi sobie wyrobić paszport i czekać na rozwój wypadków: a gdy Piotr z rosnącym podnieceniem usiłował raz jeszcze wyjaśnić o co mu chodzi, jej bezzębne oczy rzuciły mu spojrzenie, w którym pojawił się nagle błysk utrapienia i dodała

tylko, że nie ma czasu, ponieważ jej kraj prowadzi wojnę.

Piotr zamilkł na chwilę, po czym rozgorączkowany wybuchnął, że dokładnie z tego samego powodu przyszedł właśnie tutaj. Robił teraz wrażenie człowieka wyprowadzonego z równowagi, prawie krzyczał i wszystkie urzędniczki w całym pokoju uniosły głowy znad maszyn do pisania, przyglądając mu się bezmyślnie. Błada kobieta przygryzła wargi, wstała i bez słowa znikła za drzwiami. Piotr nie wiedział co się teraz stanie i nie dbał zresztą o to zbytnio: ale po kilku minutach kobieta wróciła i nie patrząc nań, szarym głosem zaprosiła go do następnego pokoju, gdzie jakiś Mr. Wilson miał go przyjąć.

Mr. Wilson siedział za biurkiem, przed którym stał głęboki fotel skórzany dla gości. Był uprzejmy i robił wrażenie człowieka zmęczonego. — Proszę, niech pan usiądzie, Mr. Slavek — powiedział i nieoczekiwanie dla Piotra podał mu rękę o trzech cienkich, kościstych palcach, i czwartym, wysuszonym przez podagrę. Piotr zaczął mówić, że nie może przedłożyć paszportu i innych dokumentów, ale Mr. Wilson przerwał mu grzecznie:

— Wiem — powiedział z uśmiechem zmęczenia, i zatrzepotał w powietrzu krogulczą dłoń — te dziewczęta nie potrafią się pogodzić z myślą, że prowadzimy wojnę.

Piotr milczał. Skórzany fotel był głęboki i wygodny. Wszystko zdawało się iść ku lepszemu.

— O ile wiem — powiedział Mr. Wilson — przyjechał pan wczoraj jako pasażer na gapę na pokładzie „Speranzy”, i przespał pan noc na plaży?

— Tak jest — odparł Piotr.

— I nie ma pan żadnych dokumentów?

— No — powiedział Piotr, szczerząc zęby w uprzejmym uśmiechu — mam zaświadczenie zwolnienia z kryminału.

Wyjął z kieszeni zmiętoszony dokument. Były na nim odciski palców, fotografia i jakieś niebieskie i czerwone pieczęcie. Mr. Wilson ujął go w dwa najsprawniejsze palce obu rąk, uniósł pod światło, porównał nagłym spojrzeniem z ukosa fotografię z oryginałem, i obracał papier na wszystkie strony, odczytując obce napisy na okrągłych pieczęciach.

— Mnie to wystarczy — powiedział wreszcie uśmiechając się lekko — ale czy wystarczy władzom mojego kraju, które rozpatrywać będą pańską prośbę, to już inna sprawa.

Zwrócił dokument i zaczął przechadzać się po pokoju, nie spuszczać oczu z Piotra. Piotr śledził go z głębi wygodnego fotelu. Po chwili Mr. Wilson usiadł z powrotem.

— Jak długo siedział pan w więzieniu? — zapytał.

— Razem około trzech lat.

— A ma pan dwadzieścia dwa lata?

— Tak.

— Czy nie chciałby pan, dla urozmaicenia po prostu, tak jak inni młodzi ludzie, zająć jakoś przyjemnie swój czas? Czemu nie spróbuje pan dostać się do jakiegoś neutralnego kraju — do Ameryki na przykład?

— Pięknie — powiedział Piotr — ale mówiono mi, że wy prowadzicie wojnę.

Nastąpiła nowa chwila milczenia. Po czym Mr. Wilson, zmęczony jak gdyby tą rozmową, powiedział oficjalnym tonem:

— Musimy zwrócić się do władz w kraju. Gdyby to zależało ode mnie mógłby pan jechać nawet i jutro, ale tak jak sprawy stoją w tej chwili... — zaczął grzebać w papierach.

— Jak długo potrwa, zanim otrzyma pan odpowiedź? — zapytał Piotr.

— Oh — powiedział Mr. Wilson — to zależy. Jeżeli nie dostaniemy decyzji w ciągu miesiąca powiedzmy,

to proszę przyjść do mnie i poprobujemy monitować.

— Rozumiem — powiedział Piotr. Poczul nagłą chęć wyprostowania się, ale fotel był zbyt głęboki, więc zatonął znowu w jego miękkich czeluściach.

— Wszystko z powodu pańskiej narodowości — wyjaśnił Mr. Wilson. — Gdyby pan pochodził z kraju sprzymierzonego, sprawa wyglądałaby zupełnie inaczej.

— Dlaczego inaczej? — powiedział Piotr. — Mój rząd nie zasięgał u mnie opinii, gdy ustalał swoją politykę. Zresztą bylibyśmy i tak okupowani.

Ale wiedział już, że to jest daremne, i poczul nagłe ogromne znużenie.

Mr. Wilson wzruszył bezradnie ramionami. — No dobrze, zrobię dla pana wszystko — obiecał, wstając zza biurka. — Dziś jeszcze pošlę raport. Niech pan przychodzi od czasu do czasu i dopytuje się w biurze informacji o swoją sprawę. A jeśli nie przyjdzie nic w ciągu miesiąca, proszę mnie znowu odwiedzić.

Wyciągnął trzy palce i Piotr wygramolił się z fotelu. Kiedy dotarł do drzwi, usłyszał dziwny dźwięk, coś pośredniego pomiędzy kaszlem i krztuszeniem się: odwrócił się i doszedł go głos Mr. Wilsona, grzebiącego się dalej w papierach:

— Ale wie pan, Mr. Slavek, na pana miejscu zastanowiłbym się raz jeszcze, czy nie warto by ostatecznie wyrwać do tej Ameryki.

— Dziękuję panu — powiedział Piotr i wyszedł. Kiedy przechodził przez dużą salę, urzędniczki stukwały na maszynach i ani jedna nie podniosła już głowy.

7.

Znalazłszy się znowu na rozjaśnionej ulicy, Piotr musiał przymrużyć aż oczy od nagłego zderzenia z ostrym blaskiem, bijącym od ścian i chodnika. Sięgnął do górnej kieszonki po papierosa i dotknął po drodze

flagi w butonierce. Wyciągnął ją odruchowo, włożył do kieszeni i zaczął się wspinać po stromej, wąskiej uliczce w kierunku głównej alei.

Było już południe i poczuł nagle chęć wyciągnięcia się w ciemnym, chłodnym pokoju, przymknięcia oczu i spokojnego przemyślenia wszystkiego na nowo. Było to oczywiście niemożliwe. Nie mógł iść do hotelu, nie zarejestrowawszy się w policji, a nie mógł się zarejestrować w policji, skoro przyjechał tu nielegalnie. Dopiero teraz, wlokąc się w cieniu zakurzonych palm, zaczynał pojmować pełny sens tego wszystkiego, co mu powiedział Mr. Wilson.

Nagle przystanął. Z jednej z wystaw sklepowych wycierał ku niemu znienawidzony znak, przyklejony do górnej części szyby wystawowej. Na szkarłatnym tle widniało grube, czarne koło, a w nim krzyż z pajakowato zagiętymi ramionami. Tak, to ten. Już dawno go nie widział. Zaraz, jak dawno? Trzy tygodnie. A promieniował przecież ciągle tą samą irracjonalną zgrozą i urokiem.

Piotr stał bez ruchu przed wystawą. Należała ona do sklepu tytoniowego, w którym sprzedawano także gazety, bilety na loterię i materiały piśmienne, i który dla ubocznych widać dochodów odstąpił im okno wystawowe na propagandę. Od dołu ku górze ciągnęła się głęboka na trzy stopy, mapa plastyczna kontynentu. Nad nią widniał napis: NOWA EUROPA — SZCZĘŚLIWA RODZINA NARODÓW. Płaskorzeźba wykonana była bardzo starannie i wyglądała zachęcająco. Długie, proste i lśniące autostrady wybiegały z północno-wschodniego węzła na wszystkie strony świata: maleńkie pociągi elektryczne z zapalonymi światłkami wynurzały się z tuneli a srebrzyste samoloty pasażerskie i lekkie stateczki zwiszały na gumowych linkach z nieba, lub spoczywały na ciemnoniebieskim, szkliwie jezior. Ludność każdego kraju, jej produkcję, zbiory, bydło,

węgiel, rudę, minerały, przemysł włókienniczy i drzewny, winnice i maszynnictwo wyobrażały odpowiednie, miniaturowe figurki i znaki; prawa każdego kraju do kolonii, surowców i rynków zbytu oparte były na obfitym materiale statystycznym. A ponad tym całym nęcącym krajobrazem specjalnie skomponowany fotomontaż wyjaśniał, jakie było zło minionych, nieszczęśliwych dni: bezrobotny z wykrzywioną głodem i nienawiścią twarzą rozbijał szybę; kobiety i dzieci dusiły się pomiędzy żelaznymi barierami ceł ochronnych; narody rolnicze wplątały się niepotrzebnie w współzawodnictwo przemysłowe, podczas gdy naród najbardziej uprzemysłowiony pozbawiony został naturalnych rynków zbytu: Wielki Kapitał i Rewolucja Światowa sprzymierzone z Przeklętą Rasą, która poruszała tylko sznurki za sceną, popychały narody przeciwko sobie i z szatańskim grymasem na twarzy ciągnęły ze wszystkiego zyski.

Ale nareszcie, jak to wykazywała następna tablica, ofiary przebudziły się, aby ujrzeć całą prawdę. Po raz pierwszy w historii narody europejskie zjednoczyły się pod surowym, ale sprawiedliwym przywództwem silniejszego. Osiemdziesiąt lat temu ta rasa panów żyła w stanie zupełnego upokorzenia, rozbrojona, bezsilna, skorumpowana: dzisiaj głupcy, którzy próbowali jej się oprzeć złamani zostali jak zapalka od ciosu żelaznej pięści. Statystyki, fotografie, maleńkie modele metalowe wszystko to wykazywało niezwykłość jej wspinającej armii na lądzie, morzu, pod wodą i w powietrzu. A nad całą wystawą, nad flagą która powiewając z obu stron, przydawała mu jak gdyby skrzydeł, górował portret Nadczłowieka, twórcy owych czarodziejskich dzieł i cudów; geniusz nowej Europy i dobroczyńca świata — o stalowych oczach, ujmująco uśmiechnięty, z czarnym poetycznym loczkiem, spadającym na białe czoło trzymał dziecko w ramionach...

Tłum stojący dookoła Piotra przyglądał się wystawie

w milczeniu i z ironicznymi uśmieszkami, które zamierały jednak stopniowo na wszystkich twarzach. Utorował sobie drogę wśród ludzi i podjął na nowo przerwany spacer, powłócząc nogami pod szpalerem zakurzonych palm. Nareszcie znalazł jakiś cel: trzeba zobaczyć czy druga strona ma też swoją wystawę propagandową w mieście. Przypomniawszy sobie, że na szerokiej ulicy, którą przechodził dziś rano, pomiędzy jedwabnymi koszulami i słomkowymi kapeluszami, zauważył za szybą wystawową ich flagę i portret ich króla. Jeżeli były tam jeszcze jakieś eksponaty, to nie przyciągnęły one w każdym razie jego uwagi: ale teraz postanowił odnaleźć wszystko.

Bez większych trudności znalazł ulicę, a na niej sklep, flagę i króla. Przed wystawą przystanęły oprócz niego zaledwie dwie osoby, przyglądając się oknu z wyrazem sennieści w oczach. Był to także sklep tytoniowy, ale tamten robił najwyraźniej lepszy interes. A może tutaj właściciel dostawał wyższe dzierżawne, albo wypożyczył wystawę bezinteresownie.

Na treść wystawy składały się głównie fotografie, powtykane w nacięcia na starym tekturowym tle, zupełnie jak portrety w albumie rodzinnym. Przedstawiały one starszawe już kobiety w fabryce, wyrzucające coś nieokreślonego z czarującym uśmiechem; królową - matkę, przyglądającą się ambulansowi; szereg okrętów wojennych, wyciętych jakby z pism dla młodzieży; bratową króla, przyglądającą się kantynie polowej z herbatą i kanapkami; pilota w momencie dekoracji; rozkołysane w ramionach dziewczęta, defilujące przed jakimś dostojnikiem; wizytę członka rodziny królewskiej w dywizjonie lotniczym za morzem; członka gabinetu, wychodzącego z samolotu z bukietem kwiatów wzniesionym do góry cylindrem i dwoma rozstawionymi palcami; żołnierza zatapiającego bagniet w worku z piaskiem i dziewczynę w spodniach, dojącą krowę. Pod

fotografiami umieszczono cztery linijki z zeszlowiecznego poematu patriotycznego, wykaligrafowane gotyckim pismem i obramowane barwami narodowymi.

Podczas gdy Piotr przyglądał się oknu, zagadał do niego jakiś człowiek. Miał małe, podkreścone wąsiki i trzymał w ręku laskę. Był podniecony, mówił szybko i wyrzucał ciągle ręce gestem skargi, wskazując laską obrazki, to znowu bijąc się nią po głowie w przystępie jakiejś rozpacz. Piotr, który nie rozumiał słów, ale domyślał się sensu, uśmiechał się grzecznie i usprawiedliwiając, tak jakby to on był odpowiedzialny za wystawę w oknie. Na koniec człowiek wzruszył ramionami tak, że dotknęły prawie uszu, westchnął, stuknął się dwoma palcami w czoło i odszedł, potrząsając ciągle głową.

Piotr podjął swoją wędrówkę ku głównej alei i ku jej palmom. Piekły go nogi: poprzez dziury w skarpetkach ocierały się coraz dotkliwiej o twardą skórę butów, i czuł że potworzyły się już na nich pęcherze. Bolesny, rozgrzeszający uśmiech nie schodził mu ciągle z ust: wyglądało to tak jakby zapomniał o nim przez zwykłe roztargnienie. Włókł się żwirowaną ścieżką pośrodku alei. Przypocona koszula przylepiła mu się do pleców, a pod pachami marynarki pojawiły się ciemne plamy. Nie było jeszcze pierwszej i miał przed sobą osiem do dziewięciu godzin czasu do zabicia, zanim będzie mógł wreszcie wrócić na plażę i ułożyć się na ławeczce w cuchnącej kabinie. Próbował myśleć o jakimś planie akcji, ale nie był w stanie skoncentrować swych myśli; niebo robiło wrażenie kotła, a słońce uchylonego wieka, poprzez które płomienie prażyły coraz bardziej rozpalonym tchnieniem.

Po drugiej strony alei dostrzegł restaurację. W oknach wisiały muślinowe firanki i wyglądało na to, że w środku będzie ciemno i chłodno. Zamierzał właśnie przejść przez jezdnię, gdy nagle zderzył się nieomal z

niskim mężczyzną z kolejki przed Poczta.

Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. W kraju, od chwili wybuchu wojny spotykali się tylko na ulicy i udawali, że się nie znają. Ale teraz byli już obaj zwolnieni z obowiązku ostrożności. Młoda kobieta zrobiła krok w tył i wstrzymawszy oddech spoglądała na Piotra szeroko rozwartymi oczyma.

— A więc — powiedział Piotr z wymuszonym uśmiechem — spotykamy się znowu towarzysz Tomasz.

— Widziałem was dziś rano — odpowiedział niski mężczyzna. Odzyskał teraz zimną krew i stał przed Piotrem mocno i pewnie na krótkich nogach, które wyrastały z chodnika jak dwa kominy. Nastąpiła chwila ciszy. Piotr poczuł nagle gorący, braterski przypływ wspomnień z okresu wspólnej walki w przeszłości. — Chodźmy coś zjeść razem — zaproponował nieśmiało.

— Spieszmy się do Konsulatu — powiedział towarzysz Tomasz.

— Do jakiego Konsulatu? — zapytał Piotr.

— Do Amerykańskiego — powiedział towarzysz Tomasz. Widać było, że zachował swój dawny talent tłumienia wszelkich braterskich uczuć.

— To wasza żona? — zapytał Piotr, spoglądając na kobietę, która stała na krawędzi trotuaru i miętosiła chusteczkę w rękach. Uczyniła niezdecydowany ruch, jak gdyby się chciała przywitać, ale powstrzymała się zaraz, szarpiąc dalej nerwowo chusteczkę.

— Tak — powiedział towarzysz Tomasz.

Nastąpiła znowu chwila milczenia.

— Dziś rano mieliście flagę w butonierce — zauważył towarzysz Tomasz, a w kącikach jego ust pojawił się lekki uśmieszek.

Piotr zarumieniał się. — Przypiąłem ją sobie na płuzy — powiedział. — To wcale przyjemna chorągiewka, ot taka jak wszystkie inne flagi...

— Byliście zawsze romantykiem — powiedział towarzysz Tomasz. — No, ale musimy już iść.

Piotr śledził ich jeszcze przez chwilę. Kanciaste i wyprostowane plecy towarzysza Tomasza odcinały się wyraźnie ponad dokładnymi ruchami jego krótkich nóg, a kobieta mówiąc coś gorączkowo zabiegając mu ciągle drogę i starając się dotrzymać mu kroku.

Piotr przeciął ulicę i wszedł do restauracji. W środku grała orkiestra, a na tle złożonych luster i palm w wielkich donicach stał cały zastęp kelnerów w białych kamizelkach. Zawahał się przez chwilę; wyglądało na to, że będzie tu drogo. Ale było już teraz za późno; a zresztą mniejsza o to. Kelner zaprowadził go do małego stolika z wazonem kwiatów i białymi serwetkami, które sterczały z talerzy jak nastroszone kapelusiki pierrotów.

Był zdecydowany najść się i nie myśleć co będzie potem. Ale muzyka i wino, — którego karafkę kelner przyniósł mu bez pytania — sprawiły, że poczuł się jeszcze samotniej niż przedtem; i im więcej pił, tym samotniej się czuł.

Jakiż to los kazał mu zawsze wpadać pomiędzy dwa stołki? Flaga, którą sobie przypiął, przyniosła mu niewiele korzyści, a towarzysz Tomasz za to przestał być jego sojusznikiem. Naturalnie Ruch nie bez istotnych powodów zmienił nagle front, a jeśli jutro wytworzy się nowa sytuacja będzie miał równie istotne powody, aby go znowu zmienić; ale kryjąca się poza Ruchem idea, ta jedyna wielka wizja epoki, została oto zabita, zaduszona w pętlicy owych istotnych powodów; i nie ma jej czym zastąpić.

Orkiestra grała jakąś miejscową, łagodną melodię i kelner przyniósł mu wraz z mięsem jeszcze trochę wina. Wino było młode i kwaśne, nie takie jak to, które rosło w kamienistych winnicach jego kraju; usuwało ze smutku osobistą zadrę i dodawało mu barwy i głębi. Może zresztą ta historia z wpadaniem pomiędzy

dwa stolki nie była zupełnie bezsensowna. Czyja to wina, że wszystkie one mają połamane siedzenia i oparcia, jak stare fotele z licytacji? Siadasz pełen zaufania i nagle trach, lecis w dół, twoje ciało, twoja dusza i twoje złudzenia.

Wspomniał dni, spędzone na ciemnym dnie „Speranzy”. Przecież to zaledwie wczoraj skoczył z jej pokładu; ale gdy patrzył na nie teraz, jakież mu się wydawały szczęśliwe, jak głęboko wierzył, że wystarczy tylko przestąpić błogosławiony próg Konsulatu z cudacznym herbem, aby wszystko ułożyło się jak należy. Jakże często marzył o tej scenie, gdy leżał przycupnięty w ciemnościach na smolistych linach i żuł suchary i figi. Przyszedł bić się za nich, zaopiekują się więc nim na pewno. Nie ma pan papierów, Mr. Slavek? To głupstwo. Mieszka pan w kabinie na plaży? Zaraz się panem zajmujemy. Zaprowadźcie tego młodzieńca do kwater, zarezerwowanych dla cudzoziemskich ochotników. Przyszedł z daleka, skądś na Bałkanach, aby do nas dołączyć. Rozkaz. Tędy, towarzyszu. Zajmiemy się wami za chwilę. Przyjemnie jest spotykać takich jak wy morusów i widzieć jak potężne staje się nasze braterstwo, gdy wybuchnie we wszystkich krajach i wśród wszystkich narodów...

Kelner podsunął mu rachunek na małym talerzyku. Wynosił około połowy posiadanych przez niego pieniędzy. Gdyby mu chociaż pozwolili posiedzieć jeszcze trochę w tym chłodnym, przyjemnym pokoju, a może nawet położyć głowę na stole i usnąć. Ale muzyka już umilkła, wszystkie stoliki opustoszały, a kelner przybrał srogą minę, zwiastując zamknięcie lokalu.

W powietrzu był ciekły żar. W pustej i odrażającej teraz alei tylko palmy strzegły świętej godziny siesty poobiedniej. Przeciskać się przez bulgocące gardziele ulic o tej porze dnia, znaczyło bez mała gwałcić sekretne tabu miasta. Ciężyla mu głowa i szyja zdawała się być za

cienka aby ją udźwignąć. Była godzina trzecia; dopiero za sześć godzin będzie mógł wślizgnąć się do kabiny.

Po dziesięciu minutach spaceru, na marynarce jego pojawiły się znowu plamy pod pachami. Obliczył, że jeśli będzie oszczędny, to starczy mu jeszcze pieniędzy na tydzień lub dziesięć dni. Głowa kołysała mu się na szyi jak masywny globus na drążku. Na prawej nodze, w pobliżu blizny po oparzeniu otworzył się jeden z pęcherzy, więc zaczął kuleć, nie zauważywszy nawet tego.

Jeżeli nie będzie dla pana żadnych wiadomości w ciągu miesiąca, powiedział Mr. Wilson, to proszę do mnie przyjść i pogadamy znowu.

TERAZNIEJSZOSC

Była godzina trzecia; kolejka zaczynała się na pierwszym piętrze, zbiegała na dół i ciągnęła się wzdłuż ulicy, aż do najbliższego rogu. Kiedy Piotr podszedł, żeby zająć miejsce na końcu, jakaś ręka spoczęła na jego ramieniu. Obejrzał się; była to dr Bolgar. Stała pięć, sześć miejsc przed nim, z książką w ręku, w białym kostiumie, górując wzrostem nad rozgadany tłumem. W ciągu pięciu tygodni, które upłynęły od dnia jego przyjazdu widywał ją często z daleka na ulicy i za każdym razem przechodził na drugą stronę, unikając jej tak, jak unikał Towarzysza Tomasza, pani Tellier i wszystkich ludzi o znajomych twarzach.

— Hallo, Pietia — zawołała. Wymawiała śpiewnie zdrobnienie z dawnych lat. — Czy nie stoisz przypadkiem w złym ogonku? To jest konsulat amerykański. — A kiedy nic nie odpowiedział a tylko wzruszył ramionami, dorzuciła zamknawszy z trzaskiem książkę: — Chodź tu i stań koło mnie.

Mówiła ponad głowami ludzi, stojących pomiędzy nimi. Jakaś para o wschodnich, ruchliwych i wiecznie myszkujących twarzach wybuchnęła głośnymi protestami. — Tut — tut — tut — zakrzyczał mężczyzna wymachując rękami. — Każdy na swoim miejscu — powiedziała kobieta. — Wszyscy siedzimy w tej samej łodzi — rzucił mężczyzna. — Wszyscy jesteśmy ofia-

rami tego samego nieszczęścia — dodała kobieta. Dr Bolgar wzruszyła ramionami, wyszła z kolejki i zajęła miejsce na końcu, obok Piotra. Parę osób w ogonku odwróciło głowy i spojrzało na nich ze zdziwieniem. Piotr miał na sobie kurtkę zapiętą pod szyję, a rękę trzymał w kieszeniach spodni, jak gdyby zmarzł porządnie; kołysał się przy tym lekko na nogach. Przywitał ją ledwie dostrzegalnym uśmiechem, odsłaniając górne zęby. Ona natomiast wsunęła mu rękę pod pachę i przycisnęła go serdecznie do siebie. — Jesteś zalany, Pietia? — zapytała.

— A bo co? — powiedział Piotr.

Obrzuciła go krótkim, szybkim spojrzeniem.

— Gdzie mieszkasz? — zapytała.

— Mam wrażenie — powiedział Piotr — że już nieraz zadawano mi to pytanie. Ale zadają je niestety zawsze niewłaściwi ludzie.

— Chcesz powiedzieć, że to nie moja sprawa? — Mówiła do niego w języku macierzystym i głos jej zabrzmiał jeszcze głębiej i melodyjniej. Milczał, więc powtórzyła cierpliwie:

— Myślisz, że to nie moja sprawa?

— Tak — powiedział Piotr — to nie twoja sprawa, a ci których powinno to obchodzić, nie pytali mnie o to.

Nastąpiła chwila milczenia, a gdy posunęli się trochę w ogonku zauważyła, że Piotr kuleje.

— Jak się stamtąd wydostałeś? — zapytała po chwili.

— Bez trudu — powiedział Piotr. — Skończyłem wyrok, kiedy wybuchła wojna. Po kilku tygodniach przymknęli mnie znowu. Nie mogli mi niczego dowieść, więc po roku wypuścili mnie poraz drugi, na wabia. Paru moich przyjaciół wynalazło mi pracę palacza na statku kursującym na Dunaju. Reszta poszła łatwo: dwudniowa podróż cielętnikiem do morza Czar-

nego i dwa tygodnie pod pokładem „Speranzy”, z całą masą suszonych fig do żarcia.

Kolejka posunęła się znowu tak że stanęli teraz tuż przed drzwiami budynku.

— Jedyłą zaletą ogonków w tym mieście jest to, że posuwają się bardzo szybko — powiedziała dr Bolgar. — Wiesz dlaczego?

— Nie.

— No więc idziesz na poste-restante: nie ma dla mnie listów? — Nie, proszę pani. Następny. — Idziesz do konsulatu: przyszła moja wiza? Nie, proszę pani. Następny. Idziesz do Biura Okrętowego: czy są jakieś widoki na miejsce? Nie, proszę pani. Następny. — Szybkie i proste. Wywiesili żółtą flagę nad Europą i zaganiają nas wszystkich do kwarantanny.

Piotr obrzucił ją szybkim, obojętnym spojrzeniem — nieposzlakowanie czysty kostium, torebkę, paznokcie, pończochy i pantofle — zupełnie jak podoficer, przeglądający rekruta przed defiladą.

— Co za nonsens — powiedział. — Chyba nie zamierzasz mnie przekonać, że nie wydają ci listów, wiz i przejazdów w takich ilościach, w jakich ci to jest potrzebne.

Stanęli przed schodami. Dr Bolgar położyła znowu rękę na ramieniu Piotra i tym razem przetrzymała ją przez chwilę. Potem odrzekła spokojnie:

— Doskonale, Piotr, nigdy nie miałam ambicji stania się męczennicą. Ale czemuś ty zmienił zamiary?

— Nie zmieniłem żadnych zamiarów.

— Wybierałeś się przecież na wojnę.

— Wybieram się dalej.

— Ale Ameryka nie bierze przecież udziału w wojnie, a to jest konsulat amerykański.

— Powiedzieli mi, że mogę spróbować. Po prostu na wszelki wypadek.

— Ach, tak ci powiedzieli? Na wypadek czego?

— Po prostu na wszelki wypadek.

— Po prostu na wypadek, gdyby cię nie potrzebowali? Po prostu na wypadek, gdyby się nie palili do takich jak ty krzyżowców? Po prostu na wypadek, gdyby twoja idea wojny nie pokrywała się z ich ideą wojny?

Dobrnęli do połowy schodów, pomiędzy nimi i wnętrzem pozostało jeszcze około tuzina ludzi. Piotr oparł się o poręcz i zasłonił ręką przetarty kołnierzyk marynarki.

— Słuchaj, Sonia — powiedział. — Nie dbam o to co sobie o mnie pomyślisz, nie dbam o to co sobie o mnie pomyślą moi dawni towarzysze, a nawet nie dbam o to, czy mnie przywitają serdecznie na tej ich małej wyspie. Służę sprawie, i mam zamiar wytrwać przy niej na przekór wszystkiemu. „Na przekór”, nie „z powodu”, rozumiesz? To tak jak w małżeństwie: niektórzy kochają się „z powodu”, a niektórzy „na przekór”; możesz więc sobie zaoszczędzić trudu przekonywania mnie.

Mówił gorączkowo, a jej wzrok błakał się od jego oczu do ust i na powrót.

— Piotr — powiedziała po chwili — nareszcie wiem o co chodzi. Nie jesteś zalany. Jesteś głodny...

Zanim mógł odpowiedzieć, drzwi konsulatu się otworzyły. Nie było tu już oddźwiernego; duży pokój rozpościerał się wprost od wejścia i wyglądał jak ultranowoczesne biuro podróży z długą, politurowaną ladą wzdłuż ściany. Ogonek posuwał się gęsiego, równolegle do lady, zupełnie jak na kładce okrętowej. Ludzie w ogonku przybrali teraz uroczyste i zafrasowane miny, jak w kościele. Za ladą urzędowały jakaś dziewczyna i młody człowiek; surowymi, obojętnymi głosami spowywali pielgrzymów, zaglądając do rejestrów i ksiąg głównych przeznaczenia. Dziewczyna nosiła ro-

gowe okulary, była ciemnowłosa, ociężała i nieciekawa. Młody człowiek natomiast był szczupłym blondynem o anemicznym wyglądzie. Oboje znali nazwiska większej części swej trzódki na pamięć; przychodzili tu przecież codziennie, nie mając nic lepszego do roboty.

W tej właśnie chwili przyszła kolej na parę o wschodnich rysach twarzy; oboje przestali teraz gestykulować, byli uroczyści, ugrzecznieni i posuwali się naprzód małymi krokami, rzucając uprzejme ukłony pod adresem dziewczyny w rogowych okularach.

— Pan Abramowicz? Jeszcze nic. Następny — powiedziała dziewczyna.

Pan Abramowicz podniósł brwi i rozłożył ręce, co miało oznaczać, że jest to dla niego wielka niespodzianka i że miał uzasadnione powody, aby przypuszczać, że zgoda przyszła właśnie dzisiaj, a tylko jakaś nieoczekiwana, administracyjna pomyłka mogła spowodować zwłokę.

— Pani Abramowicz? Jeszcze nic. Następny.

Mała kobiecina próbowała oponować; przecież ich wiza tranzytowa wygasła, wyjaśniała. Mogą być w każdej chwili aresztowani, wtrąceni do więzienia i odstawieni tam, skąd uciekli.

— Proszę pani — odpowiedziała ostrym głosem dziewczyna. — Czy zechce pani łaskawie zrozumieć, że tu nie miejsce na dyskusję?

Okulary powiększały jej tęczówki i rzęsy do ogromnych rozmiarów. Pani Abramowicz wyczytała z tego szklistego spojrzenia nieuczynność. Jednocześnie przecież poczuła się tu dziwnie wygodnie; zapragnęła pozostać choćby i cały dzień w tym oświetlonym sanktuarium, ukryta w jakimś kącie, gdzie nic nieoczekiwanego nie mogłoby jej spotkać. Westchnęła i drobniutkimi, nerwowymi krokami podreptała ku wyjściu.

A tymczasem anemiczny młodzieniec zwrócił się do Soni. — Dr Sonia Bolgar — powiedział. — Tak. O-

trzymaliśmy przychylne rekomendacje. Konsul przyjmie panią w przeciągu paru najbliższych dni. Następny.

Ale następny był już jakiś starszy pan w sztywnym, księżowskim kołnierzyku; Piotr ulotnił się z kolejki. Wykradł się z pokoju, kiedy Sonia rozmawiała z urzędnikiem.

Dr Bolgar zbiegła ze schodów z niezwykłą dla niej żywością. Dostrzegła go w bramie, ale przyłapała go dopiero na rogu. Ujęła go pod rękę i powiedziała, chwytając oddech:

— Tym razem mi nie uciekniesz, mały głuptasie. Pójdiesz ze mną na podwieczorek.

Piotr nic nie odpowiedział. Ciepło kobiecie, którego dotykał, wywołało w nim uczucie przytulnego spokoju, jakiego nie zaznał od długiego już czasu. Sonia była przyjaciółką jego matki; przypomniawszy sobie, siedzącą w salonie pod kryształowym żyrandolem i opierającą filiżankę herbaty na wspaniałym udzie.

— A teraz powiedz mi nareszcie, kiedyś tu przyjechał? — zapytała.

— Kiedy? — powtórzył Piotr. — Nie pamiętam dokładnie. Około pięciu tygodni temu.

— I sypiałeś naturalnie w parkach i na ławkach.

Jego uśmiech był pełen znużenia. — Żaden włóczęga nie sypia teraz w parkach i na ławkach. Policja nakryłaby go od razu.

— Więc gdzież, u diabła, mieszkaleś cały ten czas?

— Znalazłem kabinę kąpielową na plaży i tam spałem.

Minęli Plac, Urząd Pocztowy i ulicę ze wspaniałymi sklepami. Skręcili teraz w spokojną uliczkę, zabudowaną schludnymi, białymi sześcianami will.

— W tym sęk — dodał, siłąc się na rozmowność — że w księżycowe noce ludzie kąpią się do późnego wieczoru; a rano trzeba się wcześniej wynosić. Codzienne pętanie się po mieście męczy trochę.

— I ciągnie się to już pięć tygodni?

Piotr nie odpowiedział.

— Piotr — powiedziała Sonia — kiedy jadłeś po raz ostatni coś gorącego?

Piotr uśmiechnął się znowu; rozśmieszyło go słowo „gorący”. — Wczoraj — odparł.

— Ty łgarzu — powiedziała Sonia. I skrećiwszy na żwirowaną ścieżkę, uwolniła rękę i wyciągnęła klucz z torebki:

— To tutaj.

2.

Dr Bolgar posiadała dar wynajdywania w każdym mieście w którym się zatrzymywała, specjalnego typu umeblowanych mieszkań o zupełnie domowej atmosferze. Pokój, który należał teraz do Piotra, umeblowany był w przyjemny, praktyczny i niewymysłny sposób i stwarzał coś w rodzaju międzynarodowego klimatu, tak typowego dla ludzi, mieszkających w dużych blokach z centralnym ogrzewaniem i sypiających nie w łóżkach, ale na tapczanach.

W mieszkaniu były jeszcze dwa pokoje; jeden służył Soni jako sypialnia i gabinet, drugi zaś, o dużych, francuskich oknach, wychodzących na ogród, spełniał rolę salonu gościnnego.

Ludzie wpadali tu o każdej porze dnia — późnym ranem, po obiedzie, przed wieczorem. Rozmawiali o groźbie inwazji, która wisiała nad Neutralią jak nieustanny cień, o konsulatach i komitetach, o krewnych w ziemi obiecanej, i o krewnych w krajach podbitych. Niby kolonia białych ludzi w głębi czarnego lądu stworzyli swój własny żargon, swoje obyczaje, intrygi i zawisłości. Wszyscy oni uciekli od przeszłości i żeglowali ku jakiemuś bezpiecznemu brzegowi przyszłości. Teraźniejszość, w której przecież żyli, była czymś w rodzaju

ziemi niczyjej pomiędzy tymi dwoma brzegami. Ten zapewne fakt nadawał im wszelkie pozory duchów, nierealnych zjaw. Przemierzali co najmniej z tuzin państw europejskich, nie wyglądając nigdy przez okno wagonu. Z oczami, zwróconymi jak gdyby ku wnętrzu samych siebie podobni byli do niedzielnej wycieczki ślepców.

Byli zagubieni nie dlatego, że ich wyobcowano z przeszłości, ale dlatego, że ciągnęli ją za sobą. Stłoczeni wiecznie w kolejkach, albo w kawiarniach na Głównym Placu, przypominali zakurzone rośliny, które sprzedaje się na rynku do skrzynek przyokiennych i które leżą na derce sprzedawcy z odsłoniętymi korzonkami, oblepionymi grudkami ziemi rodzimnej, czekając na przesadzenie.

Przychodzili do Soni po radę lub na pługawędkę pod najrozmaitszymi pozorami. Pociągala ich, ponieważ jedyna chyba w całym tym towarzystwie żyła silnie osadzona w rzeczywistości. Podczas gdy wszyscy mieszkali w hotelach czy pensjonatach, ona miała prawdziwe, własne mieszkanie; i było w tym coś czarodziejskiego, coś nareszcie trwałego, coś co przypominało tratwę na rwącym prądzie.

— Przyprawiają mnie o mdłości te ich rozmowy o Przyszłości — powiedziała raz do Piotra w czasie obiadu. — To jest narkotyk; ludzie którzy go zażywają nałogowo przestają w ogóle żyć. W tym cała mądrość, żeby usamodzielnąć teraźniejszość i obwarować ją dookoła ciłami ochronnymi. — Piotr próbował jej wytłumaczyć, że to nonsens. Obierała banana i przyglądała mu się poprzez stół. — Spójrz, Pietia — powiedziała wpijając się zębami w banana i żując go wolno z wyrazem sennej lubieżności w twarzy — więcej jest realności w ustach wypchanych owocami, niż w całej tej przyszłości. — Piotr wzruszył ramionami; nie było co z nią dyskutować.

Ale pośród wszystkich tych cieni była istotnie realna, zbudowana z ciała, i to z dużej ilości ciepłego, solidnego ciała. Kosmopolitka z usposobienia i z wychowania czuła się wszędzie jak u siebie w domu. — Ludzie tacy jak ja — mawiała do Piotra — oskarżani bywają o brak korzeni. To nieprawda. Jesteśmy po prostu jak rośliny o eterycznych korzonkach. Z tym jednak, że żywimy się niegorzej niż inni i niegorzej też niż inni tkwimy w ziemi. — A lekkość, z jaką poruszało się jej masywne ciało, zdawała się potwierdzać te słowa.

Istniał jeszcze inny wzgląd, dla którego ludzie chętnie ją odwiedzali — jej zawód. Była bowiem specjalistką w tej nowoczesnej gałęzi psychologii spowiedniczej i chirurgii snów, która z tajemnic czyniła rzeczy oczywiste, a rzeczy oczywiste otaczała aureolą tajemniczości. Na przekór jej nonszalanckiemu i sennemu trybowi życia, lub może właśnie dzięki niemu, ta aureola nie opuszczała jej nigdy. Jak chłopci do wiejskiego proboszcza cisnęli się do niej członkowie kolonii tranzytowej po radę i odkryli swe troski i sprawy, czasem intymne, a czasem aż trywialne. Sposób w jaki się zachowywali podczas tych rozmów bywał niekiedy żenujący: skręcali się na krzesłach i zdawali się ciągle miętosić niewidzialny kapelusz na kolanach. Oczekiwali bowiem rewelacji, nagłego odsłonięcia tajemnicy, czy jakiejś innej widomej interwencji nieznanych potęg, którąby można było potem zmaterializować w jeszcze jednym stemplu na paszporcie. Nie otrzymywali nigdy tego, po co przychodzili, ale opuszczali zawsze pokój podnieceni, zbudowani i poruszeni do głębi. Nie odstraszał ich nawet fakt, że uprawiając swój zawód, Sonia nie uznawała różnic politycznych. Pomiedzy jej pacjentami był również Bernard, młody, nerwowy blondyn z nieprzyjacielskiego poselstwa. Piotr spotkał go raz w drzwiach i ze szczególnie przykrym uczuciem zauważył

jego ironicznie uprzejmy uśmiech. Innym znowu razem widział go, siedzącego z Sonią w kawiarni. Oburzało to ludzi, ale w niczym nie zmniejszało potoku jej gości. Sonia zaś nigdy nie okazywała po sobie, że ją to dotyka. Obnosiła z dobroduszną rezygnacją tajemniczą aurę swego zawodu, która przylgnęła do niej tak, jak zapach środków antyseptycznych do dentysty, lub zapach taniej perfumy do prostytutki.

Piotr nie bardzo wiedział czemu zawdzięcza wygodę mieszkania u niej. Wiedział przecież, że nie jest sentymentalną filantropką. Z początku sądził, że Sonia po prostu pali się do niego, ale odcień rodzinnej zażyłości, z jakim go stale traktowała, wykluczał wszelką agresywność. Kiedy upały stały się nie do zniesienia, zasiadała do posiłków w luźnym, chińskim szlafroku, pokrytym ptakami i kwiatami i jej obfite ciało parowało wówczas świeżym zapachem dobrego mydła toaletowego. Raz, w czasie siesty poobiedniej, gdy powietrze rozedrgane było aż od gorąca, po obiedzie, w czasie którego wypili więcej niż zwykle młodego, kwaśnego wina, powiedziała przeciągając się leniwie na tapczanie, z rękami podłożonymi pod szyję — rzekłbyś, słodka Junona, spoczywająca na łożu z obłoków: Pamiętasz, Pietia, co Katarzyna Wielka zwykła była mawiać do swoich kochanków? — „Drogi przyjacielu, miałam w życiu więcej niż dziesięć tysięcy mężczyzn i wierz mi, że gdy przychodzi do rzeczy okazuje się, że różnice pomiędzy wami wszystkimi są minimalne”.

Piotr podejrzewał, że Sonia miała naprawdę nie mniej kochanków niż Katarzyna Wielka. Oszalamiające mrowie przebiegło mu po całym ciele i pomyślał w przystępie złośliwości, że jej uda przypominają istotnie mięsożerne rośliny, które zamykają się nad swymi ofiarami, aby je ogłuszyć i wyssać.

W każdym razie nie to, albo nie zupełnie to, skłoniło ją do pognania za Piotrem, wówczas, gdy uciekł z

konsulatu. Być może miało to coś wspólnego z jej teorią o eterycznych korzonkach i być może odkryła, że Piotr posiada je również. — Głuptasek z ciebie, Pietia — powiedziała mu przy innej okazji — ale jesteś realny, prawie tak samo realny jak ja. A przynajmniej stajesz się bardziej realny z każdym dniem pobytu tutaj.

Wzruszył ramionami; ostatecznie powinowactwa jakie odkrywała pomiędzy nimi Sonia, były tylko jej sprawą. To zaś, że mieszkał było rzeczą rozsądną i praktyczną. Ludziom, którzy odwiedzali Sonię był przedstawiany jako młody rodak, syn przyjaciół dr Bolgar. Istniało nawet podobno jakieś luźne dalekie kuzynostwo pomiędzy nią i matką Piotra. W sumie było rzeczą zupełnie naturalną, że Piotr mieszkał u niej, i choć krążyły o nich obojgu zrozumiałe plotki, to miały one tylko charakter ozdobnych floresów dokoła szacownej etykiety.

W rzeczy samej byłoby samobójczą głupotą nie skorzystać z dachu nad głową, jaki mu zaofiarowała Sonia. I byłoby równie głupie odmówić przyjęcia pożyczki, jaką mu podsunęła na zakup garnituru, koszul i skarpetek. Sonia zetknęła go z jednym z komitetów, rozdzielających zapomogi dla uchodźców politycznych i obiecano mu tam kwotę, która pozwoli mu na pewno zwrócić pożyczone pieniądze.

Poza tym wmówił sobie, że ma zupełnie czyste sumienie. Oczekiwał wyjazdu na wojnę i nic go więcej nie obchodziło.

Minęło sześć tygodni od dnia jego pierwszej rozmowy z Mr. Wilsonem, i w międzyczasie dowiadywał się dwa razy na tydzień czy nie ma dla niego jakiejś odpowiedzi. Nie, nic nie przyszło. Resztę czasu, zanim spotkał Sonię, spędzał na bezowocnym włóczeniu się po ulicach, na wysiadrywaniu w kościołach i parkach — ciągle opanowany trwogą, że jeśli zaśnie choć na chwi-

lę, wpadnie w ręce policji. Z początku żywił się chlebem, owocami i serem, potem odmówił sobie owoców, aby na koniec wreszcie poprzestać na samym chlebie; ale i z tym był kłopot. Chleb sprzedawano tylko w bochenkach, musiał go więc ciągle nosić ze sobą, zawinięty w kawałek gazety. Każdy bochenek powinienby mu starczyć na cztery dni, jeśli miał tu pozostać jeszcze miesiąc.

Równy po upływie czterech tygodni zażądał drugiej rozmowy z Mr. Wilsonem. Ale tym razem trudno już było ukryć własne opuszczenie. Koszula rozsypywała się na drobne strzępki, marynarkę zapiął pod szyją pod niewiarygodnym pozorem, że jest zimno, a oczy miały szklisty wyraz, właściwy tylko ludziom głodnym i przerażonym. Mr. Wilson przyjął go z twarzą równie uprzejmą i strapioną jak za pierwszym razem. Zdawał się nie dostrzegać zmiany w wyglądzie swego gościa i wyciągnął doń zza biurka trzy zdrowe palce prawej ręki. Podyktował w obecności Piotra list do władz w kraju, prosząc o przyspieszenie decyzji. Potem poczęstował Piotra papierosem i powtórzył dawną radę, że warto by spróbować szczęścia w konsulacie amerykańskim „po prostu na wszelki wypadek”.

W tym miejscu Piotr, wystrzegając się bacznie zniewalającego wpływu skórzanego fotela, zapytał czy ta rada oznacza, że jego podanie zostało odrzucone; ale Mr. Wilson zaprzeczył kategorycznie. Powzięcie decyzji, powiedział, trwa czasem długo, ale ostatecznie przychodzi zawsze wyraźna odpowiedź: „tak” albo „nie”. A jak długo nie ma owego „nie”, można się ciągle spodziewać czegoś lepszego.

Po tej rozmowie Piotr odczekał jeszcze tydzień, a usłyszawszy znowu dwukrotne „dotychczas nic, Mr. Slavek” postanowił wreszcie pójść za radą Mr. Wilsona i stanąć w ogonku przed konsulem amerykańskim. To podczas pierwszej tam wizyty spotkał Sonię i uciekł opa-

nowany nagle wstydem i zniechęceniem, mając w kieszeni zaledwie parę groszy na jeszcze trzy bochenki chleba.

Tak, nie miał sobie nic do wyrzucenia. Zrobił wszystko, żeby się dostać na wojnę. Nie został przyjęty, ale i nie został również definitywnie odrzucony, tak że można było jeszcze ciągle żyć nadzieją; pozostawało jedno wyjście: czekać i nabierać w międzyczasie sił.

Pęcherze na nodze wygoiły mu się, był przyzwoicie ubrany i wracał szybko do siebie. Wyciągnięty w nocy pod ciepłym pledem, odczuwał nawet we śnie prawie że rozkosz na widok schludnego pokoju, ciemnej sylwetki drzewa w obramowaniu okna, szorstkiej czystości piżamy i pościeli. Jadł i spał bardzo dużo i czuł jak strumień życia wypełnia równomiernie wyschłe tkanki jego ciała, niczym soki wzbierające w drzewie. I naprawdę z trudem by mu przyszło przypomnieć sobie czasy, w których by żył tak mocno osadzony w terażniejszości, chwilą bieżącą. Niekiedy świadomość ciała wibrowała w nim tak silnie, że słyszał nie tylko bicie własnego serca, ale zdawał się śledzić pulsowanie krwi w czubkach palców i jej oczyszczanie się w przetwórni płuc.

Regularnie dwa razy na tydzień chodził dowiadywać się, czy nie ma dlań odpowiedzi. Te odwiedziny nabrały stopniowo charakteru rytuału religijnego. Nie mógł nigdy przestąpić progu drzwi pod flagą bez pewnego namaszczenia. Ale kiedy wychodził, a w uszach dzwoniły mu długo potem niby formułka rozgrzeszenia zawsze jednako brzmiące słowa „jeszcze nie”, odczuwał jednocześnie coś w rodzaju smutku i ulgi; i wzmocniony moralnie ścisłym przestrzeganiem swego rytuału wspinał się wolno stromą, wąską uliczką do góry, by zostawiwszy Przeszość i Przyszłość za sobą wkroczyć na powrót z uspokojonym sumieniem poprzez smugę płynnego światła księżyca — w Teraźniejszość.

Odette, Francuzeczka o chłopięcych wargach, zaliczała się do najczęstszych gości Soni. Niekiedy przychodziła na herbatę, częściej po obiedzie kiedy było zawsze jeszcze jeszcze trochę osób. Siadywała zazwyczaj w kącie na tapczanie, podkurczała nogi, plecami opierała się o ścianę i nie biorąc udziału w rozmowach patrzyła przed siebie. Ożywiała się tylko w czasie rozmów z Sonią; dopiero wówczas przeistaczała się w żywą, roześmianą dziewczynę. Wszystkich innych traktowała z apatyczną obojętnością.

Narzeczony Odette, wyjaśniła Piotrowi Sonia, był oficerem rezerwy i zginął w czasie klęski Francji. W życiu cywilnym był aktorem filmowym i Piotr pamiętał go z jednego czy dwóch filmów; grywał zazwyczaj role zniewieściałych, złotych młodzieńców w komediach francuskich. Rodzice Odette byli rozwiedzeni; mieszkała więc z ojcem, starszym, schorowanym i dość wybitnym uczo-
nym. Wyruszyli samochodem w czasie ogólnego exodusu i kiedy prowadziła wóz, umarł z wyczerpania na siedzeniu obok niej. Teraz wybierała się do Ameryki, gdzie mieszkała jej matka.

Oto wszystko, co mu opowiedziała Sonia o Odette. Z jakiegoś nieokreślonego powodu ani ona, ani Piotr nie rozmawiali nigdy więcej o Odette. Poza tym, kiedy Odette przychodziła przed wieczorem i w domu nie było już nikogo, Piotr ulatniał się zazwyczaj pod jakimś pretekstem, pozostawiając obie kobiety same. Żadna nie próbowała go zatrzymać i czuł się raczej nieswojo, gdy zamknąwszy za sobą drzwi wiedział że obie nasłuchują jeszcze przez chwilę jego kroków na schodach, aby zaraz potem zająć się już tylko sobą i zapomnieć o nim zupełnie. A może rozmawiały o nim? Ale i ta myśl była dla Piotra równie nieprzyjemna.

W czasie tych poobiednich zebrań w salonie, gdy

ludzie rozwalali się na tapczanie i w fotelach, paląc, plotkując i pijąc mrożone napoje, manewrował zawsze tak, żeby znaleźć miejsce, z którego mógłby swobodnie obserwować Odette. Nosila ze szczególnym upodobaniem obcisłe sweterki, takie jak ten, w którym Piotr zobaczył ją na tarasie kawiarni, pierwszego dnia po przybyciu do Neutralii. Kiedy spotkali się po raz pierwszy w mieszkaniu Soni zapytała z ironicznym uśmiechem:

— A gdzież się podziła ta chorągiewka, którą pan nosił w butonierce?

Odbuknął niewyraźnie i podał jej coś chłodnego do picia. Traf chciał, że była to oranżada. W okamgnieniu przypomniał sobie scenę, gdy rzucił jej pomarańczę poprzez stół, a z jej twarzy wyczytał, że i ona pomyślała o tym jednocześnie; ale żadne z nich nawet słowem nie napomknęło o tym incydencie.

Milczenie to napępiało Piotra nieoczekiwaną nadzieją, że scena z pomarańczą ma dla nich obojga jakieś szczególne znaczenie. Ale nie był tego pewien. Czuł, że z kąta na tapczanie idzie ku niemu jakieś napięcie, niby linie pola magnetycznego, i że uginają się one i zbaczają ze swego biegu ze względu na obecność Soni. Wiedział, że Odette, choć nie zwracała na niego zupełnie uwagi, świadoma była przecież ciągle jego obecności. Wątpił jednak czy i ona odgaduje tę jego wiedzę. Jedno w każdym razie było pewne: lepiej niż oni rozumiała wszystko Sonia.

Jego poczucie teraźniejszości zaostriżyło się więc jeszcze bardziej. Po ich drugim czy trzecim spotkaniu potrafił już z pamięci odtworzyć sobie zagięcie kolan Odette, gdy siedziała podkurczona w swoim kącie na tapczanie, linię jej swetra i wycięcie warg. Zdawało mu się, że żądza, która wybuchła w nim w czasie pierwszego spotkania, przetopila się teraz w palącą, coraz silniej nim owładającą czułość. Marzył tylko o tym, aby

siedzieć obok niej na tapczanie i gładzić jej włosy. Ale to pragnienie było tak gwałtowne, że gotów był użyć siły, powalić ją na ziemię, bić i tłuc, po to jedynie, żeby móc pieścić jej włosy i czuć ufnie pulsowanie krwi w jej żyłach, tak jak się czuje trzepot pisklęcia w gnieździe dłoni.

Nie rozmawiał z nią nigdy na osobności. Raz czy dwa spotkał ją na ulicy, ale odkloniła mu się tylko, daleka i wyelegantowana, nie zdradzając najmniejszym gestem, że pozwoliłaby się ewentualnie odprowadzić. Niekiedy jego pragnienie stawało się tak trudne do zniesienia, że godzinami całymi włóczył się po alei w nadziei spotkania Odette — zupełnie tak samo jak przedtem unikał jej przerażony myślą, że mogłaby go zobaczyć w zapiętej pod szyję marynarce. Próbował dociec czy jej ciągly chłód dotyczył tylko jego, czy też zachowywała się tak w stosunku do wszystkich mężczyzn. Gdyby w grę wchodziła pierwsza ewentualność, byłby to niezły omen — coś w rodzaju bardzo osobistego uczucia, choćby nawet było ono negatywne, choćby nawet opierało się na niechęci. Ale przelotne obserwacje nie układały się w żaden definitywny wniosek, a wrażenia zmieniały się z dnia na dzień. Usiłował również odgadnąć co Odette myśli o jego zamieszkaniu u Soni, czy podejrzewa coś, a jeśli tak, to jak na to reaguje: ciekawością, niechęcią, czy może zazdrością. A jeśli była zazdrosna, to o kogo? W ten sposób dochodził do dalszej, bolesnej i dwuznacznej sprawy stosunków pomiędzy Odette i Sonią.

Był to jak gdyby problem szachowy, który tak długo zmuszał do prześledzenia wszystkich możliwych wariantów, aż stawał się w końcu obsesją, doprowadzał do zapalenia wszystkich przewodów asocjacyjnych i poszłak w tej zagadkowej sprawie. Wszystko to razem przypominało mu z niezrozumiałych powodów niektóre okresy z przeszłości, stan jego umysłu gdy

wstąpił do Partii i gdy z kolei, nie tak znowu dawno temu, porzucił ją. W owym właśnie czasie jakieś zaburzenie uczuciowe wpędziło go również w gorączkową obsesję rozwikłania pewnego problemu. Partia nauczyła go racjonalizować uczucia, wykrystalizowywać namiętności w geometryczne wzory. Z uczuciem wstydu i poniżenia wspominał te dni, w których żył w stanie podobnego podniecenia, ale w których trójkąty jego euklidesowej gorączki zbudowane były z praw historii, z walki klas i narodów. Jakież szczęśliwe dni pełne nieustannych zamierzeń, sensu i aktywności; ale jak bardzo też były one odległe! Należały już nawet nie do przeszłości, ale do zaprzeczłości; nie były nigdy „teraźniejsze”, dawały tylko projekcję urojonych przyszłości i przeszłości. Ożywione, ale bezbarwne — jak świat fizyka.

Może miała rację Sonia, mówiąc, że tylko ci którzy żyją Teraźniejszością, żyją naprawdę. Tylko Teraźniejszość ma barwę, zapach i smak. Gdy spotykał Odette, powietrze zdawało się napełniać tlenem. Zaczynał wierzyć, że dawniej dusił się powoli, nie wiedząc nawet o tym.

4.

Sonia poszła na obiad do przyjaciół i Piotr został sam w domu.

Wrócił właśnie z konsulatu amerykańskiego. Był tam już po raz trzeci. Rzeczy zdawały się nie postępować naprzód od strony Mr. Wilsona, a słuchy o możliwościach inwazji na Neutralię przybierały coraz groźniejsze rozmiary. Byłoby zwykłym szaleństwem nie spróbować zabezpieczyć sobie linii odwrotu — po prostu na wszelki wypadek. Amerykańscy krewni, do których zwrócił się za namową Soni, zgodzili się poręczyć za Piotra ze zdumiewającą gotowością, przysłali nawet

trochę pieniędzy i zaofiarowali mu pracę. Mieli oni w Ameryce rodzaj biura podróży, które wyspecjalizowało się w wycieczkach dla uczonych i studentów. Gdyby nie wojna, byłaby to dość nęcąca propozycja. Tak więc, w czasie ostatnich dwóch tygodni, Piotr miał do załatwienia cztery sprawy na tydzień zamiast dawnych dwóch: dwie pobożne wizyty w budynku z herbem nad drzwiami i dwie świeckie w budynku, który reprezentował business.

Przyjemnie było siedzieć samemu w domu. Wziął prysznic, zasłonił pokój okiennicami przed blaskiem wczesnego południa i położył się z książką na tapczanie. Był to dziennik pilota z armii do której Piotr zamierzał wstąpić, ciekawy przez rzeczowość, z jaką opowiadał o czynach szalonej odwagi i poświęcenia i przez zupełny brak jakiegokolwiek idei poza tym wszystkim. Piotr był tak olśniony tym paradoksem, że w ciągu ostatniego kwadransa zapomniał zupełnie o Odette, gdy nagle u drzwi wejściowych odezwał się dzwonek. Trzymając palec pomiędzy kártkami książki, otworzył drzwi i znalazł się oko w oko z Odette. Miała na sobie białe sweterek z krótkimi rękawkami i stała w oślepiającym świetle przedsionka, rysując na żwirze jakieś wzory czubkiem pantofla. — Sonia w domu? — zapytała. — Nie — odpowiedział. — Nie wejdzie pani napić się czegoś zimnego?

Zawahała się przez chwilę, po czym wzruszywszy lekko ramionami, weszła do salonu i wcisnęła się w swój ulubiony kąt na tapczanie. Przyglądała mu się, jak wyjmował lód z lodówki i topił go w jakimś napoju. — Stale zależy panu na tym, żebym coś jadła lub piła — powiedziała.

Podał jej szklankę i usiadł na podłodze, u jej stóp. Gdyby się spodziewał jej odwiedzin, byłby na pewno zmieszany, pociłby się ze strachu, poruszałby się i mówił ostrożnie według planu, ułożonego w czasie długich

godzin, zapierającego dech oczekiwania. Ale teraz, gdy dzięki niewiarygodnie szczęśliwemu trafowi zstąpiła z niebios, kiedy nawet o niej nie myślał, czuł się lekko i swobodnie, szybował we mgle radości i improwizacji. Podwinąwszy nogi spoglądała na niego z kąta, jak przycupnął obok tapczanu, niby ogromny, wierny pies. — Czemu ma pan ochotę ciągle mnie karmić? — powtórzyła pytanie.

— Bo panią lubię — powiedział.

— Śmieszny z pana człowiek, jeżeli to wszystko co o panu mówią jest prawdą — powiedziała, a jej jasne, roześmiane oczy spotkały się na krótką chwilę z jego wzrokiem i znowu zapatrzyły się gdzieś przed siebie. — No, ale muszę już iść.

— Nie — powiedział szybko. — Niech pani poczeka na Sonię. I ogarnięty nagle paniką dodał: — Nie wróci przed kolacją.

Zaśmiała się: — Cóż za subtelny z pana dyplomata.

— Niech pani nie odchodzi — powtórzył ośmielony jej bezruchem. — Nastawię dla pani gramofon. Będę z panią prowadził mądre rozmowy. Dam pani mrożonego wina do herbaty.

Zaśmiała się znowu: — Czy nie chce mnie pan przypadkiem uwieść?

Spojrzał na nią z bezradnym uwielbieniem, powiódł wzrokiem od wycięcia jej warg do pomarszczonej skóry na łokciach, oparł podbródek o krawędź tapczanu i przybliżył twarz do jej kolan. — Słuchaj, Odette — wybuchnął gwałtownie — przecież wiesz, że cię kocham, prawda? Musiałaś się tego domyślić w czasie długich wieczorów, kiedy siedziałaś tam gdzie teraz i nigdy nie patrzyłaś na mnie...

— Och, niech pan przestanie — powiedziała Odette. Wyprostowała się żywo i śmiech znikł z jej głosu. — A jeśli pan już o to pyta — dobrze, mam dość tego pańskiego gapienia się. Od pierwszej chwili kiedy pa-

na zobaczyłam z tą śmieszną, chorągiewką w butonierce wiedziałam, że pan jest spragniony kobiety, prawie tak samo jak jedzenia. A może pan myślał, że mi to pochwlebia? Mam nadzieję, że nie będzie pan miał nic przeciwko temu, jeśli skończymy ten melodramat i pozwoli mi pan pójść.

Zsunęła się z tapczanu i rozejrzała się za torebką. Piotr był zbyt oszołomiony, aby ją powstrzymywać. Nie podniósł się nawet, zwrócił tylko głowę w jej kierunku i odprowadził ją spojrzeniem do drzwi z uczuciem tak bezbrzeżnej i ogromnej rozpacz, jakiej nie zaznał nigdy w życiu. — Do widzenia — powiedziała, otwierając drzwi i nie odwracając głowy. Drzwi zaskrzypiały. Znajomy dźwięk wyrwał go z osłupienia i zrozumiał błyskawicznie, że jeśli Odette odejdzie za chwilę, wówczas on zostanie już nieodwołalnie sam. Poderwał się na równe nogi, jednym susem doskoczył do drzwi i zatrzymał ją właśnie w chwili gdy wychodziła do sieni. — Na miłość boską, nie odchodź — krzyknął i jak gdyby drzwi mogły być śmiertelną zapadnią, w którą gotowa jeszcze runąć nieostrożnie, przycisnął ją do siebie opiekuńczym gestem i zatrzasnął drzwi nogą.

— Czy pan oszalał? syknęła, wydzierając się wściekle z jego uścisku, ale im gwałtowniej się szarpała, tym silniej zwieraly się jego ramiona, jak pętlica w pułapce.

— Nie rozumiesz — dyszał — że jeśli odejdiesz, to możesz już nigdy nie wrócić? — Zwariował — pomyślała, gdy przyciskał ją do siebie tak, jak gdyby groziło im jakieś straszliwe, nieuniknione niebezpieczeństwo. Przez chwilę stali spokojnie, porażeni uczuciem zupełnej nierealności. Po pewnym jednak czasie Piotr zaczął wracać do siebie, potem ocknął się zupełnie, rozluźnił ramiona z zakłopotaniem i wstydem, ale gdy ponowiła z furją próbę wyszarpięcia się, uchwyt zacieśnił się automatycznie. — Na miłość boską, słuchaj — zadyszał

znowu, przerażony tym wszystkim bardziej niż ona sama — chciałem tylko... — Niech pan mnie puści! Niech pan mnie puści, bo zacznę krzyczeć...

Szamotała się, łapiąc z trudem oddech i łomocąc pięściami w jego pierś. Gdybyż go chciała spokojnie wysłuchać! Boże, jakaż ona nierozsądna... Chciał jej przecieżyć tylko wytłumaczyć, że nie pragnie od niej niczego. Jej włosy miały zapach suchego mchu, jaki rośnie w rozpęknięciach nagrzanym słońcem skał. Przegięła się do tyłu, napięła cały tułów, aby uwolnić ręce do bicia i drapania, ale dzięki temu właśnie ruchowi przywarła doń jeszcze silniej całym swoim miękkim i rozgrzanym ciałem, podpałiła go płomieniem, który wybuchnął w nim teraz jak ogień w gorejącym krzaku cierniowym. Gdybyż tylko pozwoliła mu spokojnie wszystko wyjaśnić... Tymczasem swoim oszalałym oporem sprawiła, że odciągał ją krok po kroku od drzwi. Paplał jakieś bezsensowne słowa, które miały ją niby uspokoić. Ale było już zapóźno. Płomień rósł, aż ogarnął go wreszcie ognistą chmurą i zapachem jej włosów. Upadł oślepy, gdy potknęli się o tapczan, przypomniał sobie, jak spadał kiedyś z pokładu „Speranzy” w otchłań ciemnego morza, wbił kolana pomiędzy jej nogi, poczuł, że ustępują, a w chwilę potem jej całe ciało zakolysało się, głowa odwróciła się wolno w kierunku ściany, a twarz utonęła w poduszce. Gdy uświadomił sobie wreszcie, że to nie był sen, że posiadał ją naprawdę, wszystko przestało już być rzeczywiste i pozostała tylko upajająca woń gorącego, suchego mchu na rozpalonych skałach...

Leżała odwrócona do ściany z dziwnie przekrzywioną głową, jak lalka o przetrąconej szyi. Teraz mógł nareszcie gładzić jej włosy lekko, pieszczotliwie, tak jak zawsze tego pragnął. Nagle uprzytomnił sobie, że Odette płacze, wstrząsana suchym, bezdźwięcznym

łkaniem. Pieszcząc ciągle jej włosy i ramiona, wymamrotał:

— Widzisz, nie chciałaś mnie wysłuchać.

Zesztywniała nagle, przerwawszy łkanie:

— Coś ty powiedział?

— Powiedziałem, że wszystko czego pragnąłem to żebyś nie odchodziła, żebyś mi pozwoliła głaskać twoje włosy i podawać ci mrożone napoje... Naprawdę tylko tyle...

Zatrzęsła się od histerycznego śmiechu:

— Boże drogi, w życiu nie widziałam takiego durnia.

— Gniewasz się na mnie. Przestań. Nie chciałem tego.

Podciągnęła nogi, odsunęła się od niego i skuliła się pod ścianą.

— Zostaw mnie. Odejdź i zostaw mnie w spokoju na chwilę.

Zapłakała znowu, tym razem ciszej. Ześlizgnął się z tapczanu, przycupnął na dywanie i chwycił jedną z jej rąk, które leżały nieruchomo na poduszce. Była zmartwiała, wilgotna i rozpalona od wewnętrznego żaru.

— Wiesz — powiedział ośmielony tym, że nie cofnęła ręki — kiedy byłem małym dzieckiem, mieliśmy czarną kotkę, z którą zawsze chciałem się bawić, ale która zawsze bała się mnie jak ognia. Pewnego dnia, wysiliwszy całą swoją chytrość zwabiłem ją do pokoju dziecinnego, ale ukryła się pod szafą i nie chciała za nic stamtąd wyjść. Odsunąłem szafę od ściany, coraz wścieklejszy, że kotka nie chce się dać popieścić. Uciekła z kolei pod stół a gdy podniosłem stół uszkodziłem przy okazji dwa obrazy na ścianie i tak przewróciłem cały pokój do góry nogami, polując na kotkę. Wtedy weszła nagle do pokoju moja matka i zapytała co ja wyprawiam; gdy odpowiedziałem, że chcę tylko popieścić

tę głupią kotkę, dostałem straszliwe lanie. A powiedziałem przecież prawdę...

Zaśmiał się cicho i z radosną ulgą zauważył, że jej ramiona nie drżą już więcej, a gorące palce w jego dłoni, choć nie poruszają się jeszcze, zaczynają przecież pulsować coraz wyraźniej życiem.

— Boże, co za głupiec — powiedziała. — Po kiego licha ja tu dziś przyszłam.

— Wiesz — ciągnął — nie jestem pewien, czy będziesz tego zawsze żałować, choć w tej chwili jeszcze ciągle się na mnie gniewasz. W dzisiejszych czasach rzeczy często zaczynają się w ten sposób, to znaczy od sedna sprawy dochodzi się od razu na początku. W dawnych czasach ludzie musieli czekać latami, zanim pozwalano im iść do łóżka, a wtedy przekonywali się często, że niewiele ich łączy i że to wszystko polegało na złudzeniu gruczołów. Kiedy się zaczyna w inny sposób, nie trzeba tak długo czekać, ażeby się przekonać jak sprawy naprawdę stoją.

Leżała odwrócona do niego ciągle plecami.

— Ach, więc to jest ta mądra rozmowa, którą mi obiecywałeś — powiedziała. — Myślę, że teraz kolej na gramofon.

— Odette — błagał, ściskając jej palce, nie gniewaj się na mnie. Zrobię wszystko co zechcesz. Jeśli chcesz odejdę nawet i...

— Och, przestań — powiedziała zniecierpliwiona i nagłym ruchem odsunęła się od niego i usiadła na tapczanie. Twarz miała naburmuszoną jak dziecko w gorączce, wargi nabrzmiałe, policzki rozpalone — na prawym pozostał jeszcze odcisk poduszki.

— Wszystko w porządku, przestań jęczeć — powtórzyła.

— Ostatecznie to tylko gadanina, a winna jestem w równym stopniu i ja — chociaż, Bóg mi świadkiem, nie myślałam nawet o tym. Daj mi torebkę.

Skoczył, podał jej torebkę i usiadł obok niej na tapczanie. Wyciągnęła lusterko i zaczęła się malować, oparłszy się lekko na jego ramieniu. Przechwycił jej wzrok w lusterku i zauważył, że oczy śmieją jej się lekko — jak zawsze szydercze, ale już nie tak bezosobiste. Zamknęła torebkę, odłożyła ją, westchnęła i położyła się znowu na tapczanie.

— Ostatecznie — powiedziała, jak gdyby myśląc głośno — jesteś być może zupełnie miły, ot taki sobie wielki głuptas — chociaż niech mnie diabli wezmą, jeśli cię naprawdę lubię... — Uśmiechnęła się i po krótkiej przerwie skończyła:

— Zawsze to przekłete „ostatecznie czemu nie...” — Wiesz co mam na myśli? — zapytała, siadając nagle i przyglądając mu się z ciekawością.

— Nie bardzo — powiedział. Położyła się znowu, uśmiechając się złośliwie.

— Złożyłabym się, że nie bardzo — powiedziała. — No więc rozumiesz, cała rzecz polega na tym, że kiedy się dostatecznie długo szarpie i męczy kobietę przychodzi chwila, w której musi ona nagle poczuć jak głupia jest ta cała szarpanina i wierzganina — dużo hałasu o nic — i wtedy właśnie, w tej chwili, myśli, a właściwie gdzieś w jej ciele powstaje ta myśl: ostatecznie, czemu nie... Wyobrażasz sobie prawdopodobnie, jaki to z ciebie zabójczy uwodziciel, a tymczasem cała wasza męska zmyślność polega jedynie na doprowadzeniu kobiety do tego punktu zerowego, w którym pozostaje już tylko powiedzieć: ostatecznie, czemu nie...

Piotr milczał. Poczuł dotknięcie jej kolan i nie ruszał się, żeby go nie spłoszyć. Po chwili zapytał pokornie:

— Aż tak bardzo mnie nie lubisz?

Nie od razu odpowiedziała. Ujęła tylko jego rękę, pobawiła się nią w roztargnieniu, po czym puściła ją znowu. Na koniec powiedziała z namysłem:

— Nie wiem. Nie jesteś przynajmniej odpychający, a to jest coś. Myślę nawet — dodała uśmiechając się złośliwie — że to jest dość dużo, zważywszy... Podniosła się znowu gwałtownie i spojrzała nań z zakłopotaniem:

— Wiesz, sądzono o mnie i ja sama zresztą myślałam, że nie zniosę już nigdy dotknięcia mężczyzny, a tymczasem...

Patrzyła nań szeroko rozwartymi oczyma, jak gdyby ujrzała go po raz pierwszy w życiu. — Dziwne — powiedziała w końcu.

Robiła wrażenie niesłychanie zmieszanej, wargi rozchyliły jej się lekko. Kiedy przysunął się do niej bliżej, nie drgnęła nawet. Zdumiała go nagle nieoczekiwana, dziecięca słodycz jej twarzy. Wolno, na oślep, głuchym na wszystko, przybliżył się jeszcze bardziej, pocałował ją, poczuł, że jej usta zadrżały delikatnie, a ramiona zamknęły się dookoła jego szyi. Obsunęli się znowu na tapczan i posłyszał jej złośliwy szept:

— Ostatecznie, czemu nie.

Po czym dorzuciła łapiąc oddech: — Ale nie szarp mnie tak tym razem.

5.

Odette mieszkała w pensjonacie położonym na wzgórzu w starej dzielnicy miasta. Miała czysty, biały pokój z oknem, wychodzącym na podwórze, pośrodku którego stał ciemny cyprys tak niedaleko od ściany, że można było ręką dosięgnąć jego gałęzi, obrywać igły i zuć je dla zabawy. Pokój był klasztorny, z wąskim żelaznym łóżkiem, umywalnią, kołową szafą, zwykłym stołem sosnowym i fotelem. Na ścianie wisiał kalendarz z obrazkami świętych, a nad umywalnią zamglone lustro w drewnianych ramach.

Pokój ten był źródłem stałych zachwytów Piotra.

Dziewicza czystość wszystkich przedmiotów należących do Odette: gąbki na półeczce umywalni, pończoch na fotelu, nabierała dzięki kontrastowi jakiegoś lubieżnego sensu, tajemnej dwuznaczności dziewczęcej celi klasztornej. Nawet gładkie, białe ściany zdawały się być przesiąknięte intymnym życiem młodej kobiety, niby sztywne żeberka krynoliny, obramowujące ciało młodej tancerki. Pokój pełen był również jakiejś dziwnej wrażliwości. Bukiet kwiatów w szklance, której Odette używała do mycia zębów, postawiony na stole oświeślał go jak zapalka w ciemnościach. Echo słów i szeptów brzmiało jeszcze długo po umilknięciu ostatnich dźwięków. Wszystko co się działo, nawet tajemne obrazy, które przebiegały im przez myśl, nie ginęło w tym pokoju bez śladu; zawisło jak wspomnienie pomiędzy milczącymi ścianami. Pokój nie znosił kłamstw i półprawd; opadały jak płatki pękającego wapna ze ściany. Był to nagi narożnik bez nisz, w których można by ukryć ciało i myśli. Jego czysta prostota nie dopuszczała marginesów, rezerwy lub wstydu, nie pozwalała na porównania z przeszłością, ani na myśli o przyszłości. Białe, zimne i obnażone, prawie żywy jak skorpupa osłaniająca bezbronne istnienie, był ten pokój zardzewiałym stróżem teraźniejszości.

Wychodzili z domu zazwyczaj wieczorem i przymrużali oczy. Światła były już zapalone. Tłum spacerowiczów snuł się leniwie w alei u stóp teatralnie oświetlonych palm, a zagęszczał się tylko przed kawiarniami i przed redakcjami miejscowych gazet, czytając z zainteresowaniem i niedowierzaniem ostatnie depesze wojenne, jak wiadomości z innej planety, Piotr i Odette dawali nurka w tłum, w miejscach jego największego skupienia. Ślaniali się na nogach jak rekonwalescenci na pierwszej przechadzce, spragnieni hałasu i zgielku życia. Kupowali przeważnie gazetę, aby rzucić okiem na tytuły, przystawali przed kinami, żeby obejrzeć fo-

tosy w oszklonych gablotkach, siadywali na tarasie ulubionej kawiarni, patrząc jak żółty absynt w szklankach nabiera koloru mleka dokoła grudki lodu i czując jak uderza im powoli do głowy niby równobarwne dymy ogni bengalskich. Kiedy odkrywali, że są głodni pędzili wzdłuż alei do portu, do malej tawerny, gdzie można było zjeść w ogródku trochę ślimaków i taniej langusty i zapić to wszystko zwykłym, miejscowym winem — nazywano je tu Zielonym Winem — pod życzliwym okiem brodatego gospodarza.

Jednego wieczoru Odette, zajęta jedzeniem ostrygi zauważyła, że Piotr śledzi ją z jakimś szczególnym bliskiem w oczach. Zamilkł właśnie przed chwilą i przestał nawet jeść. — Co się stało? — zapytała zbliżając do niego twarz nad stołem.

— O nic — powiedział Piotr. — Lubię patrzeć jak jesz. Lubię skomplikowane ruchy twoich warg i zębów. Lubię w tobie wszystko. Lubię, gdy koniuszek twego języka pojawia się ukradkowo między zębami. Lubię twoje dziąsła. Chciałbym spijać wino z twoich ust. Chciałbym się upić twoją przezroczystą śliną.

— Boże, jakiś ty głupi — powiedziała miękko Odette. Oparła łokcie na stole, a twarz wcisnęła pomiędzy dłonie. Miała zwyczaj patrzeć na jego usta, zamiast w oczy, trochę z ukosa, tak jak by chciała przejrzeć do głębi jego nieprzeniknioną twarz.

— Wiesz, Pietia — powiedziała — ogromnie cię lubię, ale nie wyobrażaj sobie, że jestem w tobie zakochana. W żadnym razie. Tak zresztą jak i ty.

Piotr wychylił szklankę wina.

— Nic nie szkodzi — powiedział. — Może nawet tak jest lepiej. Kiedy podaź się zwiększa, ceny opadają. To jest żelazne prawo i nie można od niego uciec. Jedna szala musi zawsze iść w wadze do góry, gdy druga opada na dół. A ja jestem szczęśliwy, że mogę wszystko rzucić na jedną szalę.

— Ale to jest więcej, niż ja od ciebie wymagam. Pietia.

— Nic nie szkodzi — powiedział Piotr, napełniając szklanki. Napijmy się.

6.

Po pierwszych paru dniach spędzonych z Odette, Piotr doszedł do wniosku, że musi się wyprowadzić z mieszkania Soni. Nie umiał określić tego uczucia. Po między nim i Sonią nie zaczęło nic, co by jej dawało prawo do zazdrości — nic poza ciężarem nieuchwytniej i nieokreślonej dwuznaczności w powietrzu. Jeśli zaś chodzi o stosunki Odette z Sonią, to były one równie dwuznaczne i bardziej może niepokojące. Główny jednak powód polegał raczej na tym, że nie sposób było ukryć nic przed Sonią. Niczego nie wytknie, wszystko będzie wiedzieć i spojrzenie jej rozbawionych, wszystko widzących oczu wywoływać w nim będzie uczucie niezręczności i winy.

Komiteta wypłacał mu teraz skromną zapomogę tygodniową, która wystarczała na życie. Nie miał jeszcze ciągle dowodu tożsamości, musiałby więc zapewne znowu spać na plaży, ale ta perspektywa nie przerażała go już teraz, skoro dnie mógł spędzać z Odette. Regulamin pensjonatu w którym mieszkała nie pozwalał na odwiedziny po kolacji, ale pozostała część dnia mógł jej pokój uważać za własny dom.

Nazajutrz jednak, podczas śniadania, gdy czekał ciągle na sposobność poruszenia tej sprawy, Sonia zapytała bez ogródek:

— Jesteś szczęśliwy, Piotr?

Powiedziała to niedbale, nalewając herbatę do filiżanki.

Jak gdyby ugodzony zniecka, odmruknął:

— Co masz na myśli?

— Och, nie udawaj zmieszanego — powiedziała z odcieniem zniecierpliwienia w głosie. — Chcę tylko powiedzieć, że z Odette trzeba się obchodzić bardzo troskliwie. Miała kiedyś cały szereg szoków i jeszcze do dziś nie odzyskała w pełni równowagi. Pamiętaj, że Odette to delikatne stworzenie, niepodobne zupełnie do tych wszystkich jakobińskich lafirynd, z którymi dotychczas miałeś do czynienia.

Piotr poczuł się jednocześnie i zakłopotany i oburzony. — Cóż ty wiesz o moich towarzyszkach? — powiedział.

— No dobrze, nie miałam zamiaru ranić twoich uczuć. Zjedz jeszcze coś.

— Ale dobrze, że poruszyłaś tę sprawę — powiedział czując w sobie rosnącą wrogość, która bardzo ułatwiała przystąpienie do rzeczy — chciałem ci właśnie powiedzieć, że mam zamiar się stąd wyprowadzić.

— Teraz stajesz się dziecinny. Chcesz wpaść w ręce policji i wylądować znowu w kryminale?

— Nie, nie ruszą mnie już, a myślę, że mój pobyt tutaj wytworzyłby drażliwą sytuację.

Westchnęła i wycodziła przedrzeźniając go:

— Drażliwą sytuację... Musisz zawsze dramatyzować Pietia? Cemu nie bierzesz rzeczy po prostu tak, jak one wyglądają?

Piotr przełknął te złośliwości, próbując wymyślić jakąś odpowiedź i nagle uświadomił sobie, że może istotnie nie sprawia jej to żadnej różnicy. Upokorzyło go to i rozbroiło z miejsca.

— Chcesz powiedzieć, że ci jest naprawdę wszystko jedno? — zapytał nieśmiało.

Skończyła śniadanie i wstała, przeciągając się leniwie w szlafroku.

— Będziesz się jeszcze musiał nauczyć wielu rzeczy zanim dorośniesz, Pietia — zakończyła przyjaźnie. Zapaliła papierosa i wyszła do ogrodu.

Piotr odprowadził ją wzrokiem. Był zbyt zmieszany, aby zaprotestować, lub wykrztusić z siebie choć słowo. Ale wezbrało w nim nagle uczucie ulgi, straciło natomiast swe żądło uczucie upokorzenia. Gdy stała tak w ogrodzie i odwrócona doń plecami obłamywała uschłe gałązki z krzaków, ostre światło słońca uwydatniało jej uda i biodra pod szlafrokiem.

Piotr poczuł coś w rodzaju zakłopotania, winy i ciekawości, patrząc na znajomą postać kobietą w ogrodzie. Wspomnienie tamtych, nieuchwytnych obrazów mięsożernych kwiatów wróciło doń jak słabe echo kazirodczego snu.

W parę godzin później w pokoju Odette poruszył znowu tę sprawę. Próbował jej wytłumaczyć, bez chęci usprawiedliwiania się, że zamierzał wyprowadzić się z mieszkania Soni i że po rozmowie z nią postanowił ostatecznie zostać.

— Ale czemuś się chciał wyprowadzić? — zapytała Odette. Stała przed zamazanym lustrem, przygotowując się do wyjścia.

— Widzisz — powiedział, odczuwając znowu jakgdyby uczucie winy — Sonię może drażnić fakt że mieszkam u niej, podczas gdy ty i ja...

Odette uśmiechnęła się prawie z politowaniem — przynajmniej tak mu się wydawało. — Myślisz, że stanowi to dla niej jakąś różnicę?

Jeszcze raz ogarnęło go uczucie śmieszności i upokorzenia. Spojrzała na niego w lustrze, tak jak to lubiła robić. — Nie znasz Soni powiedziała.

— Nie — odpowiedział posępnie. — Ty ją na pewno znasz lepiej.

— Teraz próbujesz być ordynarny — powiedziała Odette, kończąc malowanie się. Nastąpiła nieprzyjemna chwila milczenia, po czym Odette odwróciła się nagle, usiadła obok niego na tapczanie i powiedziała spokojnie:

— Nie chcę dyskutować z tobą na temat Soni, Piotr. I tak nic nie zrozumiesz. Ale w każdym razie nie masz powodu urządzić mi scen zazdrości i robić z siebie głupca.

— Czuję się właśnie w tej chwili jak głupiec.

— Dobrze by było, gdyby mężczyźni nie byli tacy śmieszni powiedziała. — Czy nie możecie zrozumieć, że niekiedy kością w gardle staje nam już to wasze prawo dżungli — te zwierzęce ruje, czulenia się, dyszenia i dzikie napady. Ostatecznie stosunek miłości jest gwałtem, dokonywanym za obopólną zgodą.

— Nie znoszę tych twoich „ostatecznie” — powiedział Piotr — a poza tym to nieprawda. Przypomnij sobie historię z kotką, którą chciałem popieścić.

Uśmiechnęła się i wstała. — Tak wygląda wasza męska koncepcja czułości... W każdym razie chodźmy już, bo jestem głodna. Co będziemy dziś jedli?

— Ślimaki i Zielone Wino.

— Ślimaki i Zielone Wino... — mlasnęła językiem. Ale kiedy rozczesała włosy przed lustrem — z upodobaniem używała zawsze grzebienia, szczotki i ręcznika — powiedziała jeszcze po namyśle:

— Wiesz, zawsze myślę o Soni jako o pogrobowcu dawno już wymarłej rasy amazonek, które znały tajniki magii — archaicznej rasy kobiet — olbrzymów, kobiet — mieszańców i kobiet — matek...

Nie miał nic do powiedzenia na ten temat. Wyszli na ulicę i utonęli zaraz w wieczornym mrowiu ludzkim. Kawiarnie były zapchane, głośniki zapowiadały taniec brzucha z bębnami i kastanietami, latarnie rzucały z góry kaskady światła na zatłoczone chodniki. Przepychając się łokciami szli aleją i oboje czuli się jak gdyby milczącymi członkami operetkowego chóru, którym mieszkańcy Neutralii popisywali się w czas Apokalipsy — gdy noc w noc czarni jeźdźcy galopowali poza zasięgiem smugi światła, przebijającego się z miasta ku dalekim, ciemnym przestworzom powietrza.

Ostatniego dnia — Piotr nie wiedział, że jest on ostatni — przesiedzieli całe popołudnie w jej pokoju. Przychwycił znowu spojrzenie jej nieobecnych oczu, którego tak nie znosił i którego nawet trochę się bał. Próbował je zgasić, ale po chwili wróciło znowu. Poprzez zmrok zauważył, że uniosła się trochę i oparła się na poduszce:

— Cóż to za głupota dać się zabić na wojnie — powiedziała.

Nikt nie wybiera się na wojnę z takim zamiarem — odparł otaczając ręką jej nagie ramię.

— Ale co za brak wyobraźni — ciągnęła z dziecinna gorliwością, przewróciwszy się na wznak i zbliżywszy ku niemu twarz. — Gdybym miała pięć życ, oddałabym dwa Ojczyźnie, Rewolucji, lub czemuś w tym rodzaju. Może nawet trzy. Ale wszystkie pięć...

Przysunęła się bliżej tak, że ich kolana zetknęły się.

— Czy rzeczywiście chcesz tam iść? — szepnęła tak z bliska, że poczuł jej oddech na wargach. — Czemu nie pojedziesz lepiej ze mną?

Nigdy przedtem nie mówiła o przyszłości i zanim mógł odpowiedzieć odsunęła się i wstała.

— To wszystko brednie — powiedziała normalnym głosem. — Chodźmy do kawiarni.

Przyglądał jej się, jak wkładała pończochy.

— Teraz, gdy się tak ubierasz, zaczynasz znikać powoli — powiedział z żalem, patrząc jak mocuje się ze spódnicką. — A ja dopiero niedawno przywykłem do widzenia Cię taką, jaka jesteś naprawdę...

Przeciągnął się na łóżku, mówiąc na wpół do niej, a na wpół do sufitu.

— Czy wiesz, co to za wstrząs zobaczyć po raz pierwszy nagą kobietę, którą się kocha? Ogląda się nagle znajomą twarz w połączeniu z ciałem, które jest

obce, którego się nie znało. I widziana na tle nagości także twarz zmienia swój wyraz i spogląda na ciebie czarująco przeobrażona: „myślałeś, że mnie znasz? Oto jest prawda, głupcze”. Ale najbardziej oszałamiająca jest bezosobistość nagiego ciała; przedtem, we śnie, wyobrażało się je sobie jako coś obdarzonego poufałą tajemnicą, a teraz pojawia się po prostu jako fragment ożywionej rzeźby. I wtedy odkrywa się nagle tę drugą, pierwotną twarz, w której oczami są sutki, wpatrujące się w ciebie z daleka i obojętnie... Za pierwszym razem jest to prawie nieznośne, ale krok po kroku można się zaprzyjaźnić także i z tą drugą twarzą...

Odette skończyła się ubierać i wkładała teraz pantofle.

— I zaprzyjaźniłeś się z nią? — zapytała z uśmiechem.

— Kiedy widzę cię ubraną tak jak teraz, trudno mi prawie uwierzyć, że ona istnieje.

— I chciałbyś, żebym cię dlatego mniej kochała?

— Nie, tylko inaczej.

Chwycił ją za rękę i ukrył oczy w jej dłoni.

— Gdybyś wiedziała jak bardzo cię kocham, stałoby się coś strasznego.

— Dlaczego strasznego? — zapytała.

— Nie wiem. To tak jak gdybyś przeglądała się w lustrze i stwierdziła nagle, że nie ma przed tobą żadnego lustra...

Stała nieporuszona, patrząc na niego.

— Wiesz — powiedział, zawierając wszystko jej dłoni — zanim ciebie spotkałem tego ranka w kawiarni, nie żyłem w ogóle. Gdybyś odeszła byłoby tak samo. A nawet gorzej, bo człowiek nie może żyć nieurodzony, może tylko umrzeć.

Wzruszyła ramionami i wolno cofnęła rękę.

— Ubierz się, Piotr, i chodźmy — powiedziała miękko. Kiedy się ubierał obok umywalni, wychyliła

się przez okno i żując igłę sosnową, wysunęła dolną wargę do przodu i utkwiała nieobecny wzrok w podwórku.

8.

Minęło dziesięć dni.

Jednastego, gdy zapukał jak zwykle do drzwi Odette nie otrzymał odpowiedzi. Otworzył je i prawda w całej swojej nagości uderzyła go obuchem pomiędzy oczy.

Pokój był pusty i miał w sobie coś z agresywnej pustki krypty. Gąbka, mydło i szczotka do włosów znikły z półeczki. Łóżko przykryte było świeżą, białą kołdrą, która pachniała krochmalem, okno było zamknięte a gałęzie drzewa wypchnięte z pokoju. W kącie gdzie stała zazwyczaj jej waiizka, zarzucona pończochami i ubraniem, została na posadzce tylko biała okrągła plama, której nigdy przedtem nie widział. Ściany podobne były do martwych muszel, bielejących w słońcu.

Jedynym żywym przedmiotem w pokoju była prostokątna koperta na stole. Oparta była o szklankę z osadem pasty do zębów na dnie, i całe znikłe życie pokoju zdawało się być w niej zakłęte. Na kopercie widniało jego imię, wypisane przez Odette zielonym atramentem.

Otworzył list i czytał go, oparty jedną ręką o poduszkę, z otwartymi ustami, wciągając i wypuszczając z gwizdem powietrze. Nie musiał nawet czytać go dwa razy. Sztywna pustka pokoju огоłociła go już zupełnie z dobrodziejstwa bardziej stopniowego pogodzenia się z rzeczywistością.

„Mój okręt odchodzi za godzinę — czytał — muszę się więc spieszyć. W dniu, kiedy otworzyłeś mi drzwi u Soni, przyszedłem właśnie aby jej powiedzieć, że dosta-

łam miejsce na statku. Wiedziałam więc o tym cały czas, ale nie chciałam psuć naszych kilku wspólnych dni. Nie chciałam również wpływać na decyzję, którą powziąłeś.

„Od Ciebie zależy, czy się jeszcze kiedyś spotkamy. Ale jeśli zechcesz przyjechać, przyjedź szybko, zanim nie przeobrazisz się w mojej pamięci tak, że kiedy prawdziwy Piotr wróci, nie poznam go już nawet. A jeśli nie przyjedziesz, to wspomnij mnie czasem — nasze rozmowy, nasze spacer, a także tę drugą twarz, którą cieszę się, że polubiłeś...”.



Tegoż dnia, gdy wrócił do domu, znalazł inny jeszcze list. Mr. Wilson komunikował z zadowoleniem, że odnośne czynniki w kraju załatwiły przychylnie jego podanie o wizę. List wzywał Piotra do jak najszybszego stawienia się w konsulacie.

CZĘŚĆ TRZECIA

PRZESZŁOŚĆ.

*Bo nie ma zdrowia — lekarze mówią chętnie
Że dosyć już, gdy zdrowie obojętne.
Choroba zaś czy może gorsza być
Niż wiedzieć to, i tak już zawsze żyć.*

DONNE.

I.

Resztę dnia spędził Piotr na tapczanie w swoim pokoju. Sonia jadła obiad na mieście, był więc w domu sam. Cieszył się z tego — nie mógłby znieść teraz rozmowy z nią. Zamknął okiennice i drzwi, i leżał na wznak, bez ruchu w ciemnym pokoju.

Wszystko to było jeszcze do zniesienia, gdy leżał spokojnie. Jak w wypadku bólu reumatycznego lub złamania kości cierpienie zagłuszała nieruchomość. Ale jakakolwiek myśl o poruszeniu się, o zrobieniu czegośkolwiek napelniała go takim przerażeniem, że nie wstał na kolację i nie rozebrał się nawet, gdy nadeszła noc. Leżał pogrążony w osłupieniu i otoczony jak gdyby zasłoną, której nie ważył się tknąć. Wiedział, że to co czuje, jest tylko przytłumionym echem jego bólu, a właściwy wróg zaczął się gdzieś głęboko w jego ciele, gotów w każdej chwili do skoku.

Sceny z dni spędzonych z Odette przesuwały się na ekranie jego pamięci, przesłonięte welonem mgły, ale pulsujące aż intensywnością halucynacji. Godziny płynęły i gdy po pewnym czasie ocknął się wśród zupełnych ciemności, zrozumiał, że to była drzemka. Z ulgą poczuł mroczne milczenie w oczach i uszach i pomyślał, że najgorsze już minęło, gdy nagle szarpnął nim nowy ból i upłynęło parę chwil, zanim zdołał go raz jeszcze zagłuszyć. Znowu zapadł w drzemkę.

Gdy po pewnym czasie obudził go chrobot klucza Soni u drzwi wejściowych, przypomniał sobie dziwny i przyjemny sen, jaki miał przed chwilą. Stał otoczony ze wszystkich stron bardzo jasnym, przezroczystym prądem, który przenikał jego ciało — i rozumiał, że ten prąd to Czas, a on stoi oto pośrodku, w teraźniejszości. Poczuł, że prąd jest zimny, ostry i powiedział na głos: jestem skamieliną uwięzioną w kryształ zamarzłego czasu. Przejęło go uczucie doskonałego chłodu i czystości i powiedział jasnym głosem: Jestem jencem zamurowanym w teraźniejszości, która jest krystaliczną próżnią.

Żałował bardzo, że obudził się właśnie pośrodku snu, gdy zdawał się stać prawie na krawędzi jakiegoś ważnego i radosnego odkrycia.

Próbował utrwalić swój sen, aby opowiedzieć go nazajutrz Odette, ale poczuł, że roplywa mu się on w pamięci. Wybuchła w nim na nowo rozpacz. Wymamrotał głośno „nigdy więcej” i poczuł nowy przypływ bólu. Oddychał ciężko i przysłuchiwał się dziwnemu świstowi w swojej piersi; potem odwrócił głowę i utopił zęby w miękkiej poduszce.

Po chwili czuł się już lepiej. Pamiętał teraz z całego snu tylko wrażenie rozedrganej przejmującej próżni i zdanie: „więzień pustego czasu”. Zegar wydzwonił jedenastą, do świtu pozostawało jeszcze osiem godzin.

Spał dłużej niż zwykle i obudziło go dopiero pluskanie się Soni w łazience. Gdy tylko otworzył oczy uświadomił sobie, że w jego ciele zaczęła się znowu jakaś ciemna groźba. Jediną przeciwko niej obroną było trwać w bezruchu pod kołdrą. Położył się więc na powrót i czekał aż Sonia wyjdzie z łazienki. Słyszał, jak odkorkowuje wannę, jak woda wycieka z początku wolno, potem zaś gdy nad otworem pojawia się już lejkowaty wir, z głośnym bulgotaniem i szumem. Teraz słysząc szurgot jej nóg na dywaniku; wreszcie drzwi zatrzasną się za nią równocześnie z ostatnim, ochrypłym rżeniem opróżnionej wnany.

Z pewnym wysiłkiem woli podniósł się, odszukał pantofle i powłókł się do łazienki. Dziwna rzecz: odczuwał pewien zawrót, ale nie głowy, a nóg. Zwykle brał rano zimny prysznic, ale dziś nie miał nań ochoty. Napelnił tylko umywalnię wodą i zanurzył w niej głowę. To go odświeżyło; ale gdy stał tak schylony nad muszlą umywalni wydało mu się nagle, że prawa noga osuwa się pod nim i musiał uchwycić się obiema rękami półki. Robiło to takie wrażenie, jak gdyby opuściły go wszystkie siły, a w załamaniu kolana, dookoła oparzelizny, pozostała tylko dziwna drętwosć.

Trwało to minutę, albo i mniej; potem przeszło, ale nie zupełnie. Skończył się myć, powłókł się odczuwając jeszcze ciągle zawroty do pokoju i ubrał się.

Sonia przyglądała mu się znad stołu, gdy wszedł do pokoju. — Co ci jest, Piotr? — krzyknęła. — Jesteś chory?

Zaprzeczył ruchem głowy. — Głupstwo — powiedział. — Tylko jakieś dziwne uczucie w nodze, ale już prawie przeszło.

— A co ci w nogę?

— Nic. Przypuszczam, że to ta blizna, która mi pozostała z okresu śledztwa.

— Nigdy mi o tym nie mówiłeś.

Wzruszył ramionami i przełknął kawałek bułki. W ustach czuł suchość, a bułka miała smak wapna. Sonia przyglądała mu się przez chwilę, po czym wróciła do czytania gazety. Cierpiał na myśl o tym, że rozmowa potoczy się na temat wyjazdu Odette, ale Sonia nie odzywała się ani słowem, zajęta jedzeniem i gazetą. Z trudem skończył bułkę i wypił herbatę.

— Wychodzisz dziś rano? — zapytała Sonia.

— Tak, przyszła moja wiza — odpowiedział.

— Ach tak — powiedziała Sonia, patrząc nań z ciekawością — wyobrażam sobie, jak bardzo się cieszysz.

— Tak. Muszę wpaść do Mr. Wilsona. Ale myślę, że położę się przedtem na chwilę.

Poczuł gwałtowne, fizyczne pragnienie wrócenia do swego pokoju, na tapczan; chciał nakryć się pledem i utonąć w ciepłym mroku, przez nikogo już nieobserwowany.

— Czy ta blizna bolała cię już kiedyś? — zapytała po chwili Sonia.

— Bolała? Nie, nigdy mnie nie bolała — odpowiedział Piotr nieprzytomnie.

— Rozumiem — powiedziała Sonia. Sięgnęła po banana i obierając go, dorzuciła jak gdyby od niechcenia:

— Nie choruj właśnie teraz, Pietia. Byłby to kiepski pomysł.

— Postaram się — powiedział Piotr, wstając od stołu. Składał swoją serwetkę z przesadną starannością, zastanawiając się jak przebrnąć teraz odległość sześciu kroków, która dzieliła go od pokoju. „Czas na mnie” powiedział do siebie, czując uważne spojrzenie Soni. Po trzecim kroku poczuł zupełnie to samo co w łazience — że z prawej nogi uciekło zupełnie życie. Zwisiała z

biodra martwa i zdrętwiała, jak kawał obcego ciała, nieczuły nawet na dotyk podłogi. Gdyby zamiast niej wisiała pusta nogawka, czułby się zapewne tak samo. Zachwiał się, udało mu się jednak dowlec do drzwi i oprzeć się o nie. Myślał, że Sonia przyjdzie mu z pomocą, ale gdy odwrócił głowę nie poruszyła się nawet. Jadła dalej banana, obserwując go spokojnie.

— Zawrót głowy? — zapytała w końcu.

Piotr uczepił się drzwi.

— To ta noga — powiedział. — Czuję się tak, jak gdybym już nie miał nigdy chodzić... Serce zabiło mu gwałtownie.

— Nonsens — powiedziała Sonia. — Puść klamkę.

Głos jej zabrzmiał oziębłe i krótko. Zdjął rękę z klamki i nagle podłoga usunęła mu się spod nóg i ugięła się ukośnie. Uczepił się znowu drzwi.

— Nie mogę chodzić — rzucił ochryple.

Sonia wstała bez pośpiechu i podeszła do drzwi. Zdjęła mu rękę z klamki i otoczyła się jego ramieniem. Pomogła mu doskoczyć na jednej nodze do tapczanu, przyglądając się przez chwilę jego prawej nodze, która wlokła się za nim jak przetrącony gnat lalki. Spojrzanie to nie zrobiło na nim żadnego wrażenia. Czuł się pewnie i wygodnie oparty o jej ciepłe ciało, jak wówczas, gdy po ucieczce z konsulatu amerykańskiego, ujęła go pod ramię i zaprowadziła do swego mieszkania.

Kazała mu się położyć na tapczanie i namacała jego puls. Poczuł dotknięcie jej palców, ciepły przyptyk ulgi, rozchodzący się po całym ciele. Puściła wreszcie przegub jego dłoni i położyła mu rękę na czole.

— Masz gorączkę — powiedziała. — Włóż piżamę, wrócę za chwilę.

Gdy wróciła, leżał spokojnie pod kołdrą. Myślał o Odette, ale ostry ból już minął i pozostała tylko próżnia wszystko wysysająca — przeciąg, który połączył się z obrazem jej pustego pokoju i wypijał życie ze

wszystkich przedmiotów dookoła.

— Dzwoniłam do dr Huxtera — powiedziała Sonia — obiecał przyjść. Tymczasem obejrzymy tę nogę.

Podniosła koldrę i podwinęła nogawki piżamy. Przyglądał się z obojętną ciekawością swoim nogom, gdy leżały tak, białe i nieruchome, na niebieskiej koldrze. Nagle zapytał:

— Czyż to prawda, że zwierzęta odgryzają swoje własne kończyny, gdy grozi im gangrena?

— Niektóre tak — powiedziała — a dlaczego o to pytasz? Chciałbyś i ty spróbować?

Uniosła jego prawą nogę i obejrzała bliznę pod kolanem. Ciemna, okrągła plama wielkości dużej monety podobna była do myszki i miała kolor wina.

— Zdaje się, że wszystko w porządku — powiedziała. — Teraz zegnij nogę w kolanie.

— Jak? — zapytał Piotr. Noga, którą trzymała w kostce, zawisła nieruchomo w powietrzu.

— Co to znaczy „jak”? Zegnij ją.

— Ale ja nie potrafię — powiedział ze zdziwieniem, patrząc na dziwny przedmiot, który był jego nogą.

— Spójrz: to zupełnie proste.

Zgięła jego nogę parę razy.

— Teraz powtórz to sam.

Zamknął oczy i próbował pomyśleć, jak zgiąć nogę. Nie poruszyła się. Nagle usłyszał przytłumiony, głuchy odgłos i otworzył oczy. Noga wypuszczona przez Sonię spadła na koldrę i wyglądała tak samo dziwnie i spokojnie jak przedtem. Sonia stała obok tapczanu, przyglądając mu się uważnie.

— Teraz podnieś ją znowu — rozkazała.

Chciał jej posłuchać, ale noga nie drgnęła nawet.

— Nie robisz żadnego wysiłku — powiedziała Sonia.

— Robię — odpar Piotr znużonym głosem — ale...

— Ale co?

— To tak... to tak..., jak gdybym zapomniał, gdzie jest przełącznik, rozumiesz?...

— Rozumiem — powiedziała wolno Sonia.

Piotr zamknął znowu oczy. Był bardzo zmęczony i chciał zasnąć. W ustach czuł suchość, a w sercu ciągle skurcze i ssania. Przypominało to wkładanie ręki do wylotu odkurzacza elektrycznego, ale działało się przecież w jego piersi, powodując straszliwy ból pod żebra-
mi. Wiedział, że jest to działanie próżni, tego krętego, wijącego się strumyka, który wszystko za sobą pozostawiał martwe i puste.

— No dobrze, ale co my z tym fantem zrobimy? — zapytała Sonia.

Znowu otworzył oczy i spojrzał na nią. Stała u wezglowia tapczanu masywna jak wieża. Szlafrok obsu-
nął jej się trochę na piersiach, odsłaniając ich brązową
gładkość. Bilo od nich gorąco jak z pieca. Tylko one
zdawały się aż rozpękać od życia w tym wyjałowionym
świecie.

— Nie wyglądasz na bardzo przerażonego — powied-
ziała Sonia.

Poruszył się lekko.

— A co będzie, jeśli się okaże, że trzeba tę nogę am-
putować?

Spojrzał z ukosa na martwą nogę, leżącą na prześ-
cieradle i nie potrafił wykrzesać z siebie ani odrobiny
współczucia.

— Jeśli to będzie konieczne... — powiedział.

Zaśmiała się i przykryła go kołdrą.

— Żartowałam tylko, głuptasie. Nic ci nie jest.

Poprawił się w łóżku i znowu zamknął oczy. W
głowie czuł tępe łomotanie. Miał przecież gorączkę —
tak twierdziła Sonia. Jakaż to ulga, że zachorował, że
zostawili go samego, że nie musiał pobierać decyzji i
mógł teraz wsłuchiwać się tylko w ciche szarpnięcia
swojego serca i smakować w pełni słodycz osierocenia.

U drzwi wejściowych odezwał się dzwonek i rozdarł ostrym dźwiękiem ciemność. Wiedział już: to Odette stoi w sieni w białym sweterku i płonie aż cała w ciepłym blasku południa. Ból, wywabiony nagle z ciemnej kryjówki zerwał się i wpił się szponami w jego ciało. Dysząc, wsłuchiwał się w ostry świst swego oddechu, jak w ciągu nocy. Wtem drzwi się otworzyły i wróciła Sonia w towarzystwie dr Huxtera. Żółty i pomarszczony przypominał smutnego małpiszona. Stali teraz oboje obok jego tapczanu, dr Huxter strząsnął gwałtownie termometr i włożył mu go do ust. Po chwili wyciągnął i spojrzał.

— Dość wysoka — powiedział do Soni.

Kazali mu usiąść na krawędzi tapczanu i skrzyżować nogi. Był bardzo zmęczony, ale wsłuchał.

— Teraz połóż prawą nagę na lewej — powiedziała Sonia.

Wściekał się na nią w duchu, że każe mu robić rzeczy niemożliwe, ale schylił się, uchwycił prawą nogę obiema rękami i rzucił ją jak pakunek na lewą.

Dr Huxter wyciągnął z kieszeni mały młoteczek i opukiwał nim kilkakrotnie chore kolano. Piotr siedział nieczuły i spoglądał zdziwionym wzrokiem, jak martwa noga podryguje za każdym uderzeniem młoteczka, podobnego do kukielki brzuchomówcy skaczącej na kolanie swego mistrza.

Dr Huxter zaczął teraz uderzać w ścięgno nad piętą i za każdym razem martwa noga drgała. Wreszcie uklął go szpilką w kostkę i Piotr zobaczył jak martwe palce u nogi zsuwają się i zaginają w kierunku pięty. Wydało mu się to wszystko bardzo zabawne i wyszczerzył zęby w uśmiechu, patrząc na figle swojej matwej nogi.

— Zdaje się, że odruchy są w porządku — powiedział dr. Huxter.

— Tak też myślałam — mruknęła Sonia.

Kazali mu się znowu położyć i przymknąć oczy.

Sonia położyła na nich rękę, jak gdyby chciała w ten sposób zapobiec oszukaństwu. Ręka była zimna i pachniała przyjemnie mydłem. „Teraz Huxter odetnie mi pewnie nogę” — pomyślał Piotr. Poczuł jedno po drugim ostre ukłucia w zdrowej nodze, która za każdym razem reagowała drganiem. Nagle Sonia cofnęła rękę i Piotr zobaczył, że dr Huxter kłuł na przemian obie nogi. Dziwne — przebiegło mu przez myśl — przecież to jasne, że moja prawa noga zmartwiała.

Dr Huxter zbadał jeszcze oparzelizny, zajrzał mu do gardła, opukał klatkę piersiową i plecy, posłuchał pracy serca i na koniec, ku ucieście Piotra, oboje odeszli. Ale drzwi zostawili uchylone i słyszał ich rozmowę w salonie, nie rozumiejąc z niej ani słowa.

3.

— Co za bigos — powiedziała Sonia w przyległym pokoju. Kolysała się lekko w fotelu, trzymając w ręce szklankę vermuthu.

— Mam wiele współczucia dla tego chłopca — powiedział dr Huxter. Przechadzał się po pokoju z kciukami obu rąk w kieszonkach kamizelki. — W każdym razie cieszę się, że zgadzamy się co do diagnozy.

— Coś w tym rodzaju musiało mu się i tak wcześniej czy później przydarzyć. Tonął już od dawna. Odette była tylko ostatnią słomką. — Kiedy pani wyjeżdża — zapytał dr Huxter.

— Od dziś za cztery tygodnie — odparła Sonia. — I nie mogę wyjazdu odłożyć.

Dr Huxter zamykał i otwierał dłonie, nie wyjmując kciuków z kieszonek i łapiąc jak gdyby w ten sposób muchy. — Jeśli go pošlemy do szpitala, zostanie kaleką na całe życie. I oddadzą go w ręce policji.

— Nie pošlę go do szpitala, jeśli to tylko będzie w mojej mocy — powiedziała Sonia.

Z drugiego pokoju dochodził zgrzytliwy dźwięk oddechu Piotra.

— Zasnął — powiedział dr Huxter. — Nie mogę zrozumieć, skąd ta temperatura w kulminacyjnym punkcie paraliżu. Gardło ma tylko lekko zaognione.

— Pamiętam, że jako dziecko miewał często zapalenie migdałów — powiedziała Sonia. — Pewnie wróciło teraz.

Dr Huxter potrząsnął ze zdziwieniem głową.

— Widziałem parę takich wypadków — powiedział — i za każdym razem uderzały mnie jako zupełnie fantastyczne.

— Bo pan przesądza rzeczy z góry — powiedziała Sonia. — Czemuż to ruptura pamięci miałaby być rzeczą bardziej fantastyczną niż ruptura w pachwinie? Szczególnie u młodego głuptasa, który biegnie przez życie, dźwigając sprawy o ciężarze duchowym, znacznie przerastającym jego siły.

Dr Huxter spacerował w dalszym ciągu po pokoju.

— Myśli pani, że można by go z tego wyleczyć? — zapytał po chwili.

— To zależy — odparła Sonia. — Cztery tygodnie to za mało.

Z pokoju Piotra dochodziły dziwne odgłosy, przerywane wyjęzonym sapaniem.

— Zajrzyjmy do niego — powiedział dr Huxter.

Weszli do pokoju. Piotr siedział wyprostowany w łóżku, ciało miał wyprężone, policzki rozpalone, a oczy wpatrzone w jakiś daleki cel. Wyglądał jak chore, śmiertelnie poważne dziecko. Jedną ręką ścisnął niewidoczną kierownicę i obracał ją to w lewo to w prawo małymi szarpnięciami, wykonując za każdym obrotem ruch całym ciałem, przypominający równoważenie rozpędu samochodu na śliskich zakrętach. Drugą ręką wyciągał i popychał jakiś niewidoczny pręt i znowu jego ciało słaniało się to do przodu to do tyłu, jak gdy-

by kolysząc się na grzbiecie galopującego konia. Od czasu do czasu, przymykał oko, przyciskał palec wskazujący do kciuka i wydawał przez zaciśnięte wargi dźwięk, podobny do przytłumionego odgłosu karabinu maszynowego. Nagle trzasnął się obiema rękami w twarz, zasłonił prawe oko, stężał na chwilę i opadł z zamkniętymi oczyma na tapczan, mamrocząc jakieś niezrozumiałe słowa. Dr Huxter odchylił jego powieki; źrenice były odwrócone i szeroko rozwarte.

Sonia przyglądała się popisowi Piotra z ogromnym zainteresowaniem.

— Zabawiał się w lotnika — powiedziała. — został oczywiście zestrzelony. Bo jakże by inaczej — mały głuptas!

— Ale co za przedstawienie! — wykrzyknął dr Huxter. — Zawodowy aktor nie zagrałby tego lepiej.

— Na pewno nie — mruknęła Sonia.

Stali oboje u wezglowia tapczanu, patrząc na Piotra, który trwał w bezruchu.

— Zauważył pan w które oko trafiła go kula? — zapytała Sonia. — Został zabity strzałem w prawe oko. Przypomina mi to wypadek, jaki zdarzył się w jego rodzinie, gdy był jeszcze dzieckiem...

— Może go odwrócić? — zapytał niespokojnie dr Huxter.

— Zostawmy go lepiej w spokoju — powiedziała Sonia. Odzyskała całkowicie równowagę, patrząc na woskową twarz Piotra i dr Huxterowi wydało się, że jest bardziej ożywiona niż zwykle.

— Szkoda, żeśmy opuścili początek ataku — powiedziała. — Dałoby nam to więcej przesłanek. Ale mam nadzieję, że się powtórzy. Kolejność jest raczej nieprawidłowa.

Gdy znaleźli się z powrotem w salonie, dr Huxter powiedział z rozpaczą w twarzy:

— Ja jestem tylko internistą ze starej szkoły. W tych

rejonach chorób, tracę raczej grunt pod nogami.

— Wiem — powiedziała Sonia, kołysząc się w fotelu.

— Dla pana są to zjawiska chorobliwe, choć przed chwilą jeszcze sam pan był pełen zachwytu dla jego natchnionych czynności. Był przecież czas kiedy stygmaty historyków uważano za szczeliny w skórze, przez które bucha święty płomień.

Dr Huxter wzruszył z rezygnacją ramionami.

— Ja jestem stary Żyd, proszę pani — powiedział.

— Misteria dionizyjskie przyprowadzają mnie o gęsią skórę i o nadmiar kwasów żołądkowych.

Sonia uśmiechnęła się.

— Tę pana złapała! Sama skorupa i za grosz plazmy. Oto dlaczego nie znoszą was poganie. Mają zdrowy instynkt, że z pojawieniem się waszych dwóch kamiennych tablic, skończyła się cała zabawa.

— Jeżeli pani nazywa to zabawą... — powiedział dr Huxter, wskazując podbródkiem na sąsiedni pokój.

— Nie. To cena, którą płacie za wyrzeczenie się zabawy. Zatrute dymy, zamiast słupa ognia.

Dr Huxter wrócił znowu do przerwane go spaceru i do łapania much. Nie lubił tej bujnej Amazonki i jej ohydnej zażyłości z tymi dziedzinami życia ludzkiego, w których królują niepodzielnie pradawne potwory: Behemot, Lewiatan i Bóg wie jakie jeszcze zwierzogłowe boginie, bezwstydnie tarzające się w półmroku i w biblijnym błocie. Napisane jest: nie będziesz spoglądał na nie. Nieczysta to sprawa dźgać i mącić błotniste topiele tak, aby na powierzchnię wyskakiwały jadowite bańki. Widok młodego, złożonego niepojętą boleścią chłopca, wywołał w nim pragnienie dokładnego wymycia rąk, naciągnięcia gumowych rękawiczek i nakrochmalonego fartucha i przystąpienia do dzieła. Chciałby go ciąć i szyć w ostrym, białym świetle stołu operacyjnego aż do skutku, aż do usunięcia uszkodzeń. Ale niestety z ciałem pacjenta nie stało się nic

namacalnie złego, choć w ciągu jednej nocy stał się lkalą. Zjawiska te, niestety, istniały i nie można sobie byłoby perswadować, że są fikcją. A już najbardziej oburzającą rzeczą było to, że leczenie którego wyimagowały, było równe nieczyste, jak sama dolegliwość. Zamiast zastosowania środków antyseptycznych i odizolowania infekcji, trzeba było zachęcać pacjenta do jej poszerzenia, do rozprowadzania ropy pod własną skórą.

— Robi wrażenie tak dzielnego, silnego młodzieńca — powiedział przygnębiony. — Nie załamiał się. Kiedy go torturowali. Ma wszystkie zalety swego pokolenia: sceptyzm obok oddania, samopoświęcenie bez krzty sentymentalizmu. A teraz...

Przerwał, stropiony leniwym bujaniem się Soni w fotelu i jej uśmiechem.

— A teraz bohater spadł z piedestału — powiedział. — Napiętnowany, pokryty stygmatami, niešťczęśliwy. I tylko dzięki zbiegowi okoliczności obnażył beład, jaki kryje się we wszystkich ludziach jego typu.

— Ale na miłość boską — krzyknął dr Huxter, przerwawszy nagle swój spacer. — Nie chce pani chyba powiedzieć, że coś w rodzaju nieuchwytniej chorobliwości tkwi poza wszystkimi wartościami, które czcimy?

Odczuwał coś w rodzaju choroby morskiej na widok jej nieustannego kołysania się i skrzypienia fotelu.

— Wartościami! — powtórzyła wolno Sonia oburzoną tonem. „Odwaga...”, „Oddanie...”, „Samopoświęcenie...”. Brzmiało to tak, jakby każde z tych słów brała do ust i czekała aż się rozpląną na języku. — I chorobliwość...

To słowo wymówiła z grymasem, jak gdyby przeżuwając coś kwaśnego.

— Nie mam zwyczaju posługiwać się tymi słowa-

mi. Należą one do dramatycznego słownika waszych proroków — choć mówiono mi także, że bywają niekiedy wygłaszane z pianą na ustach. Chciałam jedynie powiedzieć, że w naszym stuleciu wszyscy krzyżowcy są stygmatykami. I na próżno starają się ukryć za doktrynerstwem — kiedy są sami i nadzy, pocą się zaraz wszyscy małąkimi kropelkami krwi...

Uśmiech na jej wargach nabrał złośliwego wyrazu:

— Drogi, stary kolego Huxter, nigdy nie leżał pan w łóżku z reformatorem świata, w przeciwnym razie wiedziałby pan na pewno co mam na myśli...

— No doskonale, mam nadzieję, że się w końcu wykaraska jakoś ten Piotr — wtrącił sucho dr Huxter.

Porwał kapelusz, chcąc jak najszybciej położyć kres tej rozmowie. Biblijny werset o Nierządnicy Babilońskiej wprowadzał go zawsze w zakłopotanie.

— Jeżeli się z tego wykręci, to może mu to nawet wyjść na dobre — powiedziała Sonia. — Tego rodzaju kryzys przypomina zaczerpnięcie wody z legendarnego źródła: albo zabija, albo odradza...

Z pokoju Piotra dochodziło niewyraźne mamrotanie.

— Ciekawam jaką znowu zapomnianą wyspę przeszłości odkrywa teraz — powiedziała Sonia.

Nasłuchiwali oboje, ale mamrotanie ustało.

— Zajrzę tu jutro — powiedział dr Huxter, rad że może wreszcie uciec.

4.

Piotr majaczył w gorączce trzy dni.

Śniły mu się przedziwne zdarzenia z przeszłości, ale większość z nich rozplywała się we mgle w chwilę po przebudzeniu.

Bułgotanie wody w wannie, które obudziło go w pierwszym dniu choroby, towarzyszyło teraz niektórym

rzym jego majakom jako stałe tło akustyczne. Zamieniało się ono niekiedy w szum dalekiego wodospadu, do którego biegł bez tchu, półskacząc, a półszybując, ciągle niepewny, czy skręcić w lewo, czy w prawo. Coraz to próbował nowego kierunku i coraz przekonywał się, że nie zbliża się ani o krok do swego celu.

Kiedy indziej znowu bulgotanie wody w wannie wywoływało w nim obraz strumienia wyciekającego przez wąski otwór na dnie morza, i pragnął dotrzeć doń za wszelką cenę. Płynął pionowo, z głową opuszczoną w dół, uda rozkraczył jak żaba, i każde ich pchnięcie posuwało go głębiej i głębiej, ale nie przybliżało ani trochę do celu. A przecież wiedział, że musi dotrzeć do tego otworu i zatkać go natychmiast, gdyż inaczej wycieknie całe morze, a wszystkie ryby i inne żyjątka rozciągną się, dysząc ciężko, na schnącym mule i zatrzepocą ku niebu nogami i płetwami, jak bolesne semafony.

Był spragniony i Sonia dała mu pić. Skądkolwiek wynurzał się w swych wędrówkach, stała u wezgłowia, niewyraźna ale masywna, rzekłbyś latarnia morska we mgle i w deszczu. Kiedy pochylała się nad nim, widział jak mierzą weń dwa brązowe drogowskazy pod stanikiem, naprężone w swych kulistych łóżykach. Czasem znowu wyglądała jak egipska bogini o krowim łbie i księżycowych ślepiach. W tym jednak sęk, że miała także mnóstwo innych oczu, czujnych i połyskujących; całe jej ciało pokryte było wielkimi ślepiami, myszkującymi bezwstydnie we wszystkich kierunkach.

Nagle w jego sennych uszach ozwał się znowu dźwięk bulgocącej wody; wiedział, że nie ustanie, dopóki ktoś nie zatka wanny korkiem. Okrągłym korkiem koloru wina i wielkości dużej monety, tym samym, który usunięto z jego blizny pod kolaniem, powodując w nodze upływ sił podobny do wyciekania

wody z wanny Soni. Ale teraz odkrył nareszcie sposób jego użycia i pobiegł znowu, pólszybując a półskacząc w kierunku wodospadu. Tym razem zrobił to bez wahania, wiedział bowiem, że za wodospadem czeka nań Odette, obierając pomarańczę. Zaostrzył w sobie czujność, chcąc ją jak najszybciej odnaleźć.

Droga prowadziła w dół po ogromnych schodach o stopniach w kształcie podków końskich, zupełnie jak w cyrku lub w amfiteatrze rzymskim. Biegł w dół coraz szybciej, rzadko już dotykając stopni nogami, aż w końcu jego susy stały się tak wielkie, że płynął już prawie i żeglował w powietrzu, dziwiąc się, że dopiero teraz odkrył, jakie to łatwe.

Wylądował niewiedzieć kiedy i jak i znalazł się na ziemi tuż obok Odette. Była tak blisko, wystarczyło wyciągnąć rękę. Miała na sobie białą narzutkę spiętą na szyi broszką. Wiedział, że jeśli odepnie broszkę, okrycie spadnie na ziemię. Czekala cała drżąca, z dollną wargą wysuniętą do przodu. Ale kiedy doskoczył do niej, ogarnięty radością i żądzą, broszka zamieniła się w małą flagę, którą przypiął sobie kiedyś na plaży, w dzień po przybyciu do Neutralii; a kiedy wyciągnął rękę, aby ją wyjąć, ugodziło go ostrze miecza.

Zastygł, porażony uczuciem winy, a jakiś głos szepnął mu do ucha dziwne słowa, ciemne i groźne słowa psalmu: PIERWEJ PRAWICA MOJA USCHNIE I UTRACI WŁADZĘ, ANIZELI ZAPOMNĘ CIEBIE O JERUZALEM. Odette już nie było i stał tak samotny i drżący z rozpacz, aż bulgotanie wody przybrało na sile i zagłuszyło wszystko dokoła.

Jeszcze jeden sen nawiedzał go często, jak cuchnące wymioty przeszłości. Był to Zły Sen, i ośobliwością jego było, że nie mógł go sobie nigdy przypomnieć w całości, choć wypadki, które tworzyły jego materialną tkankę miał ostro wyryte w pamięci. Zaczynał się zawsze w chwili, gdy sześciu nadętych panów w czar-

nych butach z cholewami i w melonikach przywiązywało go rozebranego do stołu, a kończył się krzykiem podobnym do wycia wilków, gdy rozżarzone cygaro dotykało zagięcia jego nogi pod kolanem.

Nawet Sonia zaniepokoiła się nie na żarty, gdy usłyszała po raz pierwszy to wycie. Pochyliła się nad łóżkiem i pogładziła go po twarzy. Nie od razu się przebudził, ale zgięty w łuk — dotykając łóżka tylko nogami i głową — zatrząsł się od rytmicznych spazmów, a przez szpary w zaciśniętych zębach zaczęły wyskakiwać małe banieczki, tworząc na jego ustach wąskie pasemko piany. Nagle całe ciało opadło gwałtownie na tapczan — zwiotczałe i wyczerpane, oddech stał się bardziej miarowy, oczy pozostały zamknięte a rozchylone szczęki przepuściły jakieś słowo.

— Nie — powiedziała Sonia. — To nie twoja matka. To ja.

— Wiem — powiedział Piotr, otworzywszy oczy i uśmiechnął się przepraszająco.

5.

Trzeciego wieczoru gorączka spadła równie nagle jak przyszła, ale noga pozostała sparaliżowana i Piotr był tak słaby, że bez pomocy Soni nie mógł usiąść na łóżku.

— Co się ze mną dzieje? — zapytał cicho. Pierwszy to raz dziwił się sam sobie.

— Nic poważnego — powiedziała Sonia. — Coś w rodzaju spóźnionego odezwania się spraw, tkwiących w tobie od dawna. Anglosasi nazywają je grzecznie załamaniem nerwowym i wolą na ogół stracić pamięć niż spróbować własnych sił — toteż oddają się przeważnie w takich chwilach w ręce jowialnych policjantów. Ale podręczniki medyczne wymyśliły nieco brzydszą nazwę dla tego typu wypadków.

— Kiedy będę miał znowu zdrowe nogi? — zapytał Piotr.

— Dokładnie w chwili, kiedy odkryjesz na nowo jak należy chodzić.

Spojrzał na nią pytająco.

— Mówię prawdę — powiedziała Sonia. A po chwili dodała: — Przypomnieć ci słowa, które powtarzałeś bez przerwy w czasie snu?

Przysunęła się do niego, odgarnęła mu włosy z zachmurzonego czoła i przemówiła doń tak, jak się mówi do śpiącego dziecka:

— Nad wodami Babilonu siedzimy oto i płaczemy. Harfy nasze powiesiliśmy na wierzbach. Jakże śpiewać mamy pieśni Pana naszego w tym obcym kraju... Pierwej prawica moja uschnie i utraci władzę, aniżeli zapomnę ciebie o Jeruzalem...

Przymknął oczy i oparł głowę na poduszce.

— Tak mówiłem? Dlaczego?

— Niekiedy mówiłeś tylko ostatni werset. I mówiłeś „noga” zamiast „prawica”.

Poruszył się lekko. — Co za głupstwo.

— Czy te słowa nie przypominają ci czegoś?

— Nie.

— Jakiś obraz? Wspomnienie z przeszłości?

— Nie. Zupełna pustka.

— No doskonale, kiedy wypełnimy tę pustkę, będziesz znowu chodził.

— Naprawdę?

— W twojej pamięci jest trucizna, Pietia. Musimy ją usunąć.

— Jak?

— To tak jak gdyby włożyć palec do twojego gardła — do gardła przeszłości. Będiesz mówił, a ja będę słuchać. Zupełnie proste.

Nie odpowiedział. Szum ciemnych wód wzmógł się znowuż, więc zasnął.

— Zabawne to moje recytowanie psalmów przez sen — powiedział Piotr następnego dnia.

Leżał na wznak, a Sonia siedziała w fotelu obok łóżka. Była godzina siesty poobiedniej, zamknięte okiennice przyciemniały pokój. W ogrodzie owady piłowały zawzięcie swoje radosne serenady.

— Przypomina ci to może coś? — zapytała Sonia.

— Nie...

Zapanowało milczenie. Nagle powiedział:

— Jako dziecko lubiłem je bardzo. Ciągłe jeszcze pamiętam jak brzmiały.

— Jak?

Odchrząknął. — Jeśli zapomnę ciebie, to niechaj język mój przyrośnie do podniebienia mojego. — Jeśli nie będę przekładać Jeruzalem nad główną radość moją... Śmieszne...

— Co jest śmieszne?

— Że pamiętam to ciągle. Ani razu w ciągu tylu minionych lat nie myślałem o tej historii. Śmieszne, że przypomniałem ją sobie właśnie teraz...

— O jakiej historii?

— Więc — zaczął po chwili wahania — mieliśmy zwyczaj hodować w ogrodzie króliki. Lubilem wśród nich szczególnie jednego; był biały, puszysty i miał czerwone oczy. Pewnego dnia usłyszałem jak kucharz mówił, że trzeba go będzie zabić na mięso za jakieś trzy tygodnie. Postanowiłem go ocalić. Nie mówiąc nikomu, biegłem codziennie do kojca, aby się upewnić, że jeszcze ciągle żyje, a kiedy bawiąc się, zapominałem o nim na chwilę, czułem się straszliwie winny — bo nie wiadomo dlaczego wpadła mi do głowy myśl, że królikowi nic nie grozi tak długo, jak długo ja o nim pamiętam. Gdy więc pewnego wieczoru matka czytała mi psalm: „Jeśli zapomnę ciebie o Jeruzalem,

jeśli nie będę przekładać Jeruzalem nad główną radość moją” — zrozumiałem od razu, że „Jeruzalem” to nazwa tego białego królika. Odtąd matka musiała mi czytać co wieczór w ciągu tygodnia ten werset, a ukryta w nim straszliwa groźba sprawiała, że pocilem się ze strachu. To ja bowiem byłem odpowiedzialny za Jeruzalem, choć nikt o tym nie wiedział...

Głos jego zabrzmiał nagle przytłumionym wzruszeniem, więc przerwał na chwilę.

— Doskonale — powiedziała Sonia, gdy upłynęło parę minut — mów dalej, to bardzo przyjemna historia.

— Po pewnym czasie przestałem się trochę interesować Jeruzalem, która nigdy nie okazywała mi ani odrobiny wdzięczności, i rzadziej już zachodziłem do kojca. A kiedy znajdowałem ją tam, podskakującą w przycupach i gapiącą się na mnie głupimi, czerwonymi ślepkami, upewniałem się coraz silniej, że niebezpieczeństwo minęło i że pozostanie ona już w tym kojcu na zawsze. Ale pewnego dnia, w parku, do którego często prowadziła mnie i brata na spacer guwernantka, spotkałem małą dziewczynkę. Stała nad brzegiem sztucznego jeziora i z nadąsaną minką przyglądała się dziecinnyim jachtom, które krążyły dookoła fontanny. Myślę, że zakochałem się w niej od pierwszego wejrzenia. Miała wpiętą we włosy jedwabną, niebieską wstążkę, która wyglądała jak śmigło i wydawało mi się wówczas, że potrafi istotnie wzbić się w powietrze w każdej chwili. Bawiliśmy się razem moim maleńkim jachtem i wtedy to poraz pierwszy nie pomyślałem o Jeruzalem przez cały ranek. Wróciliśmy do domu na obiad. Byłem podniecony i głodny i zjadłem mnóstwo brązowego pasztetu, który smakował jak mięso kurczęcia. Po obiedzie poszedłem do kojca; Jeruzalem znikła. Pobiegnę do kuchni. Tłusta kucharka rozjaśniła na chwilę uśmie-

chem swą różową twarz i podarowała mi na pamiątkę
lapki i ogon...

— No i co? — zapytała Sonia.

— No i — powiedział Piotr otępiałym głosem —
zdaje mi się, że zachorowałem od razu w kuchni. Wiesz,
jeszcze teraz gdy mówię o tym dostaję mdłości. Jeszcze
teraz mam poczucie winy — jak gdybym istotnie zdra-
dził « Jeruzalem »...

— I co było potem?

— Nie wiem... To znaczy, teraz już nie pamiętam.
Zachorowałem i leżałem w łóżku parę dni.

— Co ci było?

— Zdaje się, zapalenie migdałów...

— Tak jak teraz?...

Piotr milczał. Zastanawiał się, czemu w ciągu tych
wszystkich lat zapomniał o historii białego królika i
czemu, gdy przypominał ją sobie teraz, wstrząsnęła nim
znowu tak gwałtownie, że czuł zmęczenie i wyczerpa-
nie jak po ciężkiej pracy... Wzrok jego błądził od su-
fitu do okiennic, i od okiennic do Soni. Siedziała spo-
kojnie w fotelu, zwrócona do niego profilem i zdawała
się być pochłonięta zupełnie haftowaniem; rzadko wy-
dywał ją przy tym zajęciu. W pokoju było cicho. Tyl-
ko owady w ogrodzie snuły dalej swoją cieniutką, sre-
brzystą pochwałę upału.

7.

— Opowiedz mi jeszcze coś o Jeruzalem — powie-
działa Sonia następnego dnia.

— O króliku?

— Nie — odpowiedziała, nie podnosząc głowy
znad haftu. — Mam na myśli tę Jeruzalem, o którą o-
skarżasz się teraz. Od której zbiegłeś dla Odette...

Piotr nie od razu odpowiedział. Nagle odparował:

— Są rzeczy których nie rozumiesz. Rozumiesz

może znacznie więcej ode mnie, ale są sprawy, których nie jesteś w stanie ogarnąć, które są poza zasięgiem twojej inteligencji.

Sonia odcięła zębami nitkę i nawlekła znowu igłę. Od czasu, gdy zaczęły się rozmowy z chorym Piotrem nie włożyła ani razu powłóczystego szlafroka. Siedziała wyprostowana w fotelu, zawsze na tym samym miejscu, ubrana była w białą suknię, a profil miała sztywny i bezosobisty.

Po chwili Piotr powiedział:

— Pamiętasz zakończenie? „Zrównać ją z ziemią aż do gruntu”... Ale tyś nie była tam, gdzie się zaczęło równanie z ziemią, więc nie wiesz. Pamiętam, że kiedyśmy się spotkali w konsulacie, powiedziałś coś o żółtej fladze, która powiewa nad kontynentem. To jest literatura, Sonia. Zdążyłaś ulotnić się na czas, nie było cię tam, nie siedziałś nad wodami Babilonu, płacząc. Czytałaś tylko o tych rzeczach, ale to jest bez znaczenia. Jeden chory ząb dokucza ci bardziej, niż tysiące zmarłych w Syjonie...

Oparł się na poduszce. Gdy ciągnął dalej, głos mu zachrypl i nabrał odcienia kłótności.

— Kto tego nie widział, ten nigdy nie zrozumie. Terror, okrucieństwa, ucisk — to są tylko słowa. Statystyki nie krwawią. Wiesz co się liczy? Szczegół. Tylko szczegół się liczy...

— Wiem.

— Nie, nie wiesz. Nie znasz szczegółów. Nie podróżowałaś Mieszanymi Transportami. Nie wiesz co to jest.

— Mieszane transporty?

— Tak, to jest szczegół. Istnieją pociągi, nie notowane w żadnych rozkładach jazdy. Pełno ich w całej Europie. Dziesięć lub dwadzieścia bydlęcych wagonów, zaplombowanych z zewnątrz i ciągnionych przez staromodną lokomotywę. Mało kto je widuje, bo wyruszają

i przyjeżdżają w nocy. Podróżowałem jednym z nich.

— No? — Sonia odcięła nitkę i zrobiła na niej supelek.

— Nigdy przedtem o tym nie mówiłem. Nazwano je Mieszanymi Transportami, bo zawierają różnego rodzaju ładunek. Nasz składał się z siedemnastu wagonów...

Przerwał i położył się na poduszce. Gdy zaczął znowu, głos miał równy i monotonny, a wzrok przykuty do rozpęknięcia na suficie, które zdawało się zwolna ulatywać w chmurną przestrzeń.

— Nie wiedzieliśmy dokąd jedziemy...

— Moja cela otworzyła się po północy i usłyszałem krótkie „wychodzić”. W ciemnym korytarzu stał długi szereg więźniów z rękami związanymi do tyłu i nawleczonymi na długą linkę, która przebiegając przez wszystkie pętlice, utworzyła z ich ramion coś w rodzaju girlandy. Gdy mnie doczepiono, ten indyjski łańcuch ruszył z miejsca i zatrzymał się przed następną celą, aby zabrać nowych ludzi. Za bramą załadowano nas na wóz i powieszono na stację.

— Pociąg już czekał. Piętnaście bydlęcych wagonów, zaryglowanych od zewnątrz robiło wrażenie czegoś martwego i opuszczonego. Tylko lokomotywa pokaszliwała i spluwała iskrami w ciemną noc. Próbowaliśmy się dowiedzieć od strażników dokąd jedziemy, ale odpowiedzieli nam, że nie wiedzą, że to jest Mieszany Transport. Na peronie ustawili nas w szereg i uwiązali się między nami z latarkami elektrycznymi, wywołując z listy nazwiska. W trakcie tego, w jednym z bydlęcych wagonów, które uważaliśmy za puste, rozwrzeszczał się jakiś głos. Dopiero później dowiedzieliśmy się, że ostatnie siedem wagonów zapchane były Żydami. Krzyk był długi, wyraźny, podobny trochę do wołania muezina z wieżyczki minaretu. Nie rozumiałem

ani słowa. Dopiero później wyjaśniono mi jego znaczenie :

„Co czynić będziemy, gdy Mesjasz przyjdzie?”.

I natychmiast burza głosów odpowiedziała mu z wnętrza wagonów dziwną melodią :

„Będziemy się weselić, gdy Mesjasz przyjdzie”.

Głos zapytał znowu :

„Kto tańczyć będzie dla nas, gdy Mesjasz przyjdzie?”.

Niewidzialny chór w wagonach śpiewał :

*„Dawid, nasz król, tańczyć będzie dla nas
„I będziemy się weselić, gdy Mesjasz przyjdzie”.*

Wtem jeden z nas powiedział coś i wartownik kopnął go w brzuch tak silnie, że upadając pociągnął za sobą wszystkich, przywiązanych do tej samej linki. Kiedyśmy się gramolili, wstając z ziemi głos z pociągu zapytał :

„Kto czytać będzie prawa, gdy Mesjasz przyjdzie?”.

Jakiś dowódca warty krzyknął: „Zamknijcie im mordy na miłość Boską!” i paru wartowników przeskoczyło zaraz przez szyny i zaczęło bić pałkami w drzwi wagonów. A kiedy i to nie pomogło jeden z nich wygarnął z pistoletu pomiędzy żelazne kraty małego okienka. Przez chwilę w wagonie zaległa cisza, potem odezwało się parę okrzyków; na koniec śpiew wybuchł znowu ze wzmożoną siłą:

*„Mojżesz, nasz raabi, czytać nam będzie prawa,
„Dawid, nasz król, tańczyć będzie dla nas,
„I będziemy się weselić, gdy Mesjasz przyjdzie”.*

Po pewnym czasie zapchano nas do trzeciego wagonu od lokomotywy, drzwi się zasunęły i usłyszeliśmy dźwięk rygli; a po chwili pociąg, szarpnięty kilkakrotnie, ruszył z miejsca.

— Jak już powiedziałem przedtem ostatnie siedem wagonów załadowane były Żydami, a ściślej mówiąc, dwa Przydatnymi Żydami, których wieziono do kopania fortyfikacji, a pięć Niepotrzebnymi Żydami, których jako starych i chorych wieziono na śmierć. Dalej szły dwa wagony więźniów politycznych (w tym jeden nasz), dwa wagony młodych dziewcząt, które wieziono do burdeli wojskowych (w jednym jechały dziewczęta dla oficerów, a w drugim dla podoficerów i szeregowych) i sześć wagonów ludzi, których zabrano do robót w fabrykach i obozach pracy. Oto dlaczego nazwano go Transportem Mieszanym.

Po godzinie pociąg zatrzymał się na jakiejś stacji, i zaczęło się wekslowanie. Odczepiono jeden wagon z Politycznymi, a na jego miejsce doczepiono dwa wagony robotników cudzoziemskich. Potem ruszyliśmy dalej — stara lokomotywa parowała iskrami, a zardzewiałe żelastwo wagonów łoskotało i brzęczało jak potłuczone garnki. Około drugiej w nocy zatrzymaliśmy się znowu i raz jeszcze zaczęło się wekslowanie. Wszystkie wagony z robotnikami zostały odczepione, a w tyle, za śpiewającymi Żydami doczepiono dwa wagony kobiet i dzieci z tych zburzonych wsi, w których wystrzelano lub uwięziono wszystkich mężczyzn. Na następnej stacji zostawiliśmy Przydatnych Żydów, a dostaliśmy na ich miejsce dwa wagony Cyganów, którzy, jak nam powiedziano — jechali na sterylizację. Dowiadywaliśmy się tego wszystkiego z okrzyków i komend na stacjach, przed którymi przystawał nasz pociąg. Wszystkie były zaciemnione i opustoszałe, na peronach stały warty i karabiny maszynowe. Na każdej stacji rozpoczynało się na nowo wekslowanie, jak gdyby cho-

dzilo o jakąś dziecinną zabawę w pocztę. Robiło to wrażenie upajania się ulubionym sportem, delektowania się rozkoszami organizacji. Nie dawano ani jeść ani pić nikomu z wyjątkiem kobiet, wiezionych do burdeli. Na każdej stacji uchylały się drzwi ich wagonów, wartownik zabierał kible i przynosił je po chwili z powrotem, wydezynfekowane; po czym do obu wagonów wjeżdżały kosze z wielkimi bochnami chleba, a do jednego tylko cebrzyk kawy. Kawę dostawały kobiety wybrane dla oficerów.

Nasz wagon szarpało to w jedną to w drugą stronę. Nie mieliśmy pojęcia dokąd nas wiozą. Dookoła było ciemno choć oko wykol i słyszeliśmy tylko ustawiczny stukot. Ale przed świtem lokomotywa zaczęła sapać i krztusić się; zrozumieliśmy więc, że wspinamy się pod górę, w kierunku granicy.

Nagle pociąg przystanął na dobre w otwartym polu. Sądząc po zimnie, musieliśmy już pewnie być dość wysoko, powietrze inaczej pachniało, a smród w naszym wagonie rozrzedził się trochę. Zapomniałem powiedzieć, że nie mieliśmy kibli i byliśmy tak stłoczeni, że nie sposób było ani siedzieć ani leżeć. Pchając się ciągle do małego okienka, deptaliśmy cały czas po kupach kału.

Po chwili dał się słyszeć głośniejszy łoskot na przodzie, i doszliśmy do wniosku, że odczepiają pewnie lokomotywę. Zaraz potem zobaczyliśmy ją pykającą na sąsiednim torze i pędzącą w kierunku doliny z której przyszedł nasz pociąg. Zdawała się pędzić teraz lekko i wesoło uwolniona od nas nareszcie. Zniknięcie lokomotywy nappełniło nas przygnębieniem. Po paru minutach odezwał się jeszcze z doliny jej słaby, pożegnalny gwizd.

Niedługo potem wstał dzień i zorientowaliśmy się, że stoimy na stoku pochyłości górskiej, w pobliżu krawędzi opustoszałych kamieniołomów. Znasz może tę partię gór — same poszarpane skały, kreda, osypiska —

wszystko zmartwiało i zastygło jak krater na księżycu. Gdy się trochę rozwidniło, dostrześliśmy tylko chropowate kamienne bryły, piarżyste zbocza i niebo. Potem dopiero, gdy z ziemi podniosła się mgła, ujrzeliśmy dwa wozy. Były ogromne, przypominały wozy do przewożenia mebli i stały samotne, poniehane, na drodze wiodącej ku szczytowi kamieniołomów. Słyszeliśmy już przedtem niemało o takich wozach, ale nigdy nic pewnego; rury wydechowe wyglądały zupełnie normalnie. Wozy stały na zakręcie drogi martwe, bez najmniejszych oznak życia i ze ślepyimi światłami czołowymi, zwróconymi w kierunku nieba.

Staliśmy parę godzin na tym zboczach i nic się nie działo. Słońce wznosiło się coraz wyżej, skały i kamienie nagrzały się, nad szynami zakipiało rozedrgane powietrze. Smród w naszym wagonie stał się potworny. Nad głowami słyszeliśmy nieustanne skrobanie i dziobanie i dopiero po pewnym czasie domyśliliśmy się, że to rój ptaków rozsiadł się niby na grzędach na dachach wszystkich wagonów, przyciągnięty najwidoczniej zapachem naszego pociągu. Krążyły ciągle pomiędzy skałami. Niektóre zaczęły nawet niekiedy o kraty naszego okienka, bijąc w nie czarnymi dziobami, lub trzepocąc skrzydłami. Nigdy w życiu nie widziałem takich ptaków; lby miały łyse i trupie, a szyje długie i pomarszczone, jak u podskubanych kur. Próbowaliśmy dosięgnąć je rozmaitymi przedmiotami, znalezionymi w kieszeniach, ale na próżno — uciekały zawsze.

Gdy tylko zrobiło się gorąco nasze strażę ustawiły karabin maszynowy na szczycie kamieniołomów i zeszły w dół. Wartownicy pozabierali ze sobą kosze z prowiantem i rozłożyli się na biwak, prawdopodobnie gdzieś w cieniu, poza zasięgiem naszego spojrzenia i smrodu. Tak mijały godziny i dookoła nie było nic tylko upał, smród, piargi i ptaki. Z początku próbowaliśmy się porozumieć z innymi wagonami, sądząc, że lu-

dzie w nich wiedzą lepiej jaki będzie nasz los. Ale żeby być zrozumianym lub usłyszonym w sąsiednich wagonach, trzeba było krzyczeć bardzo głośno przez małe zakratowane otwory w bocznych ścianach pociągu; po pewnym więc czasie zrezygnowaliśmy i z tego. Cały pociąg zdawał się być pogrążony w śmiertelnym śnie.

Okolo południa rozwrzeszczały się, w jednym z wagonów, kobiety. Z początku odezwały się dwa czy trzy głosy, potem cały wagon zatrzęsł się od tak rozdzierającego krzyku, że aż ptaki wzbily się z dachów w powietrze. Słyszałem nieraz wycie ludzi bitych lub torturowanych przez *nich*, ale nigdy nie było ono równie potworne. Ten wrzask zatargał wnętrzościami i wzbudzał nieodparte pragnienie przyłączenia się doń z całej siły płuc, lub bicia łbem w żelazną ścianę wagonu. Toteż paru z nas doskoczyło do kraty i zasypało rozwrzeszczane kobiety obelgami. Po chwili od strony kamieniołomów nadbiegli wartownicy, strzelając z pistoletów w powietrze. Nie otworzyli drzwi wagonów; gumowy wąż wyciągnięty z węglarki i wkręcony do zbiornika wody na dachu wagonu cyganów uciszył je natychmiast. Dopiero potem dowiedzieliśmy się, że jedna z kobiet w wagonie, siostra odznaczona w czasie wojny, przemyciła przez wszystkie rewizje brzytwę. Mnóstwo dziewcząt w wagonie wołałoby raczej śmierć niż życie w burdelach — ale jak to zrobić? Właśnie owa siostra ofiarowała im się z pomocą i kilkanaście dziewcząt siedziało już w kącie wagonu z otwartymi żyłami, w oczekiwaniu na śmierć, a reszta ustawiła się posłusznie w ogonku. Pewna część kobiet przeraziła się jednak surowej kary za milczące tolerowanie tego wszystkiego, co się w wagonie działo. Protestowały one i kłóciły się cały czas, a jedna usiłowała nawet wyrwać brzytwę z rąk siostry. Zwolenniczki samobójstwa stanęły w jej obronie i w ten sposób wybuchła bójka, w czasie której jednej z dziewcząt rozplątano twarz. Rozległ się

krzyk, podchwycony teraz przez cały wagon. Zakotłowało się aż od skoków, podrygów i uderzeń głów o ściany.

Gdy uciszono wagon węzem pożarnym, wartownicy powyciągali zeń na tory niedoszele samobójczynie i opatrzyli je. Związali im ręce na plecach, aby zapobiec szarpaniu bandażu zębami i po jednej odprowadzili do przedziału wagonu wartowniczego, zaryglowując dokładnie drzwi. Widzieliśmy je, gdy przechodziły pod naszym oknem; były stłamszone i milczące, tylko jedna zapiszczała znowu donośnie.

Po chwili wartownicy przebiegli wzdłuż pociągu, zaglądając przez okienka do wagonów i nakrzykując, że jeżeli umrze ktoś wewnątrz, a nikt o tym nie doniesie strażom, to cały wagon zostanie surowo ukarany. Obok wagonu cyganów zatrzymali się nagle i nawołując się wzajemnie ze śmiechem, usiłowali zajrzeć do środka. Powód był prosty: w wagonie siedzieli cyganie obojga płci i nie wiedząc dokładnie co oznacza słowo „sterylizacja” uprawiali zbici na kupę miłość, jak gdyby pełni przeczuc, że to już ostatni raz w życiu. Wartownicy zachęcali ich okrzykami i żartami aż do znudzenia. Wreszcie wrócili na swój biwak, cały pociąg przycichł, słońce przypieкло jeszcze silniej, a ptaki przyfrunęły znowu na dachy.

Po upływie mniej więcej godziny nadjechało auto sportowe z dwoma oficerami, wspięło się na drogę wiodącą ku szczytowi kamieniołomów i przystanęło za dwoma wozami. Wartownicy ustawili się w dwuszeregu i odbył się przegląd jak na paradzie. Oficerowie mówili o czymś przez chwilę. Zaraz potem wartownicy zmienili front dwuszeregu, tworząc coś w rodzaju szpaleru pomiędzy dwoma wozami i wagonem Niepotrzebnych Żydów. Dwóch wskoczyło do kabin wozów i zapuściło motory. Przyglądaliśmy się rurom wydechowym: z początku wydmuchiwały jakąś niebiesko-szarą

mieszaninę, ale gdy motory rozgrzały się trochę, smuga straciła swój kolor, choć gaz nie przestał się dalej wydobywać. Poznaliśmy to po drzeniu powietrza nad wyłotami rur wydechowych.

Wtedy rozsunęły się już nagle drzwi wagonu i Niepotrzebni Żydzi, krocząc parami przez szpaler, zaczęli wchodzić do wozu. Tylne ściany nie otwierały się w nich jak w wozach do przewożenia mebli; do wąskich drzwiczek prowadziła tylko mała, drewniana drabinka, tak że Żydzi — niekiedy bardzo starzy — musieli się po niej z trudem wspinać. U podnóża każdej drabinki stał oficer z listą w ręku, wywoływał nazwiska i robił znak olówkiem za każdym razem, gdy jakiś mężczyzna lub kobieta znikali w wozie. Niekiedy imiona lub daty urodzenia nie zgadzały się z wykazem i oficer wysłuchiwał uważnie sprostowań, wprowadzając poprawki. Większość Żydów stanowiły stare małżeństwa. Przechodziły one przez szpaler razem, trzymając się z galanterią pod ramię, jak młode pary idące do ołtarza. Ubrane były przeważnie bardzo schludnie i nie mogliśmy się nadziwić jak im się udało zachować w wagonie taki wygląd. Co jednak zdumiało nas najbardziej to fakt, że większość chasydów nosiła kapelusze — czarne, pilśniowe kapelusze, albo jedwabne jarmułki, które musiały być od długiego już czasu glansowane rękawami. Niektórzy przechodzili pomiędzy dwoma szeregami wartowników odmawiając śpiewnymi głosami modlitwy i bijąc się w piersi jak w synagodze. Czynili to nie z pokorą, ale raczej z dumą i gniewem, jak gdyby wiodąc spór ze sobą. Nie spoglądali nigdy na strażę. Niektórzy szli wolno, inni znowu długim, posuwistym krokiem, niby ludzie spieszący się na umówione spotkanie.

Gdy oba wozy były już pełne, jeden z oficerów dał znak i drzwi zostały zamknięte. Zauważyliśmy, że drzwi były grube, jak w kasach pancernych i herme-

tyczne. Kiedy więc drzwi zostały zamknięte oficer powtórnie dał znak kierowcom, którzy wychyliwszy się z kabin, śledzili uważnie jego ruchy. Oba motory przeszły teraz na pełne obroty, ale wozy ani drgnęły. Z rur wydechowych wydobywała się smuga bladoniebieskiego gazu. Nagle oficer wyjął zegarek i dał kierowcom trzeci znak. Motory zaszumiały znowu, wozy stały dalej w miejscu jak wryte, ale z rur wydechowych przestało się teraz wydobywać pasemko gazu. Wartownicy siedzieli na pochyłości obok pociągu i kręcili papierosy. Oficer stał wyprostowany pomiędzy wozami i śledził na zegarku ruch wskazówek. Słyszał było tylko szum motorów dwóch nieruchomych wozów. Trwało to parę minut i wszystko dookoła zastygło w bezruchu: słońce, szyny, niebo i skały. Wtem jeden z ludzi w naszym wagonie powiedział, że czuje gaz i zaczął wymiotować. Za nim poszli inni, musieliśmy więc sięgnąć po ostatnie papierosy.

Upłynęło jakieś dwadzieścia minut, a może mniej lub więcej — nikt z nas nie miał zegarka — gdy oficer włożył na powrót swój zegarek do kieszeni i zerknął przez judasza najpierw do jednego, a potem do drugiego wozu. Po chwili dał znowu znak; motory przeszły na normalne obroty i wozy ruszyły z miejsca. Jechały zwykłą, polną drogą, pokrytą kurzem i kamieniami, trzęsąc się i podskakując. Myśl o tym jak zawartość wozu przemiesza się i wytarłosi na wyboistej drodze, przypawiła nas znowu o mdłości. Ptaki uniosły się w powietrze i pofrunęły w ślad za konduktem, krążąc wysoko nad wozami. Wreszcie straciliśmy z oczu i wozy i ptactwo, a wszystko dookoła znowu się uciszyło.

Ale po pół godzinie usłyszeliśmy na powrót turkot wozów i ujrzelśmy na szosie chmurę białego kurzu. Były próżne i popykiwały rurami wydechowymi jak zwykle, dobre ciężarówki. Nawróciły i stanęły dokładnie w tym samym miejscu co przedtem. Tylne drzwi

były otwarte i zwisały z nich drewniane drabinki. wartownicy utworzyli znowu szpaler. Tym razem zakończyli ostatni wagon Niepotrzebnych Żydów i zabrali się do opróżniania przedostatniego.

Odbywało się to wszystko przez całe popołudnie i część nocy. Gdy się ściemniło, wartownicy tworzący szpaler trzymali w rękach zapalone pochodnie — nie latarki elektryczne, ale prawdziwe pochodnie. Resztki pozostałych przy życiu Żydów zaintonowały jakieś pieśni, czekając na swoją kolej. Dziwne były te ich pieśni — radosne przepełniał smutek, a smutne brzmiały prawie radośnie. Jedna zaczynała się od opowieści o wygasłym kominku, przed którym siedział w otoczeniu rozszcziobiotanych dzieci stary rabbi i kręcił pejsy. Uczył je starego alfabetu, a dzieci powtarzały każde słowo, zawodząc dziwnie i kiwając się to do przodu to do tyłu. Nagle poczuły, że robi się coraz cieplej i spostrzegły ze zdumieniem, że na kominku pali się wesoły, trzaskający ogień, choć nikt go tam przecież nie rozniecał.

Ale ulubioną ich pieśnią była ta, którąśmy usłyszeli zaraz po przyjeździe na stację. Przez otwarte drzwi wagonu dochodziła do nas teraz z jeszcze większą siłą. Płonące pochodnie rzucały na skały ogromne, roztańczone cienie Niepotrzebnych Żydów. Każdy też, gdy stawał na ostatnim stopniu drabinki, odwracał się nagle przed przestąpieniem progu wozu i z rękami podniesionymi ku niebu, krzyczał w kierunku wagonu:

*„Jak święcić będziemy ów dzień, gdy przyjdzie
Mesjasz?”*

Ci zaś, którzy jeszcze byli w wagonie odpowiadali mu śpiewem:

„Święcić będziemy ów dzień mięsem Behemoth”.

Człowiek na szczycie drabinki odwracał się wówczas drobnym, tanecznym kroczkiem w kierunku drzwi

i znikał w głębi wozu; a następny wznosił znowu ręce ku górze i pytał:

„Co będziemy pili, gdy Mesjasz przyjdzie?”

Wagon śpiewał:

*„Wino z góry Karmel będziemy pili”,
„Mięso Behemothy będziemy jedli”,
„Debora, matka nasza, będzie siedzieć na tronie”,
„Mojżesz, nasz Raabi, czytać nam będzie prawa”,
„Dawid, nasz król, tańczyć będzie dla nas”,
„I będziemy się weselić, gdy Mesjasz przyjdzie”.*

Po północy opróżniono zupełnie pięć wagonów Niepotrzebnych Żydów i ustał śpiew. Obaj oficerowie odjechali swoim sportowym autem, ślizgając się jeszcze długo reflektorami po skałach. Po pewnym czasie wróciła też z doliny, kaszląc i pluając, nasza lokomotywa i odjechaliliśmy. W czasie nocy nie było już na żadnej stacji wekslowania. Odczepiono tylko wagon cyganów, i dwa wagony przyszłych prostytutek, każdy na innej stacji, każdy też pojechał w innym kierunku. Nad ranem zabrano mnie z wagonu wraz z dziesięcioma jeszcze towarzyszami i przeprowadzono do ciemnego przedziału w zwykłym pociągu pasażerskim. Jechaliśmy całe rano i dopiero w południe dobrnęliśmy do miasta, z którego wyruszyliśmy trzydzieści sześć godzin temu. Tam wtrącono nas z powrotem do więzienia. Najwidoczniej zaszła jakaś pomyłka w układaniu list i nie byliśmy w ogóle przeznaczeni na transport. Gdy zostałem sam w mojej starej celi byłem tak szczęśliwy, że ucałowałem żelazną zasuwę u jej drzwi.

— ...No więc tak, to tylko drobny szczegół na temat jednego z wielu Mieszanych Transportów. Nie znajdziesz ich w żadnym rozkładzie jazdy, ale co noc suną przecież we wszystkich kierunkach — dziesięć lub

dwadzieścia zaryglowanych wagonów bydłych, ciągniętych przez staromodną lokomotywę, parszczącą iskrami w ciemną noc.

8.

Gdy znacznie później Piotr wspominał okres swojej choroby, wszystko co przeżył zdawało się ogniskować w jednym długim dniu półmroku.

Spośród historii, które opowiadał Soni, nie wszystkie były tak wierne i świeże, jak opowieść o Mieszanym Transporcie. Działy się w nim dziwne rzeczy, rzeczy, których przedtem nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić. Zapomniane zupełnie sceny i obrazy z wczesnych lat młodości wynurzały się ciągle na powierzchnię jego świadomości. Wychylały się z mroków, z lepkich zakamarków pamięci. Gdy tylko zaczynał opowiadać coś Soni, poruszały się nagle, i niezrozumiałe podniecenie wkładało się do jego głosu, czyniąc go niezależnym zupełnie od woli. Stawał się senny i gardłowy, odłączony od samego siebie; słuchał go sam, jak gdyby pochyłony nad głęboką studnię własnego wnętrza, z której wynurzały się myśli i obrazy, z początku obce, a potem coraz bardziej podobne do siebie i bliskie; oszołomione i bezradne jak ptaki lub białe, czerwonoookie króliki, wyskakujące z kapelusza czarnoksiężnika.

Długie monologi z Sonią wyczerpywały go, ale i przynosiły mu ulgę. Niekiedy, długo jeszcze potem czuł pustkę w głowie. Ulatywały z niej wszystkie myśli słowa i wrażenia. Nie mógł ani spać, ani leżeć spokojnie; a pod zmaconą powierzchnią, gdzieś na dnie studni pojawiała się cała kawałkada cieni, bezdźwięcznych, bezkształtnych i pozbawionych ciężaru.

Sonia i dr Huxter orzekli, że noga jest w porządku; ale zagubił gdzieś kontakt, który nią kierował. Przyglądał się ruchom swoich palców na kołdrze i szeptał

do siebie: teraz poruszę palcem wskazującym, teraz kciukiem. Ale nawet kiedy palce się poruszały nie wiedział co było pierwsze: ruch czy zamiar; i kto wydawał to polecenie, co sprawiało że jego wargi szeptały te, a nie inne słowa?

W Partii nie zastanawiał się nad takimi problemami. Teraz zaś nie rozumiał jak ludzie mogą się w ogóle zajmować czymś innym. Działanie mózgu, które przez długie lata uważał za dane, stało się dlań niewyczerpanym źródłem niespodzianek. Pierwsza osoba liczby pojedynczej, którą sądził, że zna na wylot, straciła swoje kontury i rozplynęła się w czasie i w przestrzeni. Cofnęła się wstecz, poza przyrodzone granice, do kolana martwej nogi, które się jej wyparło. Wiedział z książek, że takie rzeczy się zdarzają; nie wierzył jednak nigdy, że mogłyby się przytrafić i jemu. A oto jest — leży kaleka niezdolny do chodzenia. I co najdziwniejsze — nie uwierzyłby nigdy, że jego myśli mogą wirować dookoła tak różnych spraw zagłębiać się w coraz to nowych odkryciach, i poszukiwaniach zatopionych wysp przeszłości, do której jedynie ta nieruchoma noga zdawała się przyznawać...

— Ciągłe jeszcze wierzysz — powiedziała pewnego dnia Sonia — że to ta blizna przeszkadza ci chodzić. A nigdy mi nie opowiadałeś, skąd ona się wzięła.

— Nie wiem — powiedział Piotr. — Nie lubię o tym mówić.

— Ale śni ci się to czasem? Raz nawet wspomniałeś o Złym Śnie, który ciągle wraca.

— Nie wiem — powtórzył z uporem Piotr. — To niewyraźny sen. Nie mogę go nigdy zapamiętać. Czasem tylko początek, a czasem tylko znowu koniec. Ale ja wiem o co chodzi. Trudno to wytłumaczyć — wiem co mi się śniło, choć nie pamiętam samego snu. A gdybym ci go chciał opowiedzieć, musiałbym mówić o tym co się naprawdę zdarzyło, a nie o tym co mi się śniło...

— Nic nie szkodzi — powiedziała Sonia. — Mów.

W pokoju było już ciemno i patrzył w sufit, na który żaluzje rzucały prążkowane cienie białoszarych żeberek. Poruszały się z godziny na godzinę i znał je prawie na pamięć. Patrząc na nie przeżywał zawsze uczucie ogromnego osamotnienia. Przez chwilę wydało mu się znowu, że to nie Sonia, ale jego matka o surowym, uważnym profilu i wargach drżących od ciągłego bezdźwięcznego utyskiwania siedzi teraz obok łóżka, zgarbiona nad szyciem. Zaszło mu w gardle, w piersi poczuł rosnący ucisk, a całe ciało sprężyło się łukowato na łóżku — aż wparłszy się tyłem głowy w poduszkę, musiał zrównoważyć wewnętrzne ciśnienie. Wtem poczuł na czole dotyk jej ręki i posłyszał głos, pytający:

— A to co, Pietia? Nie chcesz opowiadać?

Nagle opadł na łóżko i usłyszał swój własny głos, lekko tylko zachrypnięty i zdumiewająco płynny:

— Czy wiesz — zapytał — że jestem zdrajcą?

— Czyżby? — powiedziała Sonia, pochylając się nad szyciem.

— Zdradziłem, choć nikt o tym nie wie — powiedział Piotr.

— Nie mogli tylko tego usłyszeć, bo zakneblowali mi usta.

Gdy tylko wypowiedział te słowa, poczuł natychmiastową ulgę. Ciało mu zwiotczało i pokryło się potem.

— Kto ci zakneblował usta? — zapytała Sonia.

— Tajniacy z Oddziału Specjalnego — powiedział sennie i zamilkł znowu.

— Nie opowiesz mi tego? — zapytała Sonia.

— Nie mówiłem o tym nigdy i nikomu — powiedział patrząc na cienie roztańczone na suficie. Ale wiedział, że za parę sekund zacznie mówić; i raz jeszcze odniósł wrażenie, że słucha, pochylony nad ukrytą głęboko studnią, głosu który wydobywał się z jej dna

ze stłumionym echem. Spojrzał na rękę i zauważył, że palec wskazujący porusza się na kółdrze, jak gdyby wystukiwał na maszynie ciągle tę samą literę. Nie był pewien, czy to on wywołał ten ruch. Zaraz potem usłyszał swój głos, a w jakimś zwoju mózgu zrodziła się znowu wątpliwość czy to on postanowił mówić, czy to on przywołał tę senną, zachrypłą opowieść...

Miał zamiar mówić o bliźnie i o Złym Śnie, ale zamiast tego cofnął się do świtu poprzedniego dnia. Kiedy wstał było ciemno, tramwaje i autobusy były jeszcze nieczynne. Przemaszerował sześć kilometrów z mieszkania matki na umówione miejsce spotkania w dzielnicy robotniczej. Przed zamkniętymi okiennicami kawiarni czekało już trzech ludzi, z rękami w kieszeniach, drżąc w chłodzie szarego poranka. Znał tylko jednego z nich, mechanika i suchotnika Ossię, który przyniósł ulotki w małej, zniszczonej teczce. Drugi wyglądał jak starzejący się dżokej; był niski i szczupły, miał przetarte spodnie, białą, ospowatą twarz o ostrym nosie, i nosił kraciastą czapkę; z jego spojrzenia Piotr wywnioskował, że żył już pewnie od długiego czasu na zasiłku dla bezrobotnych. Trzeci był bardzo młody, miał okrągłe, rumiane policzki, pokryte lekkim puszkciem i grube, odęte wargi; nie trudno było zgadnąć, że pochodzi ze wsi, i że dopiero niedawno przywędrował do miasta. Wszyscy mieli twarze posępne i zaspane. Piotr wydał polecenia. Podzielili się ulotkami. Każdy wcisnął swoją paczkę do kieszeni i poszli.

Szli szeroką, niezabrukowaną ulicą, stąpając po zamrzniętym błocie, w którego rozpadlinach sadze zamieniły się w cienkie płatki czarnego śniegu. Rząd wysokich kominów buchał czarnymi obłokami dymu, przesłaniając szare niebo przezroczyście, żałobnym welonem. Skręcili w mały zaułek i znikli szybko w przydzielonych ulicach.

Pierwsza ulica Piotra była zabudowana tylko po jed-

nej stronie. Naprzeciwko ciągnęło się rozległe śmietnisko publiczne. Była to bardzo pomyślana okoliczność: nie będzie musiał ciągle przebiegać przez jezdnię. Działał szybko; w niektórych domach były skrzynki na listy, w innych podrzucał po 5 — 6 ulotek na widocznym miejscu w klatce schodowej. Dotąd nie spotkał ani żywej duszy. Dopiero za pół godziny zawyją syreny w fabryce. Ale we wnętrzach trędowatych domków zakotłowało się już: dzieci wrzeszczały, słychać było łoskot glinianych garnków, co raz to otwierały się okna i jakaś ciecz obryzgiwała bruk podwórek. Ściany i parapety okien zbrukane były czarnym śniegiem, który pokrywał wszystko, nawet zamarzłe plwociny i kupy psiego gówna na chodnikach.

Na przedostatniej ulicy jakaś tęga baba otworzyła drzwi właśnie w chwili, gdy podrzucał ulotki i obrzuciła go stekiem przekleństw. Przyspieszył kroku, wtuliwszy głowę pomiędzy ramiona i starał się nie ominąć ani jednych drzwi. Jak zawsze w czasie takich akcji odczuwał coś w rodzaju zupełnej ich bezsensowności; wydawało mu się, że nie ma żadnego związku pomiędzy tym co robi i wizją, która go popchnęła w objęcia Partii.

Na ostatniej ulicy natknął się na patrol policji. Spojrzeli nań badawczo, ale nie zatrzymali go. Musiał poczekać aż znikną mu z oczu dopiero wówczas wrócił do dzieła. Na drugim końcu osiedla spotkał trzech towarzyszy. Mieli teraz razem tylko około dwustu ulotek, które należało rozrzucić w fabryce.

Bram fabryki strzegła warta, tak jak we wszystkich fabrykach w owym czasie. Piotr pokazał im na szkicu miejsce, w którym należało przerzucić ulotki przez mur, aby dostały się w ręce członków Partii. Podeszli do muru i na obu jego rogach postawili jako posterunki alarmowe dwóch ludzi: wiejskiego chłopaka i małego dżokeja. Ulicą przechodziło teraz paru wczesnych ro-

botników, musieli więc prawie pięć minut czekać na dogodną chwilę.

Gdy oba posterunki dały znać, że wszystko w porządku, Piotr wdrapał się na ramiona Ossiego z garścią ulotek w ręku. Ossie położył sobie na ramionach dwie ulotki, aby uchronić marynarkę przed zabrudzeniem i Piotr, nie zważając na pośpiech, postawił na nich ostrożnie buty. Gdy uchwycił się muru, aby nie stracić równowagi, opanowało go raz jeszcze uczucie zupełnej bezsensowności. Nagle jego oczy zrównały się z poziomem muru i zobaczył opustoszały dziedziniec fabryczny. Na prawo, w rogu za drewnianym ogrodzeniem latryn, było miejsce, gdzie powinny upaść ulotki. Przewiązał je sznurkiem, wspiął się i rzucił paczkę przed siebie. Upadła z głuchym łomotem na zamarzłą ziemię, w miejscu, do którego wycelował. Prawie jednocześnie usłyszał jakiś okrzyk i odwróciwszy głowę zobaczył małego człowieczka w kraciastej czapce, biegnącego ku nim z trzema policjantami na karku. Zeskoczył na ziemię i obaj z Ossiem zaczęli biec w kierunku wprost przeciwnym od miejsca, w którym stał chłopak ze wsi. Zobaczył, jak chłopak wlepił w nich ślepia, potem odwrócił się i popędził również. Idiota, pomyślał Piotr biegnąc, gdyby stał spokojnie gliny nie domyśliłyby się nigdy, że ma z nimi coś wspólnego. Mały człowieczek mógłby zrobić to samo, ale on przynajmniej ostrzegł ich o grożącym niebezpieczeństwie. Jego okrzyk dał im około dwudziestu metrów zysku w czasie. Piotr obejrzał się właśnie w chwili, gdy jeden z policjantów zrównał się z małym człowieczkiem i capnął go za kark. Zatrzymał się na sekundę, targnięty niezdrowym impulsem zawrócenia i rzucenia mu się na pomoc; nagle mały człowieczek wrzasnął przejmującym głosem.

Uciekaj — spec — uciekaj — spec...

a policjant o krwistej twarzy z całej siły pchnął go w bok, w kierunku kamiennego muru. Piotr zawrócił i

pobiegł. Był świetnym biegaczem i po chwili zrównał się z Ossiem, który dyszał ciężko. „Chodź” — krzyknął i zwolnił, aby nie zostawić Ossiego.

— Uciekaj, spec — odpowiedział bez tchu Ossie — uciekaj przeklęty durniu.

„Spec” był przydomkiem, który proletariusze nadawali inteligentom wstępującym do Partii. Piotr zostawił w tyle Ossiego i pobiegł dalej. Policjanci byli ciągle jakieś trzydzieści metrów za nim. Natknął się teraz na wiejskiego chłopaka, który leżał rozciągnięty na zamrożonej ziemi, jak nurkujący pływak. Przeskoczył przez rozkraczone ciało i jak we śnie zobaczył, że chłopak podniósł głowę i wycedził przez zaciśnięte zęby: „Uciekaj”. Pobiegł dalej.

Skręcił na rogu i z powrotem znalazł się w osiedlu, wśród domów, gdzie podrzucał ulotki. Naprzeciwko niego, na drodze wiodącej do fabryki szła grupa złożona z pięciu lub sześciu robotników. Teraz już tylko jeden policjant biegł za nim, wrzeszcząc: „zatrzymajcie go, zatrzymajcie mordercę!”. Robotnicy idący w kierunku Piotra zrobili niezdecydowany ruch, jak gdyby chcieli mu zagrozić drogę. Piotr krzyknął w biegu: „Polityczny — nie robotnik — dajcie drogę”. Zamierzał krzyknąć „nie morderca”, ale wypsnęło mu się zamiast tego „nie robotnik”. Pomimo to mężczyźni rozstąpili się. Odległość pomiędzy nim a policjantem wzrosła teraz do przeszło sześćdziesięciu metrów. Znowu skręcił na rogu i wpadł na główną ulicę, po której sunął w kierunku miasta rozpędzony tramwaj.

Ostatnim wysiłkiem woli uchwycił się rączki i wskoczył na stopień. Konduktor złapał go na rękę i wciągnął na platformę. Płuca pękały mu prawie, a przed oczyma szalały ogniste koła.

— Spóźniony do pracy? — zapytał konduktor. — Jeszcze się pan kiedyś zabije.

Piotr kiwnął potakująco głową i zmuszał się prawie,

żeby nie patrzeć w kierunku pościgu. Tramwaj wziął ostry zakręt; z daleka dobiegł go dźwięk gwizdka policyjnego. Konduktor torował sobie drogę w przepelnionym tramwaju, sprzedając bilety. Piotr obejrzał się; daleko w tyle tłum ludzi zgromadził się na torze i żywo gestykulował. Wreszcie wszystko znikło.

Na następnym przystanku przesiadł się z tramwaju do autobusu. Po dwudziestu minutach dotarł do mieszkania matki. Starał się zachować spokój, ale zanim doszedł do swego pokoju, natknął się na korytarzu na chorą matkę. Twarz miała bardzo bladą i spojrzała z niepokojem na jego rozczochraną głowę. Nagle jej usta wykrzywiły się w lekkim, ledwie dostrzegalnym grymasie jak u dziecka, które po chwili wahania postanowiło krzyczeć. „Ścigano cię”, —szepnęła. Położył niezgrabnie rękę na jej szczupłych ramionach i odprowadził ją z powrotem do sypialni, czując, jak spocona koszula lgnie mu do ciała. Ułożył ją w łóżku i przykrył różową, jedwabną pierzyną. Oczy miała suche, ale drżące wargi powtórzyły: „ścigają mojego syna”. Zostawił ją, wziął prysznic i poszedł do łóżka. Nie odczuwał większej niepewności niż zwykle: ani chłopak ze wsi, ani mały człowieczek nie znali jego prawdziwego nazwiska i adresu, a Ossie i tak nie wysypie, choćby nawet robili z nim Bóg wie co. Usnął wyczerpany i obudziła go dopiero służąca, młoda dziewczyna wiejska, mówiąc, że „trzech, czarno ubranych panów chce się z nim zobaczyć”.

Kiedy usiadł na łóżku, byli już w pokoju. Przyszła także matka, boso, prosto z łóżka. Służąca przyniosła jej pantofle i otuliła ją pledem. Wchodząc do pokoju przeżegnała się. Agenci byli w obecności matki dość grzeczni. Chcąc uniknąć scen z jej strony oświadczyli, że chłopiec wróci jutro.

I tym razem oczy miała suche, tylko skrzywione usta poruszały się ciągle i drżały. Trzej panowie przy-

stąpili metodycznie do dzieła: dużymi, sprężynowymi nożami rozcinali pierzyny, materace, rolety, okładki książek i obicia foteli. Zdawali się znajdować szczególną przyjemność w tych równych, dokładnych cięciach, zadawanych miękkiej materii. W pokoju słychać było ich oddechy, a za każdym cięciem służąca żegnała się. Pierze fruwało w powietrzu jak w czasie bożo-narodzeniowej szopki. Nie znaleźli nic i to ich rozwścieczyło. Usiłowali rozśrubować lampę na jego biurku — białą porcelanową kulę, w której była żarówka — a gdy śrubą nie puściła, rozbili ją o podłogę. Połamali wszystkie nogi fotelowe i stołowe aby zobaczyć, czy nie ukrył czegoś w kolankach. Spojrzenie jego matki, suche i natężone, śledziło każde ich poruszenie.

Kiedy skończyli, odsunęli ją od drzwi i przeszli do sypialni. Wyrzucili zawartość szafy i szuflad na podłogę — buteleczki z lekarstwami, środki chirurgiczne, bieliznę, wyblakłe suknie wieczorowe, zapakowane w cienkie, papierowe worki z lawendą. Kiedy zaczęli przetrząsać jej łóżko, ciepłe jeszcze od dotyku słabego, gorączkującego ciała, służąca zaczęła nagle krzyczeć; ale jeden z mężczyzn położył jej wielką czerwoną łapę na ustach i przycisnął głowę do ściany. Uspokoila się natychmiast i w chwilę potem słychać już było w pokoju tylko chrapliwe oddechy trzech czarno-ubraných mężczyzn.

Gdy skończyli, mieszkanie wyglądało jak po trzęsieniu ziemi. Wzięli Piotra do środka i wyszli z pokoju. obejrzał się jeszcze i zobaczył matkę, stojącą we drzwiach, wspartą na ramieniu służącej i otuloną pledem. Widział ją po raz ostatni w życiu.

Na schodach pierwszego piętra założyli mu kajdanki. Człowiek, który położył rękę na ustach służącej uderzył go w twarz i powiedział: „Nie wstyd ci łamać serca starej matce? Poczekaj, dojedziemy tylko na Komendę”. Wsiadli do samochodu.

Opowiadanie o ulotkach i aresztowaniu zajęło Piotrowi dwa popołudnia. Często odbiegał od tematu, czasem zupełnie przerywał. Kiedy indziej znowu wewnętrzne ciśnienie rozsadzało jak gdyby jego przewód mówienia, słowa wytryskały zeń spontanicznie i opowiadał bez przerwy godzinami. Sonia pozwalała mu mówić o wszystkim, a kiedy opadał ze zmęczenia na poduszki, wracała spokojnie do swojego zajęcia. Stopniowo mójzajkowe płytki opowiadania ułożyły się w jakiś wzór, tak jak ściegi w jej hafcie.

Gdy doszedł do miejsca, w którym agenci zabrali go na Komendę Policji, Sonia powiedziała:

— Przypuszczam, że tu się zaczyna historia Złego Snu?

— Jeszcze nie — powiedział Piotr. Wyszło mu w gardle i miał pragnienie. Przymknął na chwilę oczy. — Najpierw była rozmowa z Radiczem.

— Z Radiczem? — zapytała Sonia, trochę zaskoczona. — To sam Radicz zawracał sobie głowę rozmową z tobą?

— Tak. Byłem w Komitecie Wykonawczym jako delegat komórki uniwersyteckiej. Podejrzewali mnie o to, choć nie byli zupełnie pewni. Zależało im na zniszczeniu naszej popularności wśród studentów...

Nastąpiła przerwa, a ponieważ Piotr milczał dość długo Sonia zapytała:

— Co się stało z Ossiem i z tamtymi dwoma?

— Ossie dostał piętnaście lat. Był suchotnikiem, więc pewnie już nie żyje. O pozostałych dwóch nigdy więcej nie słyszałem. Nie znałem nawet ich nazwisk. Rozrzucanie ulotek byo po prostu zajęciem ubocznym. Robiłem to od czasu do czasu, ażeby wdrożyć się w rutynę pracy wśród robotników. Partia patrzyła na to krzywym okiem...

— Więc nie za to cię aresztowali? — zapytała Sonia.

— Nie. Nie dowiedzieli się nigdy, że byłem w to zamieszany. To raczej zamknęła się obręcz podejrzeń w sprawie naszej działalności na Uniwersytecie....

Znowu chwila przerwy. Nagle Sonia powiedziała:

— Czemu kiedy robotnicy zagrodzili ci drogę krzyknąłeś, że nie jesteś robotnikiem? Dziwne wypsnięcie...

— Tak — powiedział Piotr. — Nie mogę tego zapomnieć. Myślę o tym nieustannie...

— I znalazłeś odpowiedź?

— Tak — powiedział Piotr, patrząc w sufit. — Wtedy właśnie zdradziłem po raz pierwszy. Widzisz już przedtem, kiedy rozrzucałem ulotki w dzielnicy robotniczej, czułem nieraz, że wbrew wszystkim teoriom o solidarności z ludem, nie należę doń naprawdę. Nie dopuszczałem tej myśli, ale czułem tak. Właśnie dlatego brałem udział w tych wyprawach z ulotkami, choć nie do mnie one przecież należały i Partia krzywiła się na to raczej... Myślałem, że się wciągnę. Ale nic z tego nie wyszło. Ścigany przez policjantów, z płucami pękającymi od bólu i myślami wypranymi z wszelkiego życia, czułem, że byłoby rzeczą niesprawiedliwą, gdyby mnie złapano. Ostatecznie byłem tylko człowiekiem z zewnątrz, amatorem - ochotnikiem, gdy tymczasem Ossie i tamci dwaj tu się urodzili...

Po chwili dodał spokojnym głosem:

— W głowie było wszystko w porządku, ale głębiej nie. Język mnie zdradził...

Przerwał. Potem ciągnął dalej:

— Kiedy wróciłem do domu i siedziałem w gorącej wannie, podczas gdy Ossiego i tamtych dwóch policja biła prawdopodobnie na kwaśne jabłko, postanowiłem się sam ukarać i chodzić z ulotkami codziennie, zamiast raz na tydzień. Ale przyszli po mnie po południu, nie mogłem więc dotrzymać tego postanowienia...

Sonia zwróciła ku niemu twarz. W świetle lampy wyglądała łagodnie i macierzyńsko.

— Jak długo jeszcze będziesz się ciągle sam karał? — zapytała. — Widzisz, najcięższe kary to te, które ludzie nakładają na siebie samych za jakieś urojone grzechy.

Piotr nie odpowiedział. Po chwili dopiero wyjaśnił:

— Jeszcze nie wiesz co było potem...

Sonia pochyliła głowę nad robótką i czekała.

— Znałaś Radicza? — zapytał Piotr.

— Spotkałam go raz lub dwa na jakichś przyjęciach. Ale naturalnie słyszałam o nim dużo. Zdaje się, że należał do tego samego klubu, co twój ojciec. Jeszcze z nim się urodziłeś...

— Wiem — powiedział Piotr. — Mówił mi o tym...

Przymknął oczy. Cała scena stanęła przed nim jak żywa, jak rzucona na ekran. Zobaczył znowu olbrzymią twarz legendarnego starca, Szefa Departamentu Policji, człowieka który zniszczył organizację rewolucyjną w kraju, a teraz przeszywał go zza biurka swym zimnym wzrokiem. Była to największa twarz, jaką Piotr kiedykolwiek widział w życiu, pokryta całym krajobrazem śladów po ospie, szram, blizn, zmarszczek, woreczków pod oczami i brodawek. Można ją było studiować godzinami, jak mapę i odnajdywać ciągle nowe rysy. Miał duże, krzaczaste brwi, znamię jakiejś dawno wymarłej rasy nadludzi, a pod nimi głęboko osadzone, chytre i wesołe oczy starego wieśniaka. Byczy kark, kanciaste ramiona, niezgrabny krój ubrania, ciężki łańcuch od zegarka dyndający na kamizelce — wszystko to upodabniało go jeszcze do starego wieśniaka, który się wzbogacił i kpił sobie w skrytości ducha z mieszcuchów, nieposiadających tak jak on tajemnej wiedzy o bydle, deszczach i wiatrach. Jak długo siedział za biurkiem, można było sądzić, że jest ol-

brzymem, ale gdy wstał, okazało się, że jest średniego wzrostu.

— Znęcał się nad tobą? — zapytała Sonia.

— Znęcać się nade mną? — Piotr uśmiechnął się lekko. — Zaprowadzili mnie do niego tego samego wieczoru. Nie powiedzieli mi, dokąd idziemy. Gdyśmy szli korytarzem, nasze kroki odbijały się echem o kamienną posadzkę. Nagle zatonałem prawie po kostki w grubym dywanie. Drzwi zasłonięte były grubą kotarą. Gliny wepchnęli mnie do pokoju. Za ogromnym biurkiem siedział Radicz i wysunawszy głowę do przodu oglądał mnie od stóp do głów. Stałem bez ruchu obok drzwi. Przyglądał mi się jakieś pół minuty. Na koniec przywołał mnie wskazującym palcem prawej ręki i zdaniem: „Chodź tu, mój chłopcze, i wytrzymaj sobie nos”. Policjanci spuścili mi jedno przedwstępne lanie w samochodzie, a drugie w poczekalni komendy, tak że aż mi nos zdrętwiał. Podeszedłem do biurka, grzebiąc w kieszeni. Ale zabrali mi chusteczkę razem z innymi drobiazgami. Radicz przyglądał mi się, potem wyciągnął własną chusteczkę z kieszeni i rzucił mi ją poprzez stół. Biała jedwabna chusteczka z monogramem w rogu pachniała wodą kolońską. Wytarłem nos i dostrzegłem na niej od razu plamy krwi, które rozszerzały się jak na bibule. Chciałem mu ją oddać, ale powiedział:

— Zatrzymaj ją, mój chłopcze. Jeżeli cię nie rozstrzelamy, to możesz ją zatrzymać. Jeżeli cię rozstrzelamy to powiedz im, żeby ją wyprali i odesłali do mnie. Obiecujesz?

Byłem tak zmieszany, że skinąłem potakująco głową. Teraz brzmi to jak żart, ale wtedy brzmiało inaczej. Miał głęboki głos, podobny trochę do rosyjskiego basu i mówił raz „ty” a raz „pan”, i w jego ustach było to zupełnie naturalne. Nie odrywał ode mnie oczu, gdy wycierałem nos. Wreszcie powiedział:

— Grywałem z pańskim ojcem w karty. Porządny człowiek, ale zawsze przegrywał. Ile masz lat?

Odpowiedziałem, że osiemnaście.

— Osiemnaście, he? — powiedział. — Jeszcze nie-opierzony, a już taki skory do psot. Chętnie przerzuciłbym cię przez kolano i spralbym ci tyłek.

Spojrzał na mnie przekrwionymi oczyma, po czym otworzył szufladę biurka i wyciągnął cygaro. Obcinając je małym złotym nożykiem wiszącym na łańcuszku od zegarka, zawołał:

— Pali pan papierosy, czy woli pan może słodycze?

Położył paczkę papierosów po jednej, a pudełko czekoladek po drugiej stronie biurka. Wziąłem papierosa, a on rzucił mi przez stół zapalki, obserwując mnie uważnie. Zacząłem palić przed paroma miesiącami, ale pod jego spojrzeniem grzebałem się niezdarnie z zapalkami i wypuszczałem dym jak szczeniak udający dorosłego. Wiedziałem, że czeka, aż się zakrztuszę, i zakrztusiłem się istotnie, może ze względu na rozbity nos, a może po prostu dlatego, że na to czekał. Tymczasem papieros przesiąkł cały krwią i rozkleił się. Zgasilem go i zapaliłem nowego. Przyglądał się moim czynnościom z ironicznie cierpliwym wyrazem twarzy, a ja musiałem stać tak obok biurka i patrzeć mu w twarz. Nagle powiedział:

— A teraz niech pan słucha. Chciałby pan być twar-dym towarzyszem, ale to nie wychodzi. Jest pan delikatny. Píše pan wiersze. Były drukowane w jakimś piśmku. Mam je gdzieś w aktach. Pochodzi pan z dobrej rodziny. Nie jest pan Żydem. Nigdy pan nie pracował ani w fabryce, ani na roli. Czemu więc musisz koniecznie robić z siebie durnia i łamać serce starej matce?

Nie odpowiedziałem. Stałem po prostu przed biurkiem, starając się przybrać bardzo srogą minę i wytrzymać spojrzenie jego przekrwionych oczu. Ale wiedziałem, że to nie wychodzi, bo zamiast poczuć wrogość,

poczułem się winny... Rozumiesz, Sonia, ja reprezentowałem słuszną sprawę, on natomiast podłą, a mimo to ja czułem się winny, a on pewny siebie. Czułem się jak mały foksterrier szczekający na wielkiego, starego bernardyna, choć w istocie nawet i to mi się nie udało — nie szczeknąłem ani razu.

Mogłem właściwie milczeć, aby nic nie wydać. Pierwsze przykazanie Partii brzmi: trzymaj język za zębami, kiedy cię przesłuchuje policja. Ale, prawdę mówiąc, chciałem się odkuć na nim, chciałem wygłosić „płomienne przemówienie” bez względu na to co się stanie ze mną, i z innymi ludźmi zaplątanymi w tę sprawę. I oto nie byłem nawet w stanie otworzyć ust, bo czułem, że jestem w błędzie, podczas gdy on ma rację. Wtedy właśnie zdradziłem po raz drugi w ciągu dnia, zdradziłem przez fakt wewnętrznej z nim zgody...

— Ależ, Piotr — powiedziała Sonia. — Ostatecznie z punktu widzenia Partii zachowałeś się zupełnie poprawnie.

— Tak, poprawnie — odparł Piotr. — Ale tylko na zewnątrz. Wewnętrznie byłem zdrajcą. Zachowałem się poprawnie z niewłaściwych względów.

— No, dobrze — powiedziała Sonia — czułbyś się mniej winny, gdybyś wygłosił ostatecznie to „płomienne przemówienie”, aby zaspokoić własną próżność, dać mu w łapy wszystkie potrzebne informacje?

— Nie wiem — powiedział Piotr. — To jest sprawa, która wydaje mi się mętna, ilekroć próbuję prześledzić ją na nowo.

— I co się stało dalej? — zapytała Sonia.

— Oświadczył mi, że Ruch został rozbity i stał się beznadziejną donkiszoterią — co zresztą było prawdą. Dowiedział mi, że ma wszędzie wśród nas szpiegów i że jeden z członków Komitetu Centralnego jest na usługach policji — nie wymienił jednak jego nazwiska. Że w

naszym kraju klucz sytuacji leży w ręku chłopów, a on przecież zna chłopów lepiej ode mnie — co znowu było prawdą. Potem wyjaśnił mi, gdzie w naszej teorii tkwią błędy. Zacytował polemikę Róży Luxemburg z Bucharinem, mówił o brakach w socjalistycznej teorii wartości, o sprymitywizowaniu psychologii mas w naszej teorii świadomości klasowej proletariatu, o czystkach w Rosji, o procesie Rubaszowa. Najstraszniejsze w Radiczu było to, że znał naszą teorię lepiej, niż większość z nas. Opanowany jakąś wściekłą namiętnością sportową, podobny był do myśliwego, który wie o lisach więcej, niż same lisy o sobie. Wyraził tylko głośno wszystkie moje wątpliwości i utajone herezje w sposób znacznie bardziej jasny, niżbym ja sam to potrafił uczynić. Pod koniec przemówienia rzucił coś w rodzaju klątwy, jak prorok ze Starego Testamentu. Powiedział, że pięćdziesiąt lat temu chłopiec w moim wieku mógł się bawić w reformatora świata i było to tylko coś w rodzaju dziecinnej odry. Ale czasy się zmieniły i dziś każdy kto się nabawi zarazka reformatorstwa, zachoruje nie na odrę, ale na trąd. Zamkną się przed nim wszystkie granice i gdziekolwiek pójdzie wpadnie za kratki. Uciekinierem i włóczęgą będzie na ziemi. Kraje wszystkich barw, czerwone i białe, żółte i zielone, wystrzegają się tego zarazka. Jeśli zaś powstanie nowy Don Kichot to nosić będzie dzwonek trędowatych na ostrzu swojej włóczni, a jego Sanszo-Pansza przemieni się w tłustego detektywa w meloniku.

Wiedziałem, że ma dużo racji, a on z kolei wiedział, że ja o tym wiem. Potem przeczytał mi listę nazwisk ludzi, których policja podejrzewała o przynależność do naszej komórki uniwersyteckiej. Przeszło połowa listy była zgodna z prawdą. To mnie zupełnie dobiło. W naszej pracy dostawaliśmy instrukcje bezpośrednio od Komitetu Wykonawczego i mieliśmy absolutne zaufanie do techniki konspiracyjnej Partii. A teraz oka-

zało się, że Radicz bawił się z nami po prostu w kota i myszkę. Kiedy parę minut wcześniej powiedział mi, że ma swojego człowieka nawet w Centralnym Komitecie, nie wziąłem tego na serio. Ale teraz wiedziałem już, że wszystko jest stracone. I wtedy, po raz pierwszy, poczułem prawdziwy strach. Stałem na dywanie obok biurka, opuszczony i samotny, a z nosa kapą mi ciągle krew. Chciałem pobiec do domu i ukryć twarz w łóżku matki.

— Jest pan bardzo wrażliwy — powiedział Radicz. I miał rację.

— Więc tak — ciągnął teraz dalej — wiem jak pan się czuje. Czuje się pan jak dzieciak, który bawił się z dużymi chłopcami w Cowboyów i Czerwonoskórych, a kiedy go przywiązano do pała tortur, zakrzyczał z głębi swego udręczonego serca: „Oddajcie mi moje zabawki, ja chcę do domu!” Ale to nie jest zabawa, mój chłopcze. My mamy prawdziwe pale tortur w tym budynku. Przekonasz się o tym natychmiast po wyjściu z tego pokoju. A moi ludzie to tygrysy, prawdziwe tygrysy, mój chłopcze...

Po chwili rzucił na stół swoją atutową kartę. Przez wzgląd na mojego zmarłego ojca, powiedział, chce mi dać ostatnią szansę. Jeżeli się przyznam do wszystkiego to dostanę paszport i będę mógł skończyć studia za granicą, a tu tymczasem cała sprawa pójdzie w niepamięć.

— Niech się pan namyśli — powiedział — nie o pańskie informacje mi chodzi, gwiżdżę na nie. Mam już listę, przeczytałem ją panu przed chwilą, a w przeciągu dwudziestu czterech godzin będę miał także większość tych ludzi u siebie. Pańscy towarzysze zostaną więc wykończeni, tak czy owak. A po pierwszym laniu wykwićcą wszystko jak małe prosięta. Tak, że ani im, ani mnie nie sprawi to już żadnej różnicy, czy pan przyjmie moją propozycję, czy też nie. Poza tym, jeśli nie

będzie pan mówił teraz, to moi ludzie i tak wydebią z pana wszystko. Ale wtedy będzie już za późno.

— A teraz — kończył — straciłem z tobą dość czasu. Przestań się gapić jak karp. Daję ci trzydzieści sekund. Jeśli po ich upływie nie otworzysz tej ohydnej mordy, przegrasz życie i nawet sam Bóg Wszechmogący cię nie uratuje...

Odpiał zegarek i położył go na stole. Taki wielki, staromodny zegarek ze złotym wieczkiem, które odskakiwało po naciśnięciu guziczka. Tykał bardzo głośno. Widziałem wskazówkę poruszającą się naprzód — robiła dwa skoki na sekundę. Kiedyśmy ją zaczęli obserwować wystartowała z 15 i dużo czasu upłynęło zanim dobiegła do 45. W pokoju zapanowało takie milczenie, że kiedy siąknąłem nosem, ściany odpowiedziały echem.

Gdy wskazówka dobiegła do 45 poruszyliśmy się obaj, a Radicz, nacisnąwszy guzik na biurku, powiedział:

— W porządku, mój chłopcze, mam tego wszystkiego powyżej uszu. Reszta należy do moich ludzi. Zgrywasz się na bohatera, a jesteś po prostu osłem.

Po chwili zabrali mnie policjanci. I raz jeszcze musiałem mu przyznać rację...

— Ale — powiedziała po krótkiej przerwie Sonia — czemuś nie przyjął jego propozycji? Przecież i tak nie miałyby to znaczenia dla twoich towarzyszy.

— Ba — powiedział Piotr — czemu? Często dziwiłem się sam sobie. Wprawdzie miał tylko połowę listy, ale byłem przekonany, że niezaadługo będzie miał i drugą połowę. W każdym razie nie miało to nic wspólnego z lojalnością, wiernością, lub czymś w tym rodzaju. Wewnętrznie zdradziłem ich już przedtem. Ale jakoś nie mogłem tego z siebie wydusić.

— Czy pamiętasz co się z tobą działo w ciągu tych trzydziestu sekund?

— Jak przez mgłę — powiedział Piotr. — Wolałbym raczej o tym nie mówić.

— Ale powinienes.

— Dobrze — powiedział Piotr. — Przypuszczam, że nie ma to już żadnego znaczenia, a może nawet jest śmieszne. Chciało mi się potwornie łać. Przez chwilę pomyślałem nawet, że nie uda mi się powstrzymać. Widziałem oczyma wyobraźni siebie samego, stojącego w kałuży moczu na dywanie. A zegarek tykał. Napiąłem wszystkie mięśnie, aby nie utracić samokontroli, tak, że aż palce u nóg zagięły mi się w butach. Przestępowałem z nogi na nogę i czułem jak przez pory na czole wydobywa się ciepły pot. A wskazówka zegarka posuwała się tak wolno, że przestałem już w ogóle wierzyć w koniec tej całej historii. I pamiętam doskonale, że minęło dwadzieścia sekund, a wskazówka zdawała się tkwić bez ruchu na 35...

— Tkwić bez ruchu?

— Tak mi się zdawało...

— No i co dalej?

— Nie wiem. Nagle wskazówka znalazła się na 45 i Radicz nacisnął guzik dzwonka na biurku.

— Nie pamiętasz, co przeżywałeś w ciągu tych ostatnich dziesięciu sekund?

— Nie... Ciągłe jeszcze widzę wskazówkę, poruszającą się małymi skokami z 15 ku 35. Ale nie wiem jakim cudem dobiegła do 45.

— Wiesz, wiesz — powiedziała spokojnie Sonia, nie podnosząc głowy.

— Wiem? — zapytał Piotr sennym, powolnym i grubym głosem, w którym wibrowało podniecenie, sygnalizujące nawrót zagubionych wspomnień przeszłości. — Wiem? Może i wiem... Ale to wszystko rozplywa się we mgle... Może na chwilę zapomniałem, że to Radicz patrzy na mnie i wyobrażałem sobie, że stoję oto, nadąsane i drżące ze strachu dziecko, przed surowym o-

bliczem ojca. Ale miałem zaledwie trzy lata, gdy ojciec mnie odumarł i prawie go nie pamiętam. Wiem tylko, że był twardym człowiekiem i zawsze go się bałem, zawsze się na niego dąsałem. Często musiałem go przepraszać i całować w rękę, żebrząc o przebaczenie. Miał dużą, kosmatą łapę i nie lubilem jej całować... Śmieszne, ale ciągle jeszcze czuję dotknięcie tego czarnego, twardego owłosienia na wargach. Matka też go się bała — wiedziałem o tym. Wiedziałem również, że była zawsze po mojej stronie, choć nigdy nie odważyła się tego okazywać... Pamiętam jak siedział w fotelu i trzymał mnie pomiędzy kolanami. Patrzył mi w oczy i czekał, aż zacznę przepraszać. Złoty łańcuszek od zegarka dyndał mu się na kamizelce, jak u Radicza. Walczyłem ze sobą, aby powstrzymać lzy i mocz, a on ścisnął mnie coraz mocniej za łokcie i cedził przez zęby słowa, które chciał ze mnie wydusić. „Ojczy, przebacz mi, będę już grzeczny”. Słowa wydobywały się spod jego wąsów z gwizdem, przez szczelinę w złotych zębach. Daremnie usiłowałem je powtórzyć. Przeszkadzał mi knebel w gardle...

— Knebel w gardle? — zapytała Sonia.

— Tak — potwierdził sennie Piotr. Po czym dodał zmienionym, zmieszanym głosem:

— Ale oni naprawdę zakneblowali mi usta, aby zapobiec krzykom... Oto dlaczego nie byli w stanie mnie usłyszeć, kiedy chciałem zdradzić — słowa nie mogły się wydostać...

Przez parę sekund błąkał się wzrokiem w ciemnościach, pełen rozterki. Rozmaite pokłady przeszłości stopiły się w jedno, jak u człowieka, który opuszczając się w głąb szybu widzi wszystkie nawarstwienia geologiczne naraz. Usta zakneblowali mi tajniacy dopiero po wyjściu z pokoju Radicza. Kiedy złoty zegarek tykał na biurku, ta scena należała jeszcze do przyszłości. Ale spoza dziesięciu pustych sekund, odmierzanych

przez złoty zegarek wynurzyło się wspomnienie innego złotego łańcuszka, a spoza niewymówionych słów zdrady odezwało się echo dawnego „Ojcze przebacz mi” i zdławione kneblem, który z przyszłości cofnął się w przeszłość, zdawało się więznąć w dziecińczych ustach... Bo sen nie zna praw kolejności i następstwa czasu, i gdy śnił o przeszłości, pamięć jego ślizgała się niby wątyły promyk światła po całym szybie, oświetlając raz górną warstwę, a raz dolną, tak że niekiedy sprawa, która zdawała się być bliska już powierzchni, korzeniami swymi grzęzła nagle w najgłębszych pokładach przeszłości. A kiedy indziej znowu, na samym dnie szybu, w najbardziej ukrytych i zapomnianych zakamarkach, pojawiał się maleńki płomyk innej pamięci, zamglony, zagubiony w mrocznym korycie skalnym — pierwszy okrzyk protestu i rozczarowania, niepokalane poczęcie winy.

Może dlatego Piotrowi, kiedy tracił nagle wątek, przychodził często z pomocą nowy klucz do odszyfrowania wszystkiego. Upłynęło jednak sporo dni, zanim nieuchwytny koszmar, który nazywał Złym Snem, zaczął ukazywać swoją twarz. Zadziwiające było to, że pamiętał dobrze wszystkie wypadki, które nastąpiły po wyjściu z pokoju Radicza — a nie mógł zapamiętać snu, który był na nich oparty.

Stopniowo jednak okazało się, że Zły Sen nie był prostą reprodukcją tych wypadków. Tworzyły one raczej jego wierzchnią, zewnętrzną warstwę, podczas gdy sam sen posiadał swój własny pion, łączący go z innymi wcześniejszymi zdarzeniami, w świetle których pozornie dzielne zachowanie się Piotra wobec oprawców nabierało od razu posmaku wstydu i winy, tak jak złoto przemienia się pod tchnieniem diabła w gnój.

Nagie zaś fakty wyglądały w ten sposób, że Piotr wbrew przewidywaniom Radicza i własnym, nie zalał się. Z urzędu Radicza sprowadzono go po schodach

do zimnego, przestronnego pokoju w suterynie. Zastał w nim sześciu ludzi. Trzech grało w karty, siedząc w rogu dużego, zbitego z surowych desek stołu; dwóch czytało gazety, a szósty, z cygarem w zębach i w meloniku zsuniętym na tył głowy, stał obok okna i rozpiąwszy spodnie, grzebał w rozporku, szukając mend. Wszyscy byli czarno ubrani i w mdłym świetle, sączącym się przez brudne zamarzniete szyby i zamglonym dymem cygar, wyglądali jak jakieś ponure, Rembrandtowskie bractwo sukienników.

Kiedy drzwi zatrzasnęły się za Piotrem, czytający wolno złożyli gazety, karciarze leniwymi ruchami schowali karty, a człowiek pod oknem zaczął zapinać spodnie. Przyglądali mu się jednak cały czas bardzo uważnie. Piotr rozglądał się niespokojnie po pokoju. Brak jakichś wyraźnych narzędzi, myśl o których prześladowała go przecież bezustannie, przyniósł mu chwilowe odprężenie. Nie wiadomo jednak co zawierały wysokie i wąskie szafy pod ścianami. Sześciu mężczyzn ociągając się otoczyło go luźnym kołem. Człowiek, który szukał mend, ujął go haczykowatym palcem wskazującym pod brodę i podniósłszy z lekka jego twarz, powiedział:

— Słyszałem, mój synu, że chcesz odbyć długą, szczerą spowiedź.

Piotra zmroził nagle tak straszliwy strach, że chcąc go przemóc i ukarać się za tchórzostwo i upokorzenie, powiedział dziwnym, dźwięcznym głosem:

— Nie mam nic do powiedzenia.

Stojący naprzeciwko niego człowiek wyciągnął znowu rękę i podniósł palcem wskazującym twarz Piotra do góry; ruszył przy tym szczękami, jak gdyby żując coś w ustach, i wycelowawszy dokładnie, splunął Piotrowi w twarz. Piotr cofnął się do tyłu, ale zagięty palec wskazujący ujął go znowu pod brodę. Twarz z jednym okiem, oślepionym przez ślinę podniosła się do góry, a w następnej chwili człowiek w meloniku przegiął się

w biodrach i wolną pięścią rąbnął go w nos. Piotr zatonął się do tyłu, nadział się żołądkiem na cios stojącego za nim tajniaka, potoczył się do następnego, skulił się kopnięty w gołęń, i skręcając się, wędrował tak z rąk do rąk, jak tancerz w balecie groteskowym. Pierwsze uderzenie złamało mu siodelko w nosie, drugie rozcięło wargę i wybiło dwa zęby. Ale jednocześnie opuścił go zupełnie strach i kiedy stopniowo spłynęła nań ciemność, od czasu do czasu tylko rozdzierana krótkimi błyskami bólu, dziwna, prawie wstrętne ekstaza przeobraziła jego skoki i podrygi w kole spoconych i parskających ludzi, którzy go bili i kopali, w jakiś taniec obrzędowy, przy akompaniamencie posępnego dudnienia serca i pulsów — zamiast bicia w święte bębny.

W końcu stracił przytomność. Ale kiedy czarna kurtyna zapadła nad rzeczywistą sceną, inna, przezroczysta uniosła się we śnie, odsłaniając odmienione w magiczny sposób widowisko. Teraz aktorami nie byli już czarno ubrani ludzie w melonikach, z cygarami i o twardych pięściach. Opadły z nich prozaiczne maski i z łagodnego półmroku dzieciństwa wyłoniły się twarze półbogów, rozdzielających nagrody i kary, ból i radość w myśl niedocieczonych swych praw.

Umacniały one granicę pomiędzy światem zewnętrznym i wewnętrznym, podcinały skrzydła dziecinny rojeniom i napiętnowały je raz na zawsze znamieniem grzechu pierworodnego.

Prowadzony przez Sonię Piotr zaczął odnajdywać drogę w tym niesamowitym, a przecież znajomym świecie. Cierpliwą chirurgią snów obnażała korzenie jego wstydu i dumy, samooskarżeń i tęsknot do ekspiacji. Była cierpliwa, nieosobista i bezlitosna. Przywiązał się do niej bardzo i polubił ją serdecznie, ale przekonała go rychło, że nawet i to przywiązanie jest tylko symptomem, powstałym zgodnie z dobrze znanymi i określonymi regułami. Wszystkie cnoty i przekonania, w któ-

re niegdyś wierzył rozplynęły się i rozłożyły na drobne składniki chemiczne. A on sam, bohater bajki, który zniósł mężnie najcięższe tortury i którego nazwisko, choć sam o tym nie wiedział, miało się stać legendą całego młodego pokolenia w kraju rodzinnym, stał oto obnażony i drżący, sprowadzony do paru nieświadomych odruchów dzieciństwa.

Coś takiego właśnie poczuł, gdy oblany wiadrem zimnej wody, ocknął się na podłodze w środku koła, utworzonego przez sześciu czarno ubranych mężczyzn. Wodził błędnym spojrzeniem po obojętnych twarzach, gdy dwóch z nich pomagało mu stanąć na nogach. Byli pełni troskliwości.

— Chłopsiu, chłopysiu — powiedział ten, który mu napluł w twarz — Myślisz, że sprawia nam przyjemność ta zabawa? Spójrz na swoją małą, ładną twarzączkę.

Wyjął kieszonkowe lustro, spięte z brudnym grzebieniem. Piotr spojrzał i dzika maska, która wyzierała z lustra napęliła go znowu uczuciem sennej nierealności.

— Tak właśnie wyglądasz — ciągnął mężczyzna w czerni — i co na to powiedzą słodkie dziewczuszki? A jeśli dalej grać będziesz durnia, złamiemy ci po kolei każdą kosteczkę — nie ma na to rady. Bądź lepiej grzeczny i powiedz nam jedną lub dwie rzeczy, które nas interesują...

— To tylko próba twojej dobrej woli — powiedział inny mężczyzna. — I tak dowiemy się wszystkiego. Myślisz, że Partia troszczy się o ciebie? Partia nie dba ani za grosz o durniów, zapewniam cię. Pełno w niej naszych ludzi. Nazywają was „specami” i śmieją się z was do rozpuku.

Zaczynają znowu, pomyślał Piotr ze znużeniem. I wierzą ciągle idioci, że robi to wszystko dla Partii. Porzucił ją i zdradził już dawno. Zapomniał nawet o co

w niej idzie. Drżał w przemoczonym ubraniu, gdy spomiędzy jego szczękających zębów wydobył się głos — głos przerażonego, upartego dziecka, które chciałoby przeprosić, ale raz zagniewane, nie może się już cofnąć; piskliwy, gwizdzący głos, który oświadczył:

— Nie mam nic do powiedzenia.

Kiedy otworzyli szafę, był ciągle tak oszołomiony, że w pierwszej chwili wziął wszystkie instrumenty ze skóry i stali, wiszące pięknie na kołkach, za wystawę w zakładzie rymarskim. Zauważył też mimochodem, że na wewnętrznej stronie drzwi od szafy wisi maszynopis inwentarza sprzętu. Kiedy kazali mu się rozebrać, oszołomienie zaczęło właśnie mijać; ale poruszając się ciągle jak automat, usłuchał rozkazu. Kiedy jednak kazali mu się położyć na stole, odmówił po raz pierwszy. Ale skręcili mu głowę, a tajniak, stojący po drugiej stronie stołu, uchwycił go za przeguby rąk, i rozciągnął go jak długiego na stole, piersią do blatu. Piotr przywarł podbródkiem do surowych desek, które śmierdziały mydłem karbolowym. Kącikiem oka zauważył, że narzędzie, które wyjmują z szafy ma metaliczny połysk. Pierwsze trzy uderzenia zdawały się rozłupywać jego ciało na dwoje. Nigdy by nie przypuszczał, że człowiek potrafi znieść tak śmiertelny ból, a teraz oto sam go przeżywał, i znowu i jeszcze raz i jeszcze... Świadomość tego wyrwała się z jego ciała i zawisła nagle w przestrzeni, jak gdyby w niej jedynie znajdując miejsce dla tak potwornych wrażeń. Po czwartym uderzeniu ból przeniósł się z pleców do mózgu. Każde nowe uderzenie zapalało światelko elektryczne za gałkami jego oczu i powodowało wybuch w głębi czaszki. Słyszał swój własny dziki krzyk i czuł, że wypróżnia mu się pęcherz, a żołądek skręcając się zwraca wszystko na stół. Wśród błyskawic i grzmotów, wśród pękania skóry zadławił się nagle brudnym kneblem, którym zatkali mu usta. Nagle wszystko ustało; uścisk na prze-

gubach rąk zelżał, a całe ciało obsunęło się wolno ze stołu na podłogę. Leżał chwilę obdarty, we własnej krwi i urynie. Wreszcie wyjęli mu knebel z ust.

— Będziesz mówił? — zapytali.

Tak, gdy miał zakneblowane usta chciał mówić. Chciał krzyknąć: „Ojcie przebac mi”, powstrzymać ich uderzenia i nabrać powietrza do płuc. Ale teraz westchnął tylko głęboko, przełknął lzy i śliny napływające mu do ust, i czując w całym ciele błogą ulgę, odmruknął ledwie dosłyszalnym głosem:

— Nie mam nic do powiedzenia.

10.

Oto szczegóły. Sonia prosiła o szczegóły i oto one.

Ludzie rozprawiają przeważnie o Terrorze w kategoriach abstrakcyjno-politycznych, albo w sposób, w jaki idealizujący malarze przedstawiają męczeństwo świętych. Nie znają kategorii żywego ciała. Mówią górnio o odwadze i wierze, a zapominają, że sam Chrystus zaparł się jednego i drugiego, gdy cierpiąc na krzyżu wykrzyknął: Bóg mnie opuścił. Rozprawiają o cierpieniach tak, jak nieśmiały pleban mówi o sakramencie miłości. Lękliwi wobec żądz ciała, nie mają pojęcia o jego cierpieniach. Czczą abstrakcyjnych bohaterów, stawiających czoło torturom i śmierci — a nie wiedzą nic o upadkach człowieka, nie znają cichej jego tragedii, gdy walczy o utrzymanie kontroli nad mięśniami, nad nerwami, nad kiszkami. Ale ci, którzy uczynili z terroru naukę, wiedzą o wszystkim dobrze. Wiedzieli inkwizytorzy, wiedzą czarno ubrani panowie. Wiedzą, że w pewnym określonym stadium bólu fizycznego, cokolwiek by się nie działo w mózgu ofiary, pozostałe części organizmu wymykają się spod jego władzy. Żołądek zwraca swoją zawartość, gruczoły łzawienia wylewają, struny głosowe zaczynają drgać same, kiszki otwierają się jak rozprute worki.

Znąją te szczegóły i liczą na ich efekt. Wiedzą o bezmiernym poniżeniu człowieka, zapędzonego w bezradne dzieciństwo, o poniżeniu, które niszczy jego dumę i podkopuje jego wolę przetrwania.

Bo ciało jest przebiegłe. Pragnie ono przeżyć za wszelką cenę. A w momencie kryzysu może jedynie przeżyć, zwracając się przeciwko duchowi, wyśmiewając go i plugawiając, wmawiając sobie, że dalszy opór byłby bezużyteczny. Inkwizytorzy wiedzieli, że prawdziwym ich sojusznikiem jest nie duch ofiary, ale jej ciało.

Ale podczas gdy panowie w czerni zgłębili wiedzę wykorzystywania przebiegłości ciała, ich przeciwnicy nie potrafili osiąść w równym stopniu sztuki uciszenia zbuntowanych nerwów, gruczołów i tkanek. Pozostawieni samym sobie wynajdują tylko dziwne sztuczki i zawstydzające fortele, o których nigdy już potem, nawet po zwycięskim przebyciu tortur, nie chcą mówić.

No ale cóż — Sonia prosiła o szczegóły i oto one... Torturowali go również w ciągu czterech następnych dni. Pierwszego dnia przerwali, gdy zemdlał po raz drugi. Zrozumiał wówczas, że jedyną jego nadzieją jest osłabić tak siłę oporu fizycznego, aby następnym razem mógł stracić przytomność, zanim ciało odzyska nad sobą władzę. Skupił się więc cały w tym uporczywym wysiłku osłabienia ciała, odmawiał sobie snu i jedzenia i oddawał się samotniczej żądzy, podkopującej resztki jego sił. Rozciągnięty na więziennym cemencie kołysał się na kipiącym oceanie bólu, tarł się ze świszczącym oddechem o podłogę, aby wycisnąć z ciała ostatnie, nędzne iskierki żądzy. Długo myślał, że chyba on jeden tylko stoczył się w tak groteskowy sposób na samo dno poniżenia, ale od współwięźniów dowiedział się potem, że przed nim inni już robili to samo.

W drugim dniu rozłożyli go na stole i przez dwie rurki gumowe wciśnięte do nozdrzy, lali mu wodę do nosa. Było to gorsze od ogłuszenia, bo trwało dłużej. Za każdym razem, kiedy zaczynał się już dusić, kiedy czuł, że za chwilę pękną mu płuca, a oczy wypłyną ze swych orbit, przerywali i kazali mu mówić. Ale wtedy była to już duchowa niemożliwość. Unerwiona skorupa dookoła mózgu, która broniła go od przyznania się, szumiała mu w uszach jak drzewo. W czasie rozmowy z Radiczem była ona tylko cienką membraną, napiętą do ostatecznych granic wytrzymałości, teraz zaś stała się korą, odporną na ból, na tortury, na fizyczną wolę przetrwania. Czarno ubrani mężczyźni zauważyli jak gdyby tę zmianę — Piotr zaczął ich już nudzić. Gdy po godzinie dławienia się i wymiotowania, szlochów i krzyków, usmarowana pianą i łzami twarz o rozciętej górnej wardze przejaśniła się na chwilę, a na całe ciało zstąpiło błogosławione omdlenie, przerwali tortury i zanieśli go do celi. Tak skończył się drugi dzień.

Trzeciego dnia, ze względu na panujące w więzieniu przepelnienie, do celi przyszedł na parę minut nowy więzień. Wyglądał jak robotnik rolny. Był wysoki, tęgi, niezgrabny i trochę przygarbiony. Twarz miał pokrytą plastrami skrzepłej krwi. Wepchnięty do celi przez strażnika, zatoczył się jak pijany i zamachał zwiśającymi bezwładnie rękami. Kiedy drzwi się za nim zamknęły, przycupnął na cementowej podłodze, i oparł się plecami o ścianę.

— Jezusie — powiedział patrząc na Piotra, leżącego na płaszczu, twarzą do ziemi. — Jezusie, spójrzcie na tego małego spec'a. Zrąbali go jeszcze gorzej ode mnie.

Wyciągnął z kieszeni grudekę tytoniu i zaczął ją żuć.

— Dobrze ci tak — powiedział po chwili — to wy, spec'e, winni jesteście wszystkiemu. Gdyby nie wasza agitacja, żylibyśmy wszyscy spokojnie i szczęśliwie.

— Biorąc psie grosze za dwunastogodzinny dzień pracy? — zapytał Piotr, z bólem próbując unieść się na łokciu.

— Idź do diabła! — powiedział nowy, więzień, i strzyknął w kierunku Piotra brązowym sokiem tytoniowym, pomieszanym z krwią. — Nie zmienicie niczego tą waszą agitacją. Jezusie, byłem zatraconym durniem, ale teraz już się nie dam nabrać.

— Wysypałeś? — zapytał Piotr.

— A co miałem robić? Podpisałem wszystko co chcieli — powiedział nowy więzień. — Jezusie, przyznałbym się nawet, że zgwałciłem Panienkę Przenajświętszą, gdyby mnie o to zapytali.

— No to naprawdę jesteś dureń — powiedział Piotr, kładąc znowu głowę na skrzyżowanych ramionach.

— Słyszycie — powiedział teraz nowy więzień — Jezusie, Maryjo, słyszycie co ten mały Spec mówi? A ty nie sypnąłeś?

Piotr nie odpowiedział. Ból, duma i upokorzenie przepłynęły przez jego ciało gorącymi i zimnymi strumieniami. Ale jego milczenie wywarło na nowym więźniu dziwne wrażenie.

— Nie sypnął! — wykrzyknął gwałtownie, jak gdyby porażony tym faktem — Jezusie, Maryjo, wyczyniali z nim tysiąc razy gorsze rzeczy niż ze mną i nie sypnął... Panno Święta, błogosławiony kwiecie mojego serca, dlaczegoście mi nie dali wykształcenia, dlaczego jestem tylko zatraconym durniem?

Upadł na kolana i zanim Piotr zdążył się zorientować o co chodzi, pochwycił go za rękę i ucałował ją, pozostawiając na skórze ślad krwi i soku tytoniowego. Po paru minutach przeniesiono go do innej celi.

Trzeciego dnia ludzie w czerni tylko połowę serca byli obecni przy pracy. Wiedzieli, że jeżeli już raz pancerz nieugiętości osiągnie pewien określony stopień stwardnienia — to więzień jest dla nich stracony. Nie

uznawali okrucieństwa bez celu — a w każdym razie nie bawił ich taki cherlak, jak Piotr. Z atletami, z kobietami, z tłustymi Żydami o delikatnej skórze — oho, z tymi wszystkimi była inna sprawa! Powtarzali więc swoje zwykłe tricki, zirytowani, znudzeni. Nie mogli drzeć mu pasami skóry na plecach, bez zaryzykowania katastrofy. Nie mogli posłużyć się znowu gumowymi rurkami, bo jego puls odżywał się teraz słabo i nieregularnie. Wlali więc mu do gardła trochę wódki i zaczęli go bić w pięty. Pierwsze uderzenia przeszły Piotra straszliwym bólem, rozdarły go ostrym cięciem, idącym od nóg, poprzez żołądek, do mózgu. Potem ogarnęła go drętwosć, ból się zlokalizował i szarpał już tylko całe ciało tępych wybuchami, aż wreszcie, po dziesiątym czy jedenastym uderzeniu, coś tam pękło w jego głowie ze słabym, suchym trzaskiem i stracił przytomność. Tym razem na długo. Ocknął się w celi dopiero po paru godzinach.

Tak się skończył dzień trzeci. Czwarty i ostatni dzień jego próby zamknął paroma obrazami — jak klamrą — całość Złego Snu.

Tym razem przenieśli go z celi na salę tortur na noszach. Położyli go znowu na nieheblowanym stole, który śmierdział karbolem, i rozebranego przywiązali skórzanymi pasami — ręce i nogi rozciągnawszy po przekątnych — do czterech rogów stołu. Potem otoczyli go w milczeniu — sześciu czarno ubranych panów w brudnych, sztywnych kołnierzykach i w melonikach. Na tle czarnych ubrań odczuwał własną nagość jako coś zawstydzającego i wzbudzającego popłoch. Serce trzepotało mu się w piersiach, zamierało i odżywało, porażone grozą bezsilności. Tajniacy stali ciągle w bezruchu — spoglądali na ukrzyżowane ciało z wyrazem posępnej zadumy w oczach. To milczenie, przepelnione oczekiwaniem czegoś nieznanego, zbliżało go do załamania bardziej niż ból fizyczny, którego zaznał w ciągu

wszystkich dni tortur. Ból ma swoje granice, strach nie zna ich zupełnie. A właśnie strach poraził go nagle jak prąd elektryczny i kiedy zadygotały mu zęby, z trudem usiłował się opanować, zaciskając mocno szczęki. Kontury pokoju zaczęły się chwiać. Na koniec jeden z ludzi przemówił.

Był to ten sam, który napluł mu pierwszego dnia w twarz. Gdy tylko otworzył usta, pokój wrócił do swojego normalnego mrocznego wyglądu, a Piotr sprężył się natychmiast, jak zapaśnik na chwilę przed dostaniem się w śmiertelny uchwyt.

— No, mój chłopcze — zaczął prawie że uroczystym tonem człowiek w meloniku — chcemy już dziś z tobą skończyć, tak czy inaczej. Daliśmy ci sporo czasu na przemyślenie wszystkiego od nowa i jesteśmy prawie pewni, że chcesz nam nareszcie opowiedzieć o paru rzeczach, które nas interesują.

Gdzieś w głębi nędznego strzępu ciała Piotr poczuł westchnienie ulgi i żywsze bicie serca. Po części dlatego, że miało to się skończyć dzisiaj — wszystko jedno jak, byle dzisiaj — ale głównie dzięki temu, że słowa oprawcy zdradzały nieoczekiwany brak wyobraźni. Przeżywał teraz odwrotność punktu kulminacyjnego: pierwotna zgroza znikła, półbogowie wrócili do właściwych perspektyw — spoconych, nikczemnych, kiepsko płatnych tajniaków, którzy nie byli w stanie wymyślić nic lepszego, jak tylko oklepany refren „paru rzeczy, które ich interesują”.

Odetchnął z ulgą przez zaciśnięte zęby, jak dziecko, który dostrzegł za plecami diabła palec aktora z teatru kukielek.

— A więc nie powiesz — skonstatował obojętnym głosem człowiek w meloniku. — Doskonale — dorzucił, zsuwając melonik na tył głowy — spróbujemy cię odrobinę polaskotać, zasłużyliśmy przecież ostatecznie na trochę śmiechu.

Wyjął wolno z ust zapalone cygaro, i nie spuszcza-
jąc wzroku z twarzy Piotra, zbliżał je cał po cał do
skrępowanej skórzanym pasem nogi. Piotr usłyszał ci-
chy trzask; to jeden z jego chwiejących się zębów wy-
padł na skutek skurczu szczęk. W tej samej chwili po-
czuł koło pięty dotknięcie rozżarzonego cygara. Pal-
ce u nóg zwarły się. Prawa noga pobudzona nagle do
życia, usiłowała gwałtownie szarpnąć się do tyłu; rze-
mienny pas wpił się w kostkę, odrywając kawał skóry.
Piotr zasyczał jak rozwścieczony gąsior. W nozdrzach
poczuł zapach spalonego mięsa, a w ustach gorzki smak
żółci. Nagle cygaro zawisło znowu nad jego głową, a
grube palce o czarnych, kwadratowych paznokciach
strząsnęły na jego twarz popiół.

— Widzieliście, nie zaśmiał się! — powiedział czło-
wiek z cygarem. — Ale potrafimy być znacznie zabaw-
niejsi. Prawda chłopcy?

— Naturalnie — potwierdził głos z tyłu. — Znacz-
nie zabawniejsi.

Czterej pozostali tajniacy stali po obu stronach stołu
i przypatrywali się rozciągniętemu ciału jak asystenci
w sali operacyjnej.

— Potrafimy być zabawniejsi — powtórzył czło-
wiek z cygarem, zbliżając wolno rozżarzony koniec do
pachwiny Piotra. — A to dla twojego potomstwa.

Dokładnie w chwili dotknięcia, ciało Piotra poder-
wała jakaś desperacka konwulsja, jakiś dziki spazm
rozpaczy, w którym instynkt rasy wzniósł się jak gdy-
by ponad normalne siły i sięgnął w rejony nieznanych,
wyższych potęg. Pas przytrzymujący prawą kostkę
pękł i Piotr kopnął silnie w pierś człowieka z cygarem,
odrzucając go daleko od stołu.

Rozległ się śmiech. Ten nieoczekiwany obrót spra-
wy zdawał się ich serdecznie bawić. Ani jeden nie wy-
buchł gniewem, nawet człowiek kopnięty w pierś. Czy
był to znak miłosierdzia? Czy może raczej podskórne

poczucie solidarności męskiej — objaw czci dla świętej, intymnej dziedziny życia płciowego? Mniejsza o to — w każdym razie nie ponowili już tej próby. Natomiast człowiek z cygarem uchwycił teraz uwolnioną, dziko wierzgającą nogę Piotra, przytknął rozżarzony koniec cygara do załamania pod kolanem i zgiął nad nim siłą nogę. Piotr zawył, sprężył się w ostatniej konwulsji i stracił przytomność. Inkwizycja była skończona.

Piotr wyszedł z niej jako zwycięzca, choć sam nawet o tym nie wiedział.

Ale kiedy dwóch noszowych zabrało z pokoju nieruchome, śmierzzące przypalonym mięsem ciało, jeden z czarno ubranych ludzi pomyślał przez chwilę o orszaku, niosącym w blasku słońca zwycięzcę, złożonego w żałobnej chwale na własnej tarczy.

II.

— Kiedy zacznę znowu chodzić? — zapytał Piotr nazajutrz. Od chwili gdy opadła temperatura, zadawał to pytanie codziennie, z gorączkowym uporem człowieka chorego. A Sonia odpowiadała na nie jak cierpliwa siostra szpitalna, która ma zwyczaj powtarzać tylko zlecenia lekarza:

— Musisz się najpierw zdecydować, jak to należy robić.

Piotr zamilkł i śledził przez chwilę bieg własnych myśli. Siła jego argumentów słabła i mętniała zawsze w obliczu Soni. Dziś jednak poczuł w sobie pewną energię i niecierpliwość. Zaraz po przebudzeniu chora noga, choć nieruchoma jak przedtem, dała jednak pierwszy znak powracającej wrażliwości. Gdy ją mocno ścisnął, poczuł w odpowiedzi lekkie drgnienie.

— Ale ja się już zdecydowałam — powiedział.

— Jechać do Odette?

— Nie. Wiesz przecież dokąd chcę jechać... — i dorzucił zamyślony: — Będę lotnikiem...

Sonia odwróciła haft i przyjrzała mu się krytycznie.

— No więc na co czekasz? — zapytała chłodno.

— Nie mogę chodzić...

— Bo — powiedziała Sonia — masz nogi mądrzejsze od głowy.

Nie odpowiedział. Głęboko w dole, na samym dnie świeżo wydrążonego szybu, zaświtało mu nagle przekonanie, że jest chyba trochę prawdy w jej słowach.

Nieustannie próbował zdać sobie jasno sprawę z tego, co się z nim właściwie stało. Czasem, nad ranem, kiedy czuł się wypoczęty i odświeżony miewał ochotę usiąść nagle na łóżku i krzyknąć do siebie w głos: „Dość tego grzebania się w rupieciach, otwórz nareszcie oczy. Dość nonsensów i histerycznych, staropanięńskich bzdur. Zbierz się do kupy. Wystarczy trochę świadomości i wszystkie te brednie znikną jak duchy o świcie. Zjrzyj w oczy faktom...”.

Ale w głowie czuł pustkę i zrzędził na siebie tak jak dorożkarz, któremu potknął się koń. „Jak to się zaczęło? Miałem iść do Mr. Wilsona w sprawie wyjazdu do wojska, ale dzień przedtem znikła Odette, namawiając mnie, abym pojechał za nią...”. Ale w tym momencie, stary wróg — zaczajony ból budził się nagle, podrywał się w piersi ostrym szarpnięciem. Myśli gubiły drogę; niepowstrzymanie przyciągane, nawracały znowu do pokoju Odette, do pończochy zwisającej z poręczy krzesła; do wyszeptanego wtedy zdania, do jej twarzy zastygłej w tragicznym grymasie, do rytmicznego crescendo jej namiętności. A stąd już dalej i dalej do wiecznie cofającej się przeszłości, do zatopionych i na nowo odkrytych wysp czasu, do naszeptanych mu kiedyś w ucho słów, do półśniętych scen, do wzorzystej kotary w pokoju dzieciennym, do złotego łańcuszka Radicza, do włochatych rąk ojca, do uścisku kolan, trzymających

go w uwięzi za przestępstwo, do wazonu kwiatów, stawianego przez matkę na parapecie okna... Ten wazon kwiatów nabrał nagle nieoczekiwanego znaczenia. Wyglądało na to, że ma jakiś bezpośredni związek ze Złym Snem; uczepił go się myślami, potem pobiegł dalej, nagle wrócił doń znowu, aż wreszcie postanowił opowiedzieć o wszystkim Soni w czasie jednej z tradycyjnych siest poobiednich.

Kiedy indziej znowu próbował myśleć o wojnie, jak gdyby chcąc zobaczyć swą drobną, osobistą tragedię w perspektywie historii. Dużo ważnych rzeczy stało się w czasie jego choroby. Wróg zaatakował na Wschodzie i towarzysz Tomasz stał się na powrót jego sojusznikiem. Ale ta sensacyjna wiadomość nie wywarła na nim spodziewanego wrażenia. Wielka wizja wypaliła się sama. Zamiast zwykłej wojny na dwóch frontach, powstał teraz trójkąt wojenny: z jednej strony — zdradzona utopia; z drugiej — chyląca się do upadku tradycja; z trzeciej — zniszczenie w pełnym szyku bojowym. Naturalnie, trzeba walczyć z tym trzecim, nie ma innego wyboru. Ale to tylko obowiązek, a nie misja — zamordowane złudzenia nie zmartwychwstają nigdy. W tej wojnie nie ma trąb, obalających mury, a gdy toczy się bitwa, słońce nie zatrzymuje się w biegu.

Nie, wojna nie stała się dlań ucieczką od nagromadzonych problemów. Wojna zbladła i stała się prawie nierealna. Radio przynosi wiadomości z jakiegoś minionego raczej okresu historii, gazety zwietrzały. Królik Jeruzalem i stłuczony wazon kwiatów — to bardziej podniecające tematy do rozmyślań. Dawno już temu Sonia, żując banana, powiedziała, że rozplywający się w jej ustach kęs więcej ma w sobie realności niż cała przyszłość. Wtedy poraziła go prawie trywialność tego powiedzenia. Teraz przeszło mu aż mrowie po plecach na myśl, jak bardzo zbliżył się do jej punktu widzenia.

W bardziej klarownych chwilach rozmyślań uświadomił sobie również, że pod wpływem Soni zawałiła się strzelista budowa jego wartości, wykrzykniki przygarbiły się w pytajniki. Cóż to jest ostatecznie odwaga? Sprawa gruczołów, nerwów i systemów reakcji, uwarunkowanych dziedzicznością i wczesnymi przeżyciami. Kropla jodu mniej w tyroidzie, sadystyczna guwernantka, albo przeczulona ciotka, lekka zmiana w oporze elektrycznym ganglionów szpikowych — i bohater staje się łotrem a patriota zdrajcą. Trącone czarodziejską różdżką przyczyny i skutku, czynności ludzkie tracą swoją „treść moralną”, tak jak butelka lejdejska rozładowuje się pod dotknięciem przewodnika elektrycznego.

Ale czemu, wobec tego męczył go ciągle Zły Sen? Czemu, gdy Sonia pokazała mu całą daremność i donkiszoterię przeszłości, czemu nie wszystko stało się jasne i proste? Czemu jego noga leżała nadal nieruchomo, jak porażona mieczem? I jak z systemem Soni godził się ten miecz wściekłego i zazdrosnego boga? Przypuśćmy, że Sonia miała rację, mówiąc o jego jedynej, prawdziwej chęci zapomnienia Jeruzalem. Przypuśćmy — ot tak dla usprawnienia dowodu tylko — że postanowił zdradzić Sprawę i jechać do Odette — czy to założenie wpłynęło w jakimś stopniu na stan jego nogi? Nie, nic się nie zmieniło.

Ale Sonia miała odpowiedź i na to.

— Wyobrażasz sobie to wszystko w zbyt uproszczony sposób — powiedziała. — Nie tak łatwo rozładować butelkę lejdejską. Sypią się iskry, słychać wybuchy i wstrząsy. Coraz mniej, to prawda, ale zawsze pozostaje jeszcze trochę ukrytego napięcia.

— Opowiedziałem ci o sobie wszystko co pamiętam — powiedział Piotr markotnie.

— Ale nie wszystko jeszcze sobie przypomniałeś.

Piotr nie odpowiedział. Poczuł nagle do Soni nie-

chęć, a nawet więcej — nienawiść. Nienawidził jej profilu, jej haftu, jej białej sukni, jej szerokich bioder i ud, jej bujnej i wyraźnej płci. Mięsożerny kwiat — pomyślał, wzdrygnąwszy się. Czuł wstręt do jej ciała i umysłu, do jej wyniosłego dystansu, do sposobu, w jaki rozkopywała i traktowała najbardziej intymną część jego istoty, tak jak gdyby chodziło tylko o kawałek gruntu publicznego. Rozpiekla się w nim wściekłość. Prowadzi mnie za uzdę jak potulną szkapę, ale już dość, dość, nie pójdę ani kroku dalej.

— Nie opowiadałeś mi nigdy o swoim bracie — zauważyła nagle Sonia, nie podnosząc głowy znad haftu.

— O moim bracie? A cóż on ma z tym wspólnego?

Serce zabiło mu mocno. Usiadł na łóżku i spojrzał na nią z wyrazem lęku i popłochu. Ale Sonia nie przerywała haftowania. — Och, pomyślałam tylko... — odparła wymijająco i znowu zapanowało milczenie.

Obsunął się na poduszkę. W pokoju słychać było tylko cichy szelest igły, dziurawiącej płótno i ciągnącej za sobą nitkę. Przyszło mu na myśl, że w tej głębokiej ciszy pokoju nie słychać nawet oddechu Soni. Dziwne, jak świetnie potrafiła się zatrzeć, wypłowić i utożsamieć — niby pod działaniem praw mimikry — z meblami i tłem. Świerszcze grały w ogrodzie. Cienie zaluzji rozpoczęły swoją powolną wędrówkę na suficie i Piotr znowu złapał się na przywidzeniu, że to jego matka siedzi na miejscu Soni, pochłonięta milczącą pracą, tuż obok kotary i doniczki z kwiatami. Źródło otwarło się, wydzielając lekki, nadgniły zapach przeszłości i zanim w świadomości swej wyraził na to zgodę, usłyszał jak opowiada Soni historię swego snu.

— To był głupi sen — zaczął ospałym głosem — przyśnił mi się w więzieniu i teraz, bardzo niedawno, znowu... Oto pokój dziecinny — ciemny i duszny. Chciałem otworzyć okno, choć nie wolno mi było tego robić. Wspiąłem się na parapet, jedną nogę postawiłem

na donicze, widząc doskonale, że robię rzecz straszną. Z przyjemnością, w której była jednak świadomość winy, poczułem jak pod moją stopą w donicze ugina się miękka, wilgotna ziemia i trzeszczy cienka roślina. Otworzyłem okno. Gwałtowny podmuch wiatru wdarł się do pokoju jak hamsin. Potknąłem się i doniczka zaczęła spadać w dół, w dół, w ciemny przestwór powietrza... Na ulicy powstała bieganina i krzyki. Tłum ludzi zebrał się pod oknem i otoczył kołem szczątki doniczki. Potem wszyscy uklękli i złożyli ręce do modlitwy. Kiedy im się przypatrywałem, za mną wyrosła nagle szklana ściana. Za nią leżała na stole, lub raczej na marach moja matka. Oczy miała zamknięte, była bardzo spokojna i nieruchoma. Pocałowałem ją w rękę przez szkło i poczułem na ustach zimne dotknięcie. Wiedziałem, że będę musiał pozostać teraz na zawsze w ciemnym pokoju, aby odpokutować za zbrodni...

Nastąpiło milczenie. Piotr przyglądał się ceniom. Świszczący oddech jego piersi zagłuszał szelest igły. Ale ręka Soni poruszała się w milczeniu do góry i na dół, jak ręka skrzypka, prowadząca smyczek. Po chwili zapytała:

— Co o tym wszystkim myślisz?

— Myślę — powiedział Piotr — że spowodowałem śmierć matki. To ona była doniczką z miękką ziemią i kruchą rośliną. Chciała abym pozostał na zawsze pod osłoną mroku, w pokoju dziecinnym. Zagroziła mi drogę do Partii, na ulicę. Zdeptałem ją i przeszedłem po jej trupie.

Przerwał. Owładnął nim bezbrzeżny smutek, ale nie czuł już teraz ukłucia bólu. Smutek był spokojny, po-krzepiający, jak szept słowa „Amen” w modlitwie za umarłych.

Następnego dnia, jak zwykle po południu, Sonia powiedziała do Piotra, nawlekając igłę:

— No, Piotr, nauczyłeś się wielu rzeczy o sobie. Przebyłeś długą drogę. Czy nie sądzisz, że czas już postawić ostatni krok i wyciągnąć wnioski?

— Co masz na myśli? — zapytał Piotr podejrzliwie. — Znam wnioski. Zrobili ze mnie bohatera, a ja zdradziłem wszystkich. Matkę i chłopca, który pocałował mnie w rękę; Ossiego, tego chłopaka ze wsi i małego człowieczka, których schwytano gdy ja uciekałem; Żydów z Mieszanych Transportów, którzy przekraczali próg komory gazowej, gdy ja leżałem w łóżku z Odette, a nawet myślałem o tym, żeby z nią wyjechać i rozpocząć nowe życie... Jak daleko pamięcią sięgnąć mogę wstecz, zdradzałem zawsze wszystkich, nawet królika w kojcu...

Sonia szyla w milczeniu. Nagle odłożyła gwałtownym ruchem haft i spojrzała Piotrowi prosto w oczy.

— Już czas, Piotr — powiedziała zmienionym głosem, agresywnym i nieosobistym głosem, który pamiętał z dawnych czasów — za dwa tygodnie wyjeżdżam. W ciągu ostatnich paru dni zaszła w twojej nodze znaczna poprawa. Dowiedziałeś się sam o sobie, rzeczy, których nikt nie mógłby cię nauczyć. Musiałeś je sam odkrywać. Rozebraliśmy cię na drobne części jak popsuty zegarek. Sprawdziliśmy po kolei wszystkie sprężynki i kółka zębate. Teraz pora złożyć wszystko na powrót.

— Już to zrobiłem — powiedział Piotr, broniąc się jak gdyby przed nową pogrózką. — Mówiłem ci przecież o wnioskach...

— Tak, ale w niewłaściwy sposób — przerwała mu Sonia. — Co więcej, prawdę mówiąc nie wierzysz już wcale w te bzdury na temat twoich zdrad. Prawda jest

inna: ani rola bohatera, ani rola zdrajcy nie była szyta na ciebie — wyglądasz w nich jak aktor w za szerokim kostiumie. Nie przerywaj — przez cały ten czas ty mówileś, teraz kolej na mnie.

Ale Piotr nie miał zamiaru przerywać. Słuchał jej z gorliwym podnieceniem, tak jak się słucha zakończenia powieści kryminalnej, której wątek śledziło się z zapartym oddechem. Wyłania się ono wówczas z chaotycznej przeszłości jak symetryczny kryształ z płynnego roztworu.

Sonia mówiła długo. Zaczęła od demaskowania fałszywych pozorów, od obalania bezsensownych hasel w rodzaju „odwagi”, „poświęcenia” lub „za sprawę”. Historia, twierdziła, nie jest eposem, ale łańcuchem anegdotek. Bohaterska Gwardia Szwajcarska wyginęła do ostatniego człowieka na stopniach Pałacu Tuilleryjskiego w obronie kokietki o ptasim mózdzku, i w walce przeciwko zwolennikom Praw Człowieka. W tak drogiej sercu Piotra wojnie domowej w Hiszpanii, obie strony walczyły z równą odwagą. Od niepamiętnych czasów ludzie poświęcali się z jednakim zapalem dla spraw dobrych i złych, głupich i rozumnych. Stąd wniossek, że gdyby ktoś chciał wyjaśnić dlaczego Piotr zachował się tak a nie inaczej, musiałby z punktu odrzucić tak zwane przekonania i zasady etyczne. Gdyż są one po prostu wykrętami umysłu, widziadłami bardziej intymnej rzeczywistości. Nie to jest ważne czy był bohaterem Proletariatu, czy męczennikiem Kościoła Katolickiego. Jedynie ważne i podejrzane jest to, że w ogóle pragnął męczeństwa.

I czy Piotr nie przyznał się sam, że gdy go aresztowano, stracił już był od dawna wiarę w sprawę? Cemu wobec tego wystawił się jeszcze na próbę, ryzykując śmierć? No tak, wchodziła tu w grę i próżność. Próżność człowieka, który chce stanąć na poziomie swojej kasty, w tym wypadku na poziomie tak bardzo przez

wszystkich szanowanej kasty „speców”. Ale to wszystko są pozory. Aby odczytać istotne pobudki samobójczego zachowania się Piotra trzeba sięgnąć głębiej, znacznie głębiej do tych pokładów, w których indywidualna pamięć człowieka przemienia się w pamięć rasy... Oto na przykład scena z Radiczem. W chwili gdy Radicz podał mu chusteczkę i zmusił go w ten sposób do odgrywania roli syna marnotrawnego, Piotr przestał przecież panować nad sobą — mit odepchnął rzeczywistość i obaj zaczęli odgrywać z góry określone role w jakimś dziwnym rytuale, uświęconym przez tradycję pokoleń. Oglądany we właściwej perspektywie to Radicz właśnie — a ściśle mówiąc jego chusteczka — uratowała Piotra od zdradzenia...

Sonia przerwała. — Zgadzasz się z tym co dotychczas powiedziałam?

— Mów dalej — powiedział Piotr.

— Naturalnie — ciągnęła Sonia — teraz już sam wiesz o tym wszystkim doskonale, i powtórne miętoszenie spraw oczywistych może istotnie zakrawać na jakąś pedanterię. Ale spójrz jak dalekośmy zaszli, stawiając tylko kropki nad „i” w tej prostej i wzruszającej koncepcji „lojalności wobec sprawy”. W rzeczywistości lojalność oddzieliła się od sprawy i, od chwili aresztu poczynając, przypominasz już tylko cyklistę, który wspina się na rowerze po stromej ścianie; jeżeli nie spada z siodełka to jedynie dlatego, że siła nabytego rozpędu zastąpiła w nim powoli siłę ciężenia...

— Ale jakąż była moja siła rozpędu?

— Twoja wina.

Czekała chwilę, a gdy Piotr nie powiedział nic więcej, ciągnęła spokojnie:

— Kluczem do twoich dawnych przejść jest to ciągle poczucie winy, które zmuszało cię zawsze do płacenia urojonych długów.

— Urojonych? — zapytał Piotr po chwili.

— No oczywiście. A jakież ty miałeś obowiązki wobec Ossiego i jego towarzyszy? Czy mogłeś poradzić coś na to, że nie urodziłeś się na przedmieściach? Jeżeli już wogóle powstaje sprawa długów, to raczej oni powinni by się czuć twoimi dłużnikami.

— A moja matka? — zapytał cicho Piotr.

— Twoja matka miała anginę pectoris. Gdybyś jej nie dobił kryminałem, dobiłbyś ją na pewno meزالiansem, bankructwem albo pójściem na wojnę. Taka jest geometria przeznaczenia, w której linia prosta przecina równoległe zawsze pod tym samym kątem. Ale ty naturalnie wyciągnąłeś z tego inne wnioski. Po jej śmierci dopiero na dobre postanowiłeś trzymać się Partii, choćbyś w nią nawet przestał wierzyć. No bo jakżeż: w przeciwnym wypadku okazałoby się przecież, że poświęciłeś matkę na darmo... I tak oto pedałowałeś dalej na stromej ścianie, aż nastąpiła katastrofa...

Sonia przerwała znowu. Cienie żaluzji dotarły już w swojej wędrówce po suficie do szczytu drzwi. Pierwszy podmuch przedwieczornego wiatru zaczął odchylać ciężką klapę upału, niby palce unoszące skraj grubego, dławiącego koca. Sonia wstała i otworzyła żaluzje.

— Czy mogę mówić dalej? — zapytała. — A może jesteś zmęczony?

— Mów dalej — odparł Piotr.

— Dobiegamy już prawie do końca — powiedziała Sonia, oparłszy się o ramę okna. — Pozostaje nam jeszcze wyjaśnić źródła tego poczucia winy. Widzieliśmy jak się rozrastało i rozwidlało — królik, Ruch, Ossie, doniczka — to jedynie ozdoby na tej samej choince. Naprawdę, tylko ozdoby. Korzenie choinki są starsze i tkwią głębiej. Ale nie wyrwałeś ich jeszcze z ziemi.

Urwała i odeszła do jego łóżka. Ale Piotr milczał.

— Spójrz na swoje dwadzieścia trzy lata — ciągnęła — miękko — Czy nie były one tylko jakąś zziąjaną pogonią za pokutą? Tak jakby wisiała nad tobą ciągle

stara, biblijna klątwa: wygnańcem i włóczęgą będziesz na tym padole ziemskim...

— Tak... Ale dlaczego?

— Nie pamiętasz kiedy po raz pierwszy padła ta klątwa? Kain zapytany o coś odpowiedział: azali jestem stróżem brata mego?

Piotr poderwał się gwałtownie. Na policzki wystąpił mu rumieniec wściekłości:

— Mówiłem ci już, że to nie ma nic wspólnego z całą sprawą. Nie zrobiłem tego naumyślnie.

— Naturalnie, że nie — powiedziała Sonia.

— To był zwykły przypadek. Nie patrz na mnie w ten sposób.

— Opowiedz wobec tego jak to było...

Znowu, na oka mgnienie wezbrała w Piotrze fala nienawiści i oporu wobec Soni. Stanowiło to coś w rodzaju akcji opóźniającej w pościgu, choć prawdę mówiąc, nie wiedział nawet kto lub co jest jego wrogiem. Czuł tylko fizyczny wstręt do wspominania wypadku, który nie miał przecież nic wspólnego z całą sprawą. Krok za krokiem poddawał się Soni, ustępował jej tak dalece, że stracił już niemal zupełnie grunt pod nogami. Czemu więc chciała koniecznie stratować i rozkopać także ten ostatni skrawek jego życia prywatnego?

Ale trwało to chwilę. Wiedział, że musi dojść do końca, że — choćby nawet nie chciał, choćby nawet miał skapitulować zupełnie — musi wyjawić resztkę tego, co było niegdyś jego wyłączną własnością, jego przeszłością.

13.

— Było to na plaży — zaczął szarym głosem — w czasie wakacji letnich. Miałem wówczas około pięciu lat, a on trzy albo cztery. Był raczej trudnym dzieckiem — ciągle chorował, kaprysił, a matka rozpieściła go

bardzo. Gdyśmy się sprzeciali, stała zawsze po jego stronie. Na plaży leżała jakaś stara łódź rybacka. Choć było to zakazane, wskakiwaliśmy do niej często w czasie odpływu. Pewnego dnia, gdy jak zwykle pomogłem mu się wgramolić do łodzi, zaczął nagle tupać nóżkami i wrzeszczeć, że łódź należy do niego i żebym sobie poszedł precz. Przeraziłem się, że zwróci tym krzykiem uwagę dorosłych i że, jak zwykle, ja w pierwszym rzędzie dostanę za całą zabawę w skórę. Kazałem mu się uciszyć, a gdy nie przestawał się drzeć i tupać nóżkami, skoczyłem do łodzi i usiłowałem zatkać mu ręką usta. Szarpaliśmy się przez chwilę, a potem upadliśmy na dno łodzi. Upadł twarzą na zardzewiały hak, który wystawał z dna. Nadział się nań prawym okiem, a ja całym ciężarem przypierałem go do dna. Gdy próbowałem go podnieść, wyciągnąłem wraz z nim i hak... Chciałem wyjąć mu z oka hak, ale szarpał się strasznie i wrzeszczał, wrzeszczał...

Nastąpiła chwila ciszy. — Słabo mi — powiedział cicho Piotr. Twarz mu zbieleła. Sonia podała mu szklanekę wody.

— Dlaczego każesz mi o tym mówić? — zapytał po chwili. — To był wypadek. Cóż to wszystko ma do rzeczy...

— Nic — powiedziała Sonia. — Ciekawe tylko, że przy całej tej manii samooskarżania się, jest to jedyny w twoim życiu wypadek, w którym nie czuleś się ani odrobinę winny.

— Nie — powiedział Piotr. — Nie miałem powodu.

Znowu nastąpiło milczenie. Nagle Sonia zapytała:

— Zostałeś ukarany?

— Nie pamiętam — odpowiedział Piotr. — Zdaje się, że zachorowałem...

Odwrócił oczy i dodał po chwili:

— Tak, teraz pamiętam. To dlatego ojciec trzymał

mnie pomiędzy kolanami i kazał mi powtórzyć zdanie, którego nie mogłem wymówić.

— Ojcie przebac mi?

— Tak.

Po chwili Sonia powiedziała wolno:

— Piotr, kiedy zdarzył się ten wypadek, miałeś pięć lat. A twój ojciec umarł, kiedy nie miałeś jeszcze nawet trzech...

Piotr potrząsnął głową. Dopiero po chwili uprzytomnił sobie co powiedziała. Spojrzał na nią jak wryty; ona również utopila wzrok w jego twarzy. I jednocześnie zstąpiło nań jak gdyby błyskawiczne olśnienie — pamiętał już, wiedział. W chwilę potem zaś wydało mu się, że wiedział o tym zawsze, że w ciągu tych długich lat czuł to na końcu języka, jak smak gorzkiego ziela.

— Miałeś rację — powiedział wolno, przymknąwszy oczy.

— Dopiero teraz zobaczyłem wszystko — zobaczyłem tę scenę, jak gdyby była odmalowana na wewnętrznej stronie powiek. Zobaczyłem w niej nie siebie, ale jakby kogoś innego. Już znikła, ale wiem teraz, że się zdarzyła i wiem jak się zdarzyła...

Przerwał. Sonia stała nieporuszona obok jego łóżka. W jej wzroku pojawił się błysk triumfalnego podniecenia. Piotr ciągnął dalej, nie otwierając oczu:

— Widzę wyraźnie. Dwu albo trzyletnie dziecko, stojące obok kołyski, w której śpi okropne, małe stworzonko — czerwone, śmierdzące, bezzębne, zawodzące dzień i noc...

— Czułem się pewnie w owej chwili bardzo opuszczony. Wszyscy krzatali się nieustannie wokół tego maleństwa, a ja zostałem zupełnie odsunięty na bok. Tak, musiałem go nienawidzić z całego serca...

— Wczoraj wyrzucono na śmietnik moją lalkę, bo wydrapałem jej oczy. Pomyślałem więc, że wyrzucą na

pewno z kołyski i to stworzonko, jeżeli nie będzie miało oczu... Widzę siebie, unoszącego się na palcach, pochylającego się nad kołyską i dotykającego rękami wilgotnych ciepłych powiek. Nagle obudził się i zaczął płakać, a w drzwiach stanął mój ojciec...

— Nie wiem, czy zdawał sobie sprawę z tego co chciałem zrobić. Ale zabronił mi już dawniej dotykać dziecka rękami. Więc wziął mnie między kolana i kazał mi przepraszać... Pamiętam, teraz dokładnie. Musiałem pomieszać dwa zdarzenia. Kiedy stał się tamten wypadek, ojciec już dawno nie żył. I nikt się nie dowiedział, że zardzewiały hak był tylko narzędziem, którym wykonałem dawne, ukryte pragnienie.

— Ale musiałem wiedzieć o tym cały czas — musiałem świadomość tego przechowywać gdzieś poza językiem. I wiedziałem też cały czas, że pragnienia mają moc poruszania haków w łodziach rybackich, a myśli mają władzę nad przedmiotami... Oto dlaczego wierzyłem, że wystarczy tylko myśleć o króliku, aby go ocalić przed śmiercią; i że zdradzić Partię w myślach, to coś znacznie gorszego, niż zdradzić ją w uczynkach. Nie mogłem nigdy wymówić „przebacz mi”, ani do ojca, ani później do Radicza, bo wiedziałem, że moja zbrodnia jest większa niż wszyscy przypuszczają, i że nie można jej zmyć zwykłym aktem skruchy...

Usiadł na łóżku. Przeniknęło go uczucie jakiegoś ogromnego triumfu duchowego, porwał go nagle zachwyt na widok rzeczy, która jest przecież tak jasna, tak zrozumiała. Chwycił Sonię za rękę.

— Tak, teraz rozumiem wszystko — ciągnął gorączkowo — byłem opętany myślą o karze. Chodziłem po świecie i kogośkolwiek spotykałem, czułem się winny, czułem się krzywdzicielem. Płaciłem ciągle urojone — jak powiadasz — dług, bo zapomniałem jaki jest dług prawdziwy. Chwalono moją odwagę, a ja wiedziałem zawsze, że jestem oszustem, a ja myślałem

ciągle: gdyby tylko wiedzieli... Ale wtedy, kiedy mnie aresztowali i bili, kiedy wlewali mi przez gumowe rurki wodę do nozdrzy, czułem nie tylko przerażenie i ból, czułem także chęć, żeby jeszcze i jeszcze — owładnęło mną jakieś wstrętne upojenie. Liczyłem uderzenia tak jak lichwiarz liczy złoto. A kiedy przywiązali mnie poraz ostatni do stołu i rozżarzone cygaro dotknęło mojego ciała, pomyślałem jeszcze — czy raczej przysniło mi się to na chwilę przed utratą przytomności — że nareszcie oto muszę płacić: ząb za ząb, oko za oko. Bo we śnie — pamiętam teraz doskonale — scena była zupełnie inna: zawsze śniło mi się, że rozżarzony koniec cygara zbliża się do mojej żrenicy...

Mówił w gorączce, w przypiływie jakiegoś natchnienia, pełen lęku, czy aby słowa dościgną myśli i wspomnienia. Cieszył się jak za dawnych studenckich czasów, gdy pojawił nagle zasady prawa Keplera o ruchu planet i otaczający go świat chaosu został otamowany, przeobraził się w jasny i harmonijny system. Wydało mu się, że do dziś znał tylko odpryski swojej przeszłości. Teraz odpryski wskoczyły same na swoje miejsca, a ich poszarpane brzegi znikły w prawidłowo ułożonej całości.

Stopniowo podniecenie ustąpiło miejsca łagodnemu wyczerpaniu. Pomyślał — nie znajdując zresztą nic groteskowego w tej myśli — że taki najwyższy spokój odczuwać muszą kobiety po bólach porodowych. Rozparły się w nim po raz pierwszy od wielu lat: swoboda i jasność. Został uwolniony od stałego ucisku, od męki tak głuchej i nieustannej, że przestał już nawet być świadomym jej istnienia.

Sonia wyszła z pokoju. Był więc sam. Sam, wolny. Po raz pierwszy w życiu był panem własnego losu. Zobaczył jeszcze swoją spopielalą młodość — długi koszmarny cierpień i ucieczek — ale zobaczył ją niby lampę płonącą za przezroczystą ścianą.

Ale lampa palić się będzie dalej. A gdy układał się już do spania, po raz pierwszy nie dotknął palcem wskazującym oparzeń na nodze, zaniechał codziennego rytuału, który bronił go od Złego Snu. Wiedział bowiem, że duchy zostały wyegzorcyzmowane, i sen nie wróci już nigdy więcej.

14.

W ciągu paru następnych dni nastąpiła dalsza poprawa w stanie fizycznym Piotra. Poruszał już teraz palcami, a niekiedy nawet zginał całą nogę. Początkowo działo się to jak gdyby przypadkowo. Gdy zmieniał w łóżku pozycję, noga kierowana własnym już impulsem zmieniała również położenie.

Po okiem Soni zaczął nawet skakać po pokoju na jednej nodze, chwytając się stołu i krzesła. Chora noga ugięła się jeszcze ciągle pod ciężarem ciała, ale przytrafiało mu się czasem stać parę sekund bez oparcia i cieszyć się powracającym doznaniem twardego dotyku podłogi. Wiedział, że zupełne ozdrowienie nogi jest tylko kwestią czasu.

Jego monologi i dialogi z Sonią nabrały teraz bardziej praktycznego charakteru. Trzeba było wysłać depeszę do amerykańskich krewnych, wypełnić formularze i kwestionariusze. Było to wszystko bardzo podniecające. Ale najwięcej emocji dawała mu nauka chodzenia.

Nareszcie przyszłość stała przed nim otworem. Zrzucił pęta przeszłości — fikcyjne nakazy wierności, urojone długi. Oglądając się wstecz, uświadomił sobie, że właściwie już dawno zaczął tracić polityczne złudzenia. Szedł przez te lata ustawicznych klęsk jak człowiek, który nie wie, że przez dziurę w kieszeni wypada mu grosz za groszem. Teraz kiedy wyciągnął na wierzch podszewkę kieszeni, przekonał się, że jest go-

ły jak święty turecki. To dziwne dość odkrycie napeli-
niło go jednak radością. Będzie musiał zacząć od zera
— to prawda — ale ostatecznie nie ma już przynaj-
mniej wierzycieli, i może sobie iść, gdzie tylko dusza
zapragnie.

Przypomniawszy sobie chorągiewkę, znaną na pla-
ży. Była ona ostatnim ogniwem w łańcuchu składają-
cym się z królika, doniczki, ulotek, Proletariatu — je-
szcze jednym cackiem symbolicznym, zawieszonym na
choince jego winy. Z chłodnym zadowoleniem i z lek-
kim tylko odcieniem smutku zrywał je jedno za dru-
gim — bzdurnych bożków przeszłości, dyndających na
zwiędłych gałęziach. O, były jeszcze inne, o których
nawet nie wspomniawszy Soni — dawno zapomniane i te-
raz dopiero odgrzebane z pamięci: choćby ten garbusek
ze szkoły, syn kamasznika, w drucianych okularach i
o dziobatej twarzy, nakrapianej czarnymi punkcikami.
Dzień po dniu Piotr oddawał mu wstydliwie własne
śniadanie, własne miedziaki i najrzadsze znaczki pocztowe... Jak ten mały, przebiegły hultaj pompował zeń
wszystko, gdy on, Piotr, upajał się własną szlachetnoś-
cią, romantyczną pozycją starszego brata! Tak oto roz-
począł swoją długą pielgrzymkę pokutniczą.

Potem pierwsze zetknięcie z Partią — widok policji
konnej, rąbiącej szablami tłum demonstrantów, krzy-
ki rannych, pokrwawione ofiary na punktach opatrunkowych za barykadami — każda z widmem haka rybackiego, sterczącego z wykrzywionej bólem twarzy.
Dziś wie już, że to właśnie ta scena, jej groza i urok,
kazały mu wstąpić do Partii. Broszurki, mowy i zasady doktrynalne przyszedł później.

Codziennie rano oficjalny organ Partii przynosił na
tytułowej stronie motto: „Miejsce silniejszego jest zawsze po stronie słabszych”. Te słowa stały się hasłem jego
pielgrzymki. Zaspakajały bowiem nie tylko jego chęć
poświęcenia się, ale i jego pragnienie zemsty. Gdy jed-

nak spojrzeć na nie z innego punktu widzenia, to czy on, Piotr, nie był jednym z słabszych? Czy nie odtrącili go dla rozpieszczonego, tyranizującego wszystkich potworka, czy nie obrócili go w buntownika, czy nie utożsamili go z uciskanymi? Tak, tak, gazetowe motto było obosieczne, bo mroczne rejony w których działało, nie znają takiej rzeczy, jak sprzeczność logiczna.

I jaka z tego wszystkiego korzyść? Co dobrego wynikło z tych donkiszockich krucjat? Królik został zabity i zjedzony. Ossie i inni nie żyją, albo gniją w kryminale, Partia rozsadzona od wewnątrz przekupstwem, rozpadła się w gruzy. I ta mała chorągiewka na plaży też... Przypomniiał sobie trzęsącą się od podagry rękę Mr. Wilsona, rodzinne fotografie w zakurzonych tekturowych ramkach na wystawie i małego tubylca bijącego się z oburzeniem laską po głowie. Tak, ten mały wąsaty Sanszo z Neutralii miał rację — Sanszowie zawsze mają rację.

Ale teraz już koniec. Był wyleczony. Nigdy już więcej nie będzie robił z siebie durnia. Był wyleczony ze złudzeń obiektywnie i subiektywnie. Dwie linie spotkały się i przecięły. Dość płacenia długów, dość słuchania rozkazów. Niechaj umarli grzebią swoich umarłych. Dla niego, Piotra Sławka, krucjata dobiegła końca.

PRZYSZŁOŚĆ

I.

Piotr spał dłużej niż zwykle i obudził się dopiero, gdy Sonia wychodziła z łazienki. W ciągu ostatniego tygodnia wysypiał się doskonale, nic mu się nie śniło i czuł się jak człowiek, który po upalnym dniu zanurzył się w źródlanej wodzie. Ale dziś miał sen gorączkowy i mglisty. Widział Odette, stojącą na molo, w tłumie oczekujących. Krzyczał i machał do niej ręką z pokładu okrętu, który zbliżał się do mola z oburządzającą powolnością. Zdawała się go nie dostrzegać. Na koniec okręt dobił do brzegu. Piotr rzucił się na pomost i zbiegł na molo. Po chwili trzymał ją w ramionach i czuł skórą dotyk jej piersi i ud. Ale Odette nie była ani zaskoczona ani uradowana i uwalniając się z jego uścisków, tłumaczyła mu, że nie są przecież sami. I rzeczywiście przyglądał im się cały tłum ludzi. Zabrał ją więc ze sobą i po krótkich poszukiwaniach znalazł jakieś samotne miejsce. Ale wymknęła mu się znowu, i znowu wydało mu się, że ktoś ich podgląda. Pobiegli dalej, i gdy w nim rosła ciągle żądza, ona to poddawała się, to znowu uciekała. I wszędzie zdawało im się, że ktoś ich obserwuje. Wreszcie dotarli do jakiegoś opuszczonego ogrodu, obwieszzonego zwiędłymi girlandami, pamiątką z dawno

minionego festynu. Raz jeszcze wziął ją w ramiona i pełen zachwytu wobec zbliżającego się spełnienia, ocknął się.

Obudził go trzask drzwi w łazience. I uświadomił sobie, że przybiciu okrętu towarzyszyło bulgotanie wody, wyciekającej z wanny.

Sen choć niespełniony, spiętrzył w nim uczucie rażącego oczekiwania. Przywrócił obraz i dotknięcie Odette. Zapach jej skóry zdawał się jeszcze ciągle unosić w powietrzu. Przypomniawszy sobie, że dziś właśnie miał po raz pierwszy wyjść z domu — ta myśl czaiła się w jego mózgu, nawet gdy spał. Miał odwiedzić konsula amerykańskiego i odebrać papiery z magicznymi pieczęciami. Potem miał iść do biura okrętowego. Sonia pomyślała o wszystkim w czasie ostatniego tygodnia jego rekonwalescencji. Sonia wyjeżdża jutro, a on pojedzie natychmiast po otrzymaniu karty okrętowej.

Skarcił się sam za to, że zasnął właśnie dzisiaj — kiedy nadeszła wreszcie tak długo oczekiwana chwila — i wyskoczył z łóżka. W ostatnim tygodniu wrócił prawie zupełnie do zdrowia i choć nie otrząsnął się jeszcze z pewnej chwiejności, chodził teraz zupełnie normalnie. Gdy stąpając ostrożnie wszedł do łazienki i przyglądał się prawej nodze, wykonującej skomplikowane poruszenia, zgięcia i rozprostowania, gdy przenosił sprawnie i elastycznie ciężar ciała z pięty na palce — nie mógł się nadziwić, że była ona kiedyś „martwa”. Prawie nie do wiary wydawało mu się teraz, że nie poczuł wtedy ukłucia igły dr Huxtera; tak jak za absurdałne uważał wówczas ich nadzieje, że może jednak noga odreaguje. I nie zgubił również wyłącznika, o nie — wogóle nie było nigdy żadnego wyłącznika, noga pracowała po prostu automatycznie, jak dobrze naoliwiona maszyna.

W każdym razie — tłumaczył sobie teraz — cała ta sprawa miała raczej związek z jakąś nową odmianą

influenzy, z jakimś nieznanym dotąd zarazkiem, ale nigdy z teoriami psychologicznymi, o których mówiła Sonia. Albo, jeśliby się ktoś koniecznie upierał, bardzo pośrednio — bo trzeba jednak przyznać, że Sonia pomogła mu w pewnej mierze pozbyć się najrozmaitszych przesądów i fikcyjnych zobowiązań, pomogła mu zrzucić skórę z okresu dojrzewania. Tak, pomogła mu powziąć decyzję, pomogła mu zdać sobie odważnie sprawę z własnych pragnień.

Otworzył natrysk i z rozkosznym dreszczykiem wsunął się pod strumień zimnej wody. Przestał teraz rozmyślać — trudno bawić się w introspekcję pod zimnym prysznicem. Przechylił się do tyłu i struga wody, rozpryskując się, smagała go po twarzy i piersiach. Otworzył szeroko usta i pozwolił chłodnemu plynowi sączyć się z kącików ust, podobny do brązowego karpia w fontannie. Pomyślał jak to będzie przyjemnie brać prysznic razem z Odette w lśniącej od szkła i metalu łazience na 20. piętrze drapacza chmur. Odette będzie miała na głowie obcisły, gumowy czepek; i jak bardzo będzie piszczeć, gdy strumień wody otoczy przezroczystym pyłem jej smukłe ciało.

Wytarł się dokładnie i włożył ubranie, które od rana już czekało na niego w pokoju, świeżo wyczyszczone i wyprasowane.

2.

Nic się nie zmieniło: ani plac, ani fontanna, ani kawiarniane stoliki na chodniku, ani jaskrawe parasole, ani światło słoneczne, podobne do rześistej ulewy rozżarzonych promieni, rozpryskujących się o białe bloki zabudowań. W kawiarniach przesiadywali jak dawniej tubylcy w muszkach i z wywatowanymi ramionami i strząsali popiół z papierosów na spodki po kawie. Wyglądało to wszystko na powrót do kraju lotosu, do pań-

stwa nie pozwalającego się niepokoić przelotnymi wypadkami. Może, gdy ziemię tę tratowały Legiony Rzymskie, a później zastępy Maurów, zabierano stoliki do środka i zamykano na dzień żaluzje. Ale otwierano je zaraz z powrotem, aby wykazać, że słońce, palmy i drętwie sny właścicieli nie uległy zmianie, że dzisiaj podobne jest do wczoraj, a jutro podobne będzie do dzisiaj. Wygląd placu potwierdzał to wszystko, co Sonia mówiła o daremności wtrącania się do spraw i biegu świata. Plac miał, podobny do kwiatu lotosu, zapach mądrości i pogodzenia się z losem.

Gdy Piotr usiadł na tym samym tarasie, na którym spotkał kiedyś po raz pierwszy Odette nie ujrzał już ani jednej znajomej twarzy z dawnej kolonii tranzytowej. Prawda, w kawiarniach siedzieli, jak dawniej, cudoziemcy, podobni do ludzi ściganych i pochyleni nad stolikami, dotykając się prawie głowami, dyskutowali na pewno o tych samych co kiedyś sprawach — ale twarze były nowe. Pani Tellier i setki innych pojechało do Ameryki; nawet staremu dr Huxterowi pozwolono narreszcie wstąpić do wojska. Piotr przyglądał się nowicjuszm ojcowskim okiem: doświadczenia, które ich dopiero czekały, należały już w jego życiu do przeszłości, kłopoty z którymi walczyli, miały już dla niego posmak anachronizmu. Dokumenty, zezwalające na wjazd do Nowego Świata szeleściły w wewnętrznej kieszeni jego marynarki. Dostał je przed godziną w konsulacie wraz z uśmiechem zachęty, uściskiem dłoni i życzeniami wszystkiego najlepszego. A pół godziny temu obiecano mu w biurze podróży miejsce na okręcie, który odejdzie z Neutralii za trzy tygodnie. Urzędnik pokazał mu nawet kabinę na planie okrętu i podarował mu parę kolorowych prospektów i całą masę błyszczących nalepek na przeróżne części bagażu, wyrażając uprzejmą pewność, że Piotr bagaż taki posiada.

Dla uczczenia tego faktu Piotr zamówił podwójny

absynt. Czuł w kieszeni sztywne, szeleszczące papiery, ale ciągle jeszcze nie dowierzał swojemu szczęściu. Usiłował wywołać w sobie taki sam doskonały humor, jaki nawiedził go dziś rano pod natryskiem, ale było na to, widać, za gorąco. Trzeba — pomyślał — wstawiać własne szczęście do lodu, jeżeli się chce, żeby nie wywietrzało.

Idąc na plac spotkał najpierw Bernarda z charakterystycznym uśmiechem przylepionym do wąskich warg, a na następnym rogu naskoczył prawie na towarzysza Tomasza, kroczącego przed siebie krótkimi, równo odmierzonymi krokami w towarzystwie nudnej żony. Odwrócił jak zwykle oczy, ale Piotr zdążył przychwycić jego ironiczny uśmiech, który później dopiero przypomniał mu uśmiech Bernarda, a kobieta, mijając go, oblała się rumieńcem. Towarzysz Tomasz przypominał bardziej niż kiedykolwiek popiersie cnót rewolucyjnych, osadzone na dwóch krótkich rurach od pieca. Oba spotkania rzuciły lekki cień na pierwszy poranek Piotra.

Zastanawiał się czy wytrzyma jeszcze całe trzy tygodnie w tym mieście, dusznym od wspomnień przeszłości. Dwadzieścia jeden dni! Niekończąca się perspektywa godzin, podobnych do pustych poczekalni i cofających się przed nim w głąb tunelu. Ale u wylotu tunelu widać maleńki, świetlny punkcik: będzie rósł z każdą mijającą godziną. Radosne, poranne oczekiwanie powróciło na skrzydłach nerwowego zniecierpliwienia.

Kiedy wypróżnił szklankę i zaczął rozglądać się za kelnerem, aby zamówić jeszcze coś do picia, wzrok jego przykuła nagle jakaś dziwna postać, siedząca przy jednym ze stolików. Nad szklanką absyntu siedział samotnie młody człowiek, mniej więcej w wieku Piotra, szczupły, dobrze ubrany i zniekształcony w niewiarygodny sposób. Sącył wolno swój napój, nieświadom najwidoczniej ukrytych

spojrzeń ludzkich, które biegły ku niemu od wszystkich stolików i odwracały się natychmiast w popłochu. A może udawał tylko, że ich nie widzi, bo oczy jego błakały się po rozslonecznionym placu z wyrazem uprzejmej drwiny. Oczy zresztą były jedyną żywą rzeczą w tej twarzy; reszta składała się z pstrokatych łatek skóry, podobnych z koloru do blizn Piotra, i z kawałków świeżego mięsa, nienaturalnie gładkiego i połyskującego. Brwi znacznie ciemniejsze od włosów wyglądały jak podmalowane na scenę, bulwiasty nos robił takie same wrażenie. Wszystko razem wyglądało jak maska, imitująca na surowo twarz ludzką. Dopiero później Piotr dowiedział się, że to pierwsze wrażenie nie było złudne, bo na większą część tej twarzy składały się istotnie skrawki, przesadzone z całego nieomal ciała. Żywa tkanka nóg, ud, ramion i skóry z czaszki pomogła w jej odtworzeniu. Tak powstała sztuczna twarz, chirurgiczna kopia dzieła Natury; a efekt nie ze wszystkim był odrażający, bo łagodził go jakiś błysk uprzejmego humoru, jakieś dalekie echo dawnego wyrazu twarzy — pogodnej pewnie i raczej ładnej. Mniej natomiast udały się chirurgowi ręce. Podobne były do pokrytych łuską szponów jakiegoś ptaka albo gada. W prawej ręce brak było dwóch palców, a pozostałe trzy, gdy unosiły szklankę do góry, zdawały się uczestniczyć w bardzo ryzykownym i niepewnym manewrze. Tym niemniej jednak, wygrzewając się na słońcu i obserwując ciekawie wszystko dookoła, dziwny młodzieniec robił wrażenie człowieka bardzo z siebie zadowolonego.

Kelner podszedł do stolika Piotra. Był to ten sam znużony platfus, który przyniósł Piotrowi śniadanie pierwszego dnia po przyjeździe do Neutralii. Powiódł wzrokiem za spojrzeniem Piotra i westchnął.

— Co za barbarzyństwo, ta ich wojna — powiedział wycierając stół mokrą ścierką. — Dwudziestoletni

chłopiec, i proszę zobaczyć co z nim zrobili.

— Kto to jest — zapytał Piotr.

— Nazywa się Andrew. Został zestrzelony jako lotnik i teraz kiedy trudno już nawet na niego patrzeć, przysłali go tutaj, do Ambasady.

Stolik obok pokiereszowanego młodzieńca zajęty był przez jakiegoś mężczyznę i młodą dziewczynę. Oboje byli tubylcami. Dziewczyna była ciemnowłosa i ładna, ale bardzo wymalowana. Bez przerwy szczebiotała i chichotała w przesadnie demonstracyjny sposób. Po drugim kieliszku wzrok młodego człowieka zwracał się ku niej coraz częściej i widać było, że z trudem odrywa się od jakiegoś punktu w jej nagiej szyi. Siedziała odwrócona do niego plecami. W pewnej chwili poczuła widać na sobie nieustanne spojrzenia, bo odwróciła się gwałtownie i w ostrym świetle słońca zobaczyła twarz, wpatrzoną w nią z odległości jednego metra. Przerwała swój szczebiot, a jej ładna, pulchna łapka zawisła nagle w powietrzu, po czym przywarła szybko do ust, jak gdyby chciała zdusić wyrywający się z nich okrzyk. Jej roześmiana twarz zastygła w bezruchu na ułamek sekundy. Wreszcie odwróciła głowę do swego towarzysza i zaczęła znowu szybko paplać, jak gdyby nic się w ogóle nie stało.

Młody człowiek skinął na kelnera i zapłacił rachunek. Narośle na jego twarzy zmieniły barwę i stały się bardziej wyraźne niż przedtem. W jego oczach zgasło teraz drwiące ożywienie i tylko maska pozostała taka sama. Wstał i próbował zebrać resztę ze stołu, ale szpony nie mogły uchwycić wszystkich monet i przesuwwały je ciągle z brzękiem po metalowym blacie. Zza wszystkich stolików spoglądały na niego oczy ludzkie, a on wiedział o tym. Oстрым szarpnięciem zgarnął miedziaki prawą ręką do lewej, którą przystawił do krawędzi stołu, jak szuflę. Parę monet spadło na podłogę. Dwóch ludzi zerwało się równocześnie aby je podnieść; ale uda-

jąc, że nie widzi tego, wyszedł z kawiarni i w chwilę później szedł już przez plac z rękami w kieszeniach, z głową wciśniętą między ramiona, udając obojętność, usiłując skryć się przed bezlitosnym żarem słońca.

Jakaś ręka spoczęła na ramieniu Piotra. Była to Sonia, z którą umówił się w kawiarni.

— Wszystko załatwione? — zapytała.

— Tak — powiedział Piotr, dotykając kieszeni z dokumentami.

— Więc czemu to żalosne spojrzenie? — zapytała.

— Głupstwo — odpowiedział Piotr z lekkim uśmiechem. — Zdaje się, że widziałem przed chwilą nową ozdobę na moją choinkę.

3.

Z niemalym trudem znosił Piotr próżnię, jaka wytworzyła się w jego życiu po wyjeździe Sonii. Mieszkanie było wynajęte na dalszych parę miesięcy, tak, że został tutaj, choć miał teraz i dokumenty i dosyć pieniędzy, aby przenieść się do hotelu. Chodził po pustych pokojach, w których każdy mebel zdawał się mówić o jego samotności.

Nigdy w życiu nie czuł się równie samotny. Żył teraz nie tylko opuszczony przez Sonię i Odette, ale i odcięty od wszystkich żywych wspomnień przeszłości. Dawni towarzysze, matka, więźniowie polityczni, Niepotrzebni Żydzi — wszyscy umarli po raz drugi, gdy Sonia prześwieciła pamięć o nich i przecięła więzy, którymi był z nimi zrośnięty: nawet królik utonął w miękkim worze puchu. Nareszcie uwolnił się od swoich długów, i walęśając się po pustych pokojach drżał aż na myśl o świeżo zdobytej wolności. Porzucił umarłych, ale nie wszedł jeszcze pomiędzy żywych. Zaczął pisać dziennik, pierwszy dziennik od dnia wstąpienia do Partii, od dnia w którym wszystko to co myślał i robił,

pograćzyć się musiało w milczeniu ludzi ściganych; ale jak dotąd napisał w nim tylko jedno zdanie: „Kiedy umarli grzebać muszą swoich umarłych, żywym pozostaje jedynie samotność”.

Te chwile zwątpienia przeplatały się z przypływami gorączkowego podniecenia na myśl o zbliżającym się wyjeździe, o pierwszej podróży przez ocean, o nowym życiu, o Odette. Nowe zajęcie, marzył, pozostawi mu dosyć czasu na pracę nad sobą wieczorami; będzie laził po bibliotekach, powróci do porzuconych przed laty studiów, dojrzałszy mając umysł spróbuje nawet pisać. Przez dwa z rzędu wieczory usiłował ostatnio pracować. Zaczął pisać opowiadanie, ale nie był pewien czy jest ono coś warte, a nie miał go przecież komu pokazać. Czy z Odette będzie można o takich sprawach pogadać? Możliwe — tymczasem jednak myśl o Odette układała się dlań w kształt obcisłego sweterka i zgiętych kolan, zwiastując sny pełne zniecierpliwienia.

Budził się z tych gorączkowych rojeń z uczuciem, że nie spełnią się nigdy. Pomimo dokumentów w kieszeni, pomimo biletu z biura podróży, przeczuwał, że całe to planowanie przyszłości nie ma nic wspólnego z rzeczywistością, że nie jemu przeznaczone będzie zasmakować na jawie tych owoców drzewa sennych marzeń. Kolysał się nerwowo w fotelu Soni, chodził po pokoju, powtarzając sobie z uporem, że cała ta depresja ma źródła jedynie fizyczne, że wszystkie te czarne myśli są tylko dalekim echem przeszłości; że jest przecież ciągle jeszcze rekonwalescentem, który musi się nauczyć chodzić, nie tylko w fizycznym słowa tego znaczeniu.

A czy to wobec tego nieprawda, że dawne jego poczucie winy znikło już zupełnie? Nie, nie — to prawda. Wywoływał z pamięci swych umarłych nie czując do nich ani cienia sympatii. Miał mózg wyczyszczony aż do najdrobniejszych, najbardziej ukrytych pofałdowań. Dezynfekcja Soni nie była powierzchowna. Ale dla czego

go wobec tego przeszłość wygląda tak nierealnie?

Czy była może jakaś wada w metodzie Soni, czy to możliwe aby zawiodła jej niezwykła subtelność? Złośliwa narośl została usunięta — ale blizny okazały się głębsze, niż wolno było przypuszczać. Obiecała przecież odnowić w nim apetyt do życia, a tymczasem męczyło go dojmujące łakomstwo, pomieszane z uczuciem ciężkiego przesytu. A teraz sobie poszła. I nie było już nikogo, kto mógłby mu coś doradzić, kto mógłby mu wyjaśnić to wszystko, co się z nim działo.

4.

Pewnego popołudnia, mniej więcej w tydzień po wyjeździe Soni, samotne rozmyślenia Piotra przerwał dzwonek u drzwi wejściowych — rzecz, która zdarzała się niezbyt często od chwili, gdy Piotr pozostał sam w mieszkaniu. Otworzył drzwi i stanął oko w oko z Bernardem. Spotykali się często na ulicy, ale nigdy ze sobą nie rozmawiali: Piotr wiedział, że Bernard był kiedyś pacjentem Soni i że w jakimś nieokreślonym charakterze pracował w poselstwie nieprzyjacielskim.

— Czy można? Nie będę strzelał — powiedział Bernard z lekkim, nerwowym uśmiechem. Nie nosił kapelusza; miał szczupłą, atletyczną, nienagannie ubraną postać i był wzrostu Piorta. Przyglądali się sobie w milczeniu przez parę sekund.

— Dr Bolgar wyjechała przed tygodniem — powiedział Piotr.

— Wiem. Pożyczyłem jej parę książek i myślę, że zostawiła je przed wyjazdem.

Piotr przypominał sobie, że Sonia rzeczywiście zostawiła stos pożyczonych od najrozmaitszych ludzi książek, których swoim zwyczajem nie zwróciła. Wspominała natomiast przed wyjazdem, że właściciele mogą się po nie któregoś dnia zgłosić.

— Niech pan wejdzie i rozejrzy się — powiedział Piotr.

Weszli do stołowego i Bernard przedstawił się oficjalnie, skłoniwszy się przy tym ironicznie:

— Miałem zaszczyt obserwować w towarzystwie dr Bolgar pana pierwszy posiłek w tym kraju. Jeśli mnie pamięć nie myli nosił pan wówczas chorągiewkę w butonierce.

Sześć tygodni temu Piotr wybuchnąłby gwałtownie. Teraz powiedział sucho:

— Nie myli pana istotnie pamięć.

Nie odczuwał ani nienawiści ani wstydu — raczej nieodpartą ciekawość porozmawiania z człowiekiem z tamtej strony barykady. W czasie ostatnich swoich samotnych rozmyślań doszedł do wniosku, że praktycznie biorąc, nie wie właściwie nic o życiu Tamtej Strony. Książki, broszury, przemówienia — owszem; ale to wszystko nie wiele przecież mówi o wewnętrznym stylu ich życia, o smaku i zapachu ich atmosfery. Bernard przerzucał książki, a Piotr przyglądał mu się jak istocie z innej planety. Wreszcie Bernard znalazł swoje książki — dwa tomy współczesnych poetów francuskich — i odwrócił się.

— Jakże się miewa ta urocza, młoda niewiasta, z którą pana niekiedy widywałem? — zapytał, oparłszy się o półkę.

— Odette? Pojechała do Ameryki.

— A pan pojedzie za nią?

— Za dwa tygodnie.

Nastało milczenie, Bernard przyglądał mu się z zaciekawieniem.

— Człowieku — powiedział nagle, zatapiając nerwowym ruchem rękę w czuprynie — ma pan diabelne szczęście, wyrywając się z tego wszystkiego.

— Wyrywając się? — powtórzył Piotr. — Tak, i

mnie się tak zdaje. Ale jeżeli uważa pan to za szczęście, to czemu i pan nie pójdzie w moje ślady?

— Może dlatego, że nie osiągnąłem jeszcze pańskiego stanu stoickiej rezygnacji — powiedział Bernard z uśmiechem. — Ale mówiąc serio, istnieje po prostu między nami duża różnica. Pan starał się iść przeciwko własnej klasie i własnym tradycjom, podczas gdy ja jestem z nimi w doskonałej zgodzie. To też moje postępowanie nie wymaga jakiejś szczególnej motywacji psychologicznej, pańskie natomiast wymagało.

— Co za bzdura — powiedział Piotr — tradycje naszego ruchu są znacznie starsze niż waszego.

— Zgoda. Ale nie są to tradycje pańskiej klasy i pańskiego wychowania.

— No i co z tego? Takie idee jak Sprawiedliwość i Równość determinują postępowanie ludzkie w tym samym stopniu co klasa i wychowanie.

— Może tak — powiedział Bernard — a może nie. W każdym razie, czy pańska linia postępowania ukształtowana została przez te abstrakcje, czy też przez osobiste raczej motywy, o których mogłaby coś powiedzieć dr Bolgar?

— Mój przypadek nie dowodzi niczego — powiedział Piotr, rumieniając się lekko.

— Zgoda, pozostawmy go na boku — powiedział Bernard, uśmiechając się pojednawczo. — Ale wie pan, ten pański przypadek jest niesłychanie typowy dla większości tak zwanej rewolucyjnej inteligencji — to znaczy dla tych jej okazów, które uchowały się jeszcze w dzisiejszej Europie.

— Chciał pan powiedzieć: których nie zdążyliśmy jeszcze wymordować?

— Właśnie — których nie zdążyliśmy jeszcze wymordować. Ale zanim do tego doszło, miałem możliwość przyglądać im się z racji zawodowych, że tak powiem, czynności...

Przerwał, nie precyzując bliżej charakteru tych swoich zawodowych czynności, ale Piotr nie miał wątpliwości, że Bernard był agentem-prowokatorem albo donosicielem. Stał oparty plecami o półkę z książkami i przyglądał się zimnym, ciekawym wzrokiem Piotrowi, który usiadł w fotelu Soni.

— W każdym razie — ciągnął Bernard — mogę pana zapewnić, że miałem sporo okazji do obserwacji. Pierwszą rzeczą która mnie uderzyła była straszliwa jałowość waszych dziewcząt. Znałem oczywiście i wyjątki, ale w sumie element kobiecy na waszych zebraniach i odczytach partyjnych, w waszych grupach dyskusyjnych, robił wrażenie kolekcji neurotycznych kopciuszków, dążących do zburzenia społeczeństwa, w którym nikt nie chce ich zaprosić do tańca. Z mężczyznami było prawie tak samo. A może nie powinienem mówić o „mężczyznach”, skoro przeważającym typem w waszej masie był typ wiecznego wyrostka. Gdyby pan ich poznał bliżej, odkryłby pan na pewno w każdym jakiś defekt który sprawiał, że żaden z tych smarkaczy nie stał się nigdy człowiekiem naprawdę dorosłym. Byli zdolni, przyznaję, znacznie zdolniejsi od naszych, ale w jakiś zawili, kaleki sposób. Co za procesja ludzi z urazami, drogi panie. Bojaźliwi fanatycy gwałtu, wstydliwi libertyni, niezręczni Dantonowie. Dialektycy, broniący prostej sprawy proletariatu rozcinaniem włosów na czworo, pokutujący Edypci, młodsi, zazdrośni bracia w poszukiwaniu abstrakcyjnego braterstwa; zmaskulinizowane stare panny, którym nigdy nie oświadczyła się Władza. I tylu, innych, którzy podcinają drzewo, nie mogąc osiągnąć jego owoców.

— Bzdura — powiedział Piotr. — Najwspanialsii ludzie wśród nas rezygnowali z własnej woli ze wspinięcia się na to drzewo.

— Zgoda. Ale coś przecież kazało tym wspaniałym i zdolnym ludziom wylamać się ze społeczeństwa i stać

się buntownikami. Nie było to uczucie upośledzenia od kołyski jakie z natury rzeczy ciąży na karierach, powiedzmy, synów górników. O nie, to pierwotne i silne uczucie było im obce — tu mnie już pan nie przeliczytuje. Wiemy, że charakter człowieka kształtuje się według praw dziedziczności i otoczenia w ciągu pierwszych dziesięciu, a nawet jak twierdzi współczesna psychologia, w ciągu pierwszych pięciu lat życia. A o synach górników i o teoriach społecznych dowiaduje się on najwcześniej w wieku lat piętnastu. Tak więc nie teorie kształtują charakter buntownika, ale jego charakter sprzyja skłonności do buntowniczych teorii. Z czego znowu wynika, że cała ta sprawa należy do psychologii, a nie do socjologii — quod erat demonstrandum.

— Czyżby pan naprawdę chciał powiedzieć, — przerwał Piotr — że cały postęp ludzkości od Grakchów do Rewolucji Francuskiej był dziełem neurotyków i zawiedzionych karierowiczów?

Zaczął się rozgrzewać dyskusją i jednocześnie rosło w nim obrzydzenie do Bernarda. Obrzydzeniem napelniał go nie tyle fakt, że Bernard był donosicielem, że spowodował na pewno śmierć wielu jego, Piotra, towarzyszy, ile rasowość tej twarzy, ostry, prowokacyjny uśmiech, a nade wszystko zimna logika jego argumentów — sposób intelektualnego podejścia, który upodabniał go w nieprzyjemny sposób do dawnych przyjaciół Piotra.

— Rewolucja Francuska — ciągnął bez najmniejszych oznak zmieszania Bernard — była rewolucją Trzeciego Stanu, a Danton, Robespierre i Marat należeli przecież do Trzeciego Stanu. Działali więc w interesie własnej klasy. Natomiast członkowie dzisiejszej inteligencji rewolucyjnej popełniać muszą przed wstąpieniem do waszego ruchu klasowe hara-kiri. Oczywiście zupełnie inaczej rzecz się ma z synami górników. Robotnicy są w ruchu rewolucyjnym awangardą swojej

własnej klasy. Wy jesteście w nim samobójczymi hufcami innej klasy. Jak gdyby dla kontrastu z waszymi przeintelektualizowanymi kopciuszkami, maszerują w waszych pochodach ładne, młode robotnice obok zdrowych i tęgich parobczaków — zupełnie tak samo jak u nas. I oni to pierwsi przeszli do nas. I oni to zawsze nie mieli za grosz zaufania do was. Bo przeczuwali instyktownie coś dziwnego i nienaturalnego w tym, że wy pragniecie „dołączyć do proletariatu”, podczas gdy oni wszyscy pragnęliby się zeń wydobyć. Wyście szukali w barykadach ujęcia dla hysterii, oni środków do osiągnięcia swoich celów. Stąd się wziął sentymentalny kult robotników w waszych kołach — uwielbialiście i zazdrościliście tym młodym dziewczętom i chłopcom z fabryk, bo oni działali ze zdrowych, naturalnych pobudek, podczas gdy wy walczyliście zawsze pełni wewnętrznych hamulców. Niezależnie od motywów osobistych, byliście nieszczęsnymi Koriolanami walki klas.

— A co pan powie o Lafayette i innych arystokratach francuskich, którzy stanęli po stronie Rewolucji?

— Powiedziałem już: wyjątki potwierdzają regułę. Macie paru sławnych uczonych, pisarzy i Bóg wie kogo jeszcze w tej waszej stajni pokazowej. Niektórzy z nich nie wiedzą wogóle o co naprawdę chodzi i zasiadają w prezydjalnych fotelach na waszych mityngach, traktując je jak kiermasze dobroczynne. Innych znudziło trochę przesiadywanie na wysokiej grzędzie i sądzą, że dla urozmaicenia warto by się pobawić trochę w psotnych rebeliantów. Ale to są wyjątki. Niech mi pan wierzy, mój przyjacielu, gdyby dążenie do Sprawiedliwości i Wolności było pierwotnym instynktem rasy ludzkiej, gdyby popędy etyczne były równie naturalne jak popędy seksualne, wówczas wy lewicowa inteligencja, nie bylibyście tym czym jesteście — bylibyście nowymi Prometeuszami, kradnącymi ogień z ołtarzy bogów, a nie bandą neurotyków, intrygujących i żrą-

cych się nawzajem pomiędzy jedną klęską a drugą. Jedynie zdrowymi wśród was ludźmi są ci, którzy wyszli z biedoty — ale i oni na ogół cenią sobie raczej fotele ministerialne lub wygodne biurka urzędników państwowych rewolucji. W każdym razie i oni należą już do przeszłości, i oni — ta spróchniała gałąź rasy. Wystarczyło nam potrząsnąć nią trochę, aby szybciej odpadła...

Nastąpiło milczenie. Bernard stał ciągle obok półki bibliotecznej, z rękami splecionymi do tyłu. Kiedy mówił wspinał się odruchowo na palce, głowę opierał o książkę i spoglądał na Piotra zimnymi, szarymi oczyma. Piotrowi przyszło na myśl, że wyraz tych oczu był na pewno taki sam, gdy Bernard przeszywał w milczeniu dziewczynę za kratkami, lub badał więźnia w celi.

Po chwili Piotr powiedział:

— ...A w przeciwieństwie do nas, biednych neurotyków wy jesteście ludźmi zdrowymi, prawdziwymi nosicielami pochodni...

— Jakby pan zgadł — odparł grzecznie Bernard. — Dla narodu skrzywdzonego wojna jest rzeczą równie naturalną jak barykady dla biednych. My nie musieliśmy się odwoływać do abstrakcji etycznych i innych pojęć umownych. Jesteśmy proletariatem Europy — jedyną wielką rasą na świecie, która w dwudziestym wieku nie osiągnęła jeszcze jedności terytorialnej, która pozbawiona została kolonii, wojska, floty i szacunku dla samej siebie. Jeżeli chce się pan dowiedzieć czyja to wina, to musi pan się cofnąć do Wojny Trzydziestoletniej, która kosztowała nas półtora wieku, straconego w kapitalistycznym wyścigu zbudowania Imperium, pozbawiła nas kulturalnych dobrodziejstw Renesansu i materialnych korzyści ekspansji kolonialnej. Kiedy Napoleon podbił Europę, my nie wiedzieliśmy nawet, że jesteśmy narodem, nie wiedzieliśmy co to słowo oznacza. Ale wystartowawszy za późno w tym wyścigu o

panowanie nad światem, przybiegliśmy za to do mety, pełni świeżych jeszcze sił. Oto jest sekret naszej rzekomej agresywności. Ich żywotność szczepowa jest na wyczerpaniu, nasza wzbiera z dnia na dzień. Wystarczy nacisnąć guzik, aby wybuchła na cały świat. Ich wielkie bitwy należą już do historii — nasze Valmy i Trafalgary muszą być dopiero rozegrane.

Zapalił papierosa i Piotr przyglądał się precyzyjnym ruchom jego nerwowych palców. Dziwnie brzmiały te wszystkie brednie o „żywotności szczepowej” w ustach człowieka, którego wygląd i sposób mówienia przesiąknięte były do głębi jakąś nerwową dokładnością. Rozpędzony automobilista, śniący o przejeździe Walkirii.

— Pańskie powoływanie się na Valmy — powiedział Piotr — wygląda raczej na bluźnierstwo. W tej bitwie szło o Prawa Człowieka — i toczyła się ona pod trójkolorowym sztandarem, a nie pod wezwaniem waszych totemów...

— Spodziewałem się tego — powiedział Bernard z uśmiechem. — Człowieku, czy pan nie potrafi się wychylić poza czubek własnego nosa? Czy pan nie rozumie, że to co my robimy, jest najprawdziwszą rewolucją, bardziej międzynarodową w skutkach niż zburzenie Bastylii, lub szturmowanie Pałacu Zimowego w Petersburgu? Pan zdaje się nie zauważyć, że każda nowa, kosmopolityczna idea w Historii musi być najpierw zasymilowana przez jakiś określony naród, musi się stać monopolem narodowym, musi być najpierw sformułowana w terminach nacjonalistycznych, zanim rozpocznie swoją ekspansję uniwersalistyczną. Prawo Cywilne rozniosły po świecie Legiony Rzymskie. Zanim Chrześcijaństwo podbiło Europę, musiało się ucieleśnić w Świętym Imperium Rzymskim. Pierwszą rzeczą, jakiej Rewolucja Francuska uczyła swych obywateli był patriotyzm. Nawet Rosjanie zrozumieli już tę prostą prawdę. Wszystkie idee, które kształtowały świat na skalę mię-

dzynarodową rozpoczynały swoje dzieło od budzenia wyobraźni i symboliki szczepowej. Wilczyca Rzymska, Ojciec Święty, Matka Parlamentów, Ojczyzna Proletariatu. Idee, które nie stają się od pierwszej chwili swego istnienia własnością jakiegoś narodu albo rasy, pozostają na zawsze bezpłodnymi utopiami. Stąd upadek potężnego ruchu Mas Pracujących; Druga Międzynarodówka zjełczała bo nie miała ojczyzny; Trzecia Międzynarodówka znalazła ją i stała się natychmiast jej narzędziem. Aby uzyskać powszechne uznanie, musi każda idea zmobilizować ukryte siły plemienne swojej chrzestnej rasy. Innymi słowy ruchy internacjonalistyczne mogą się rozszerzać tylko przez użycie ciągnika nacjonalizmu. Jeżeli jakaś idea chce być zdobywcza, to muszą przecież znaleźć się i zdobywcy...

— Ale wspólne interesy międzynarodowej klasy robotniczej są bardziej realne od waszych flag i totemów — przerwał Piotr.

— Spodziewałem się i tego — powiedział Bernard z uprzejmym grymasem. — Chodzi tylko o to co pan nazywa „realnym”? Jeżeli chciał pan powiedzieć, że dla waszych robotników jest rzeczą znacznie bardziej logiczną zbudować światopoglądowy, międzynarodowy front klasowy — to mogę się z panem zgodzić. Ale realność psychologii mas różni się nieco od logiki podręczników ekonomicznych. Ta prosta prawda, na której oparty został nasz ruch, a która nigdy jakoś nie zdołała dotrzeć do waszych mózgów — jest jedynym sekretem naszych nieprzerwanych zwycięstw i waszych ustawicznych klęsk...

Bernard przerwał. Kołysząc się na palcach wyglądał jak człowiek, w którym rozpędzony motor szuka niecierpliwymi obrotami jakiegoś nowego punktu zaczepienia. Sęk w tym, że w nim, w Piotrze, maszyna stanęła. Nie miał ochoty dyskutować, nie miał ochoty krzyżować szpad z przeciwnikiem — czuł tylko pełną znu-

zenia chęć przeniknięcia tajemnic tamtej strony.

— Być może ma pan rację w odniesieniu do przeszłości — powiedział w końcu, bujając się w fotelu Soni. — Nie docenialiśmy wpływu, jaki ciągle jeszcze wywierają na umysł ludzki czynniki prelogiczne, irracjonalne. Ale, choć wolniej niż wielu z nas przypuszczało, umysły prostych ludzi dojrzewają przecież stopniowo i na dalszą metę rozum zatriumfuje ostatecznie nad mitem.

— Na dalszą metę! — krzyknął Bernard. — Na dalszą metę! Czyście wy posiadli władzę nad czasem? Czy nie widzicie, że my jesteśmy szybsi, że wygraliśmy już prawie wyścig? Że to nasza rewolucja podbiła Europę i kształtować będzie oblicze świata?

— A jakaż na miłość boską — zapytał Piotr ze znużeniem — jest ta wasza rewolucja? Cóż to za uniwersalna idea kryje się za nią?

— Uf, nareszcie dobrnęliśmy gdzieś! — Bernard opadł ze stukiem na pięty. Maszyna trafiła na zaczep. — Doskonale, w pierwszym rzędzie niech pan wyrzuci na śmietnik co najmniej połowę naszych oficjalnych bzdur propagandowych. Musimy bić w bębny, żeby ludzie szli za nami: gdybyśmy im mówili prawdę, nie zrozumieliby ani słowa. Wierzmy natomiast, że równocześnie z szybkim rozwojem wiedzy i techniki ludzkość wkroczyła w okres pełnej dojrzałości, w okres radykalnych i globalnych eksperymentów, w okres przekreślenia indywidualności, jej tak zwanych praw, przywilejów i innych liberalnych ple-ple. Prawa ortodoksyjnej ekonomii, cło, waluta, granice, parlamenty, kościoły, uznane powszechnie sakramenty i instytucje, małżeństwo, dziesięcioro przykazań — wszystko to jest ple-ple. Zaczynamy od startu. Powiem panu zaraz jak...

— Proszę przymknąć oczy. Proszę sobie wyobrazić Europę aż po Ural jako pustą przestrzeń na mapie. Są tylko pola energetyczne: woda, rudy magnetyczne, po-

kłady węgla, źródła ropy naftowej, lasy, winnice, ziemi uprawne i nieużytki. Niech pan sobie te źródła energii przedstawi za pomocą niebieskich, czerwonych i żółtych linii, a otrzyma pan sieć rozdzielczą. Linie niebieskie: energia elektryczna rozciągająca się od Fiordów Norweskich do Tamy Dniepru. Linie czerwone: kontrolowany strumień surowców. Linia żółte: uregulowana wymiana fabrykatów. Niech pan otoczy punkty przecięcia kołami o różnych promieniach, a otrzyma pan centra skupienia przemysłowego. Niech pan obliczy ilość pracy ludzkiej, potrzebnej do utrzymania tej sieci w każdym dowolnym punkcie, a otrzyma pan przybliżoną gęstość zaludnienia dla każdego okręgu, prowincji i narodu. Niech pan podzieli tę cyfrę przez ilość koni mechanicznych, wyprodukowanych przez tych ludzi, a otrzyma pan wysokość należnego im standartu życiowego. Niech pan rozwali te śmieszne, kręte granice, te mury chińskie, które przecinają wzdłuż i wszerz nasze pola energetyczne. Niech pan wyrzuci na szmelc lub przeniesie ośrodki przemysłowe, które zostały lekkomyślnie zbudowane w niewłaściwych miejscach. Niech pan zlikwiduje nadwyżkę ludności w okręgach w których nie jest ona potrzebna. Niech pan przeniesie ludność pewnych okręgów, a jeśli to będzie konieczne i całych narodów, na ziemi gorzej zaludnione, albo do takich gałęzi produkcji, które wymagają robotników o pewnych określonych właściwościach rasowych. Niech pan zniszczy wszystkie konkurencyjne linie sił, które nakładają się na naszą sieć — to znaczy: wpływ kościoła i kapitału zamorskiego, wszelką filozofię i religię, etyczne i estetyczne systemy przeszłości...

— ...Włączając pewnie totemy i siły szczepowe, którymi pan tak chętnie się posługuje? — przerwał Piotr.

— Tak, naturalnie — ciągnął niezmieszany zupełnie Bernard — włączając tradycje narodowe i kulturę ludzi chwilowo ujarzmionych. Dobrowolnie nie zrezygnują

oni nigdy z przestarzałych snów o suwerenności narodowej. Jedynym sposobem zjednoczenia Europy jest jej podbicie, tak jak karłowate państewka niemieckie mogły być zjednoczone tylko przez armię pruską. Jeżeli pan się spodziewa, że tego dzieła dokonają wasi współzawodniczący ze sobą kapitaliści albo wasza międzynarodowa klasa robotnicza, to może pan jeszcze długo czekać. W międzyczasie zaś będzie pan mógł obserwować jak pańscy proletariusze zapominają co dwadzieścia lat o swojej solidarności klasowej i pchają się do wojska po to, żeby się wzajemnie zabijać. Zaczęliście rozwiązywać ten problem z niewłaściwego końca — jesteście amatorami, mój przyjacielu. Współzawodnictwo szczepowe może być usunięte tylko przez największy szczep, polykający mniejsze szczepy. Nawiasem mówiąc zgadza się to doskonale z waszą dialektyką hegeliańską. — Teza: zwycięzcy. Antyteza: zwyciężeni. Synteza: zwycięzcy i zwyciężeni, zjednoczeni jako obywatele nowej, gigantycznej ojczyzny eurazjatyckiej.

— I właśnie was wybrał Bóg, abyście zniszczyli nacjonalizm przez podbicie innych narodów?

— Jeżeli to Bóg obdarzył nas takim a nie innym położeniem geograficznym, to tak. Niech pan wróci do mapy: żyjemy w samym środku pola zbiegających się linii energetycznych, na naszym terytorium znajdzie pan najwięcej punktów przecięcia. To samo centralne położenie, które uczyniło z nas niegdyś pobojuwisko Europy, teraz obraca nas w trampolinę nowego porządku światowego. Obecne stulecie należy do nas — tak jak wiek XVI należał do Hiszpanii, XVII do Wielkiej Brytanii, a XVIII do Francji. Hiszpanie ochrzczili Amerykę, Brytyjczycy zmerkantylizowali świat, Francuzi wytworzyli kulturę i filozofię burżuazyjną: my zaś budujemy ponad-narodowy ład światowy. Może pan to uważać za arogancję, nazwa nie zmieni faktu. Idee, które unoszą się w powietrzu wybierają sobie zaw-

sze najbardziej dogodne narzędzie — są jak złośliwy duch pustyni, który według wierzeń arabskich wskazuje człowiekowi na ramię i prowadzi go hen przed siebie, aby wreszcie zupełnie wyczerpanego porzucić któregoś dnia na piaszczystym szlaku...

Przerwał. Dopiero teraz Piotr zrozumiał dlaczego ten człowiek budził w nim od początku fizyczną odrazę. Bernard należał do ludzi, którym w trakcie mówienia wilgotnieją wargi, a w kącikach ust zbiera się piana i wybucha ciągle maleńkimi bąbelkami. Pasowało to jakoś do jego uporczywego ironicznego uśmiešku i do wrażliwości jego rąk. Bez widocznego powodu Piotr przypomniał sobie opowiadanie Soni o jakimś dziwnym, nerwowo chorym pacjencie, którego leczyła przed przypadkiem Piotra. Nie wymieniła nigdy jego nazwiska. To luźne skojarzenie odpłynęło równie szybko, jak przyszło.

— No i jak będzie wyglądał ten wasz nowy ponadświatowy ład? — zapytał po chwili.

— Oh, w tej chwili jest to w mniejszym lub większym stopniu kwestia domysłów. Mówiłem panu, że eksperymentujemy. Ale eksperymentujemy na skalę, jaka się dotąd nigdy nikomu nie śniła. Zaryzykowaliśmy przedsięwzięcie olbrzymie, przedsięwzięcie gigantyczne — ponad miarę wyobraźni ludzkiej. Nie ma teraz dla człowieka rzeczy niemożliwych. Po raz pierwszy w dziejach świata zaatakowaliśmy strukturę biologiczną rasy. Zaczęliśmy hodować nowy gatunek homo sapiens. Chcemy wypłenić zeń chwasty złej dziedziczności. Praktycznie biorąc, ukończyliśmy już dzieło eksterminacji i sterylizacji cyganów w Europie. Likwidacja Żydów dobiegnie końca za rok, dwa. Jeśli o mnie chodzi, to lubię i muzykę cygańską i mądrych Żydów. Ale musimy usunąć z ludzkich chromozomów nomadyczne geny, wraz z ich aspołecznymi i anarchicznymi składnikami. Wasi zatabaczeni humaniści ze zgrozą

przyjęli do wiadomości fakt, że usypiamy na zawsze w przytułkach ludzi chorych. Nie mogą po prostu zrozumieć, że obróciliśmy cały kontynent w jedno wielkie laboratorium biologiczne. My pierwsi zrobiliśmy w rewolucji użytek ze strzykawek hypodermicznych, z lancetów i z aparatów sterylizacyjnych. Równolegle do dzieła eliminacji rozbudowujemy arystokrację rasową, opartą na zasadach systematycznej hodowli. Naszej Gwardii Elitarnej wolno się żenić tylko z kobietami, odpowiadającymi surowym przepisom eugenicznym. Krew obojga przyszłych małżonków podlega dokładnej analizie, drobiazgowej tabelaryzacji i musi być przedstawiona do zatwierdzenia specjalnemu urzędowi. Następnym krokiem, już przygotowywanym, będzie sporządzenie kartoteki całego narodu, do której wciągnięte zostaną podstawowe cechy dziedziczne każdej rodziny — coś w rodzaju Głównego Rejestru narodowej protoplazmy. Może pan się uśmiechać, mój mały przyjacielu. Ludzie uśmiechali się również, gdy słyszeli po raz pierwszy o naszej wojnie spadochronowej i psychologicznej...

Urwał, odrzucił włosy z czoła, i po raz pierwszy zabrzmiała w jego głosie nuta rozdrażnienia.

— Niech pan mówi — powiedział Piotr — ja słucham.

W głębi serca zaś pomyślał z pewną satysfakcją, że oto odkrył nareszcie słaby punkt Bernarda: nie przejmował się zupełnie wymyślaniami, ale nie mógł znieść ironicznych uśmiechów. Musiał pewnie naopowiadać Soni sporo o sobie — wszyscy ludzie, którzy ją znali, robili to samo. Piotr dałby bardzo dużo za poznanie intymnych zwierzeń Bernarda — zwierzeń o roli królików i doniczek w jego przeszłości.

— Koniec z dziedzicznością — następne z kolei co do ważności jest zagadnienie otoczenia — podjął znowu Bernard. — W ciągu ostatnich paru lat obniżyliśmy

stopniowo wiek, w którym państwo przejmuje kontrolę nad homo novus, aby go kształtować i hartować w specjalnych warunkach środowiska. W przyszłości, obniżymy go jeszcze bardziej, aż krok po kroku dojdziemy do kołyski i do łona i nadamy w ten sposób ciągłość selekcyjnej kartotece, czuwającej nad samym poczęciem. Kontrola wychowania zacznie się w punkcie, w którym kończyć się będzie kontrola eugeniczna.

— Nowy wspaniały świat? — zapytał Piotr, powstrzymując tym razem uśmiech.

— Nonsens. To była wieczna zmora zatabaczonych i zdezorientowanych humanistów. Nie potrafili zrozumieć, że absolutne opanowanie warunków musi wreszcie doprowadzić do stworzenia świadomości kolektywnej, w pełnym biologicznym tego słowa znaczeniu. Natura wypracowała świetny tego model w Afryce — w społeczeństwach białych mrówek. Każde z nich składa się z wielu milionów członków tego samego gatunku, zajmuje przestrzeń około pięćdziesięciu mil kwadratowych i funkcjonuje niesłychanie sprawnie. Wprowadziły doskonały podział pracy; wynalazły bardzo skomplikowane urządzenia techniczne, jak na przykład system ogrzewania przy pomocy fermentacji roślinnej, który utrzymuje odpowiednią temperaturę w ich piwnicach przez cały okrągły rok; ustaliły matematycznie precyzyjną politykę urodzin. I to wszystko bez biura planowania, bez drukarni, bez administracji, bez środków komunikacji. Jak to się dzieje? „Działanie instynktu” — odpowiadamy zazwyczaj. Ale instynkt tak wysoce zróżnicowany, że staje się udziałem i ogranicza się tylko do członków jednego społeczeństwa, nie jest w istocie niczym innym jak kolektywnym trustem mózgów organizmu państwowego. W podobny sposób, i oczywiście dzięki sztucznie przeprowadzonym zmianom biologicznym, jednostki w nadpaństwie staną się jedynie komórkami w organizmie wyższego rzędu — miliononogim i milionorękim kolosie cyklopicznym...

— A jak spędzać będą te wasze państwa — cyklopy czas na ziemi? — zapytał Piotr. Poczul nagle coś w rodzaju choroby morskiej, choć nie wiedział co ją spowodowało: fotel na biegunach, perspektywy które otwierał przed nim Bernard, czy też połyskująca niteczka śliny na jego wargach.

— Najprawdopodobniej — powiedział Bernard — będą musiały stoczyć szereg wojen o całkowite zaprowadzenie nad globem ziemskim. Poprzez kontynenty uchwycą się olbrzymimi łapami, ziemia zadrży w posadach od upadku ich gigantycznych cielsk, aż znowu dopełni się prawo podboju i osiągnięty zostanie ostatni stopień zcalenia. A nowozrodzone Państwo - Bóg sięgnie gwiazd...

Zupełnie nieoczekiwanie Piotr ziewnął. Nie mógł się powstrzymać — po prostu rozwarły mu się ni stąd ni zowąd szczęki. Podejrzewał, że utopijne wizje Bernarda nie są wcale takie nowe, jak sobie to zapewne Bernard wyobrażał.

— Proszę mi wybaczyć, jeśli pana nudzę — powiedział Bernard, opadłszy nagle na gumowe obcasy.

— Ależ nie — pospieszył Piotr z zapewnieniem. — Ale czy wziął pan pod uwagę możliwość nieprzewidzianych wypadków w trakcie dokonywania tego waszego eksperymentu? Na przykład pańskie ludzkie króliki mogą przecież nagle oszaleć, zachorować, albo wpadłszy we władzę Amoka rozbiec się po całej planecie...

— Niespokojny sen człowieka bojaźliwego — powiedział Bernard uśmiechając się. — Katzenjammer religijnego lęku mieszanego się do boskiego monopolu na reżyserowanie wszystkich widowisk.

Samokontrola Bernarda wróciła. Znowu pelen był ironicznej uprzejmości.

— Odbiegliśmy dość daleko od punktu wyjścia naszej rozmowy — ciągnął — ale ostatecznie powinien pan już teraz zrozumieć, że dalekosiężne wizje nie są

wylącznym przywilejem tak zwanej Lewicy. Jakże blade i nieokreślone jest wasze Społeczeństwo Bezklasowe — wytwór jałowych rojeń ekonomistów — w porównaniu z tym, do czego my dążymy! Wyrósłszy na pożywcę dziewiętnastowiecznego materializmu, nawet sny wasze rozwijały się zawsze w kategoriach ekonomii politycznej. My zaś działamy na planie rewolucji biologicznej.

— Tym niemniej — powiedział Piotr — nie pogardziliście nigdy kopiowaniem na szeroką skalę naszych metod.

— Ależ naturalnie, robiliśmy to nawet z niemalą przyjemnością — powiedział Bernard z ledwie dostrzegalnym ukłonem. — Widzi pan, my jesteśmy jak dzieci, które uczą się chętnie od starszych różnego rodzaju pożytecznych sztuczek, a jednocześnie wyśmiewają ich staromodny wygląd. Od pewnego czasu istnieje rzeczywistość pewna zbieżność pomiędzy pańską ex-ojczyzną i moją. Obie rządzone są przez autorytatywne biurokracje państwowe, oparte na bazie skolektywizowanych mas; obie są państwami policyjnymi, kierowanymi przez planowanie ekonomiczne, system monopartyjny i naukowo zorganizowany terror. Ale to jest po prostu kolejny etap rozwojowy, przez który będą musiały przejść wszystkie kraje na świecie. Może pan go nazwać jak pan chce: kapitalizmem państwowym, albo socjalizmem państwowym, ustrojem kapitanów przemysłu, albo technokracją — ba, może pan nawet dopuścić warianty w kolorze lokalnym — ale zawsze pozostanie on tylko fazą historii, równie nieuniknioną jak zdobywczy marsz feudalizmu, a później kapitalizmu. Nasze dwa kraje są po prostu zwiastunami ery poindywidualistycznej i poliberalnej.

— Czemu wobec tego, zamiast iść wspólnie na podbój starego świata, zaatakowaliście na Wschodzie?

Bernard zapalił papierosa. Po raz pierwszy w czasie

dyskusji zdawał się wahać, zdawał się zwlekać z odpowiedzią.

— To, mój przyjacielu, jest raczej delikatna sprawa — powiedział wreszcie wypuszczając dym nozdrzami. — Istnieją wśród nas ludzie, którzy sądzą, że byłoby rozsądniej skończyć najpierw scalenie Europy i zapomnieć o Azji na przeciąg jednego lub dwóch dziesięcioleci. Czy pan myśli — dodał z wymijającym uśmiechem — że odchylenia od linii generalnej zdarzają się tylko po waszej stronie?

— Czy pan chce przez to powiedzieć — zapytał Piotr, pełen rozbudzonego na nowo zainteresowania — że pan należy do opozycyjnego skrzydła w waszym ruchu?

Bernard wzruszył ramionami. — To zbyt mocno powiedziane. Ale myślę, że moje poglądy na tę sprawę są odbiciem nastawienia ideowego, panującego wśród bardziej dalekowzrocznych i obdarzonych żywszą wyobraźnią członków Partii — wśród wizjonerskiej elity naszej rewolucji.

Tym razem przyszła na Piotra kolej w uśmiechach.

— Ale pańska wizja — powiedział — różni się nieco od wypowiedzi waszych przywódców. Nie mogę zrozumieć jak Pan ją potrafi pogodzić z tym wściekłym ujadaniem na temat Wotana i totemów?

— Niech pan posłucha — przerwał Bernard. — Możemy rozmawiać szczerze? Pan się wyłamał z szeregów, bo doszedł pan do wniosku, że wasz Numer Jeden shańbił ideę waszej rewolucji. Tak czy nie?

— Mniej więcej.

— Ale pozostało panu przekonanie, że sama idea jest słuszna. Doskonale — otóż i ja mógłbym postąpić tak samo. Mógłbym się nazwać trockistą naszej rewolucji. Mógłbym nawet wymienić cały szereg podobieństw pomiędzy waszym Nr. 1 i naszym Nr. 1. Obaj pochodzą z odległych peryferii swoich krajów — jeden

z Gruzji, a drugi z Górnej Austrii. I obaj wykazują gorliwy neofityzm wobec ojczyzny, do której nigdy naprawdę nie należeli, i której językiem mówią z obrzydliwym akcentem. Obaj nawet zmienili z cudzoziemska brzmiące nazwiska — zupełnie tak samo jak Korsykańin Buonaparte wyrzucił ze swego nazwiska „u”, aby ukryć włoskie pochodzenie. Ale obaj przecież pozostali prowincjałami z matecznika, ożywionymi dodatkowo podniecią przelicytowania w patriotyzmie, zwykłych tuziemców, uzurpatorami opanowanymi dziką podejrzliwością. No i co, wyłamać się z szeregów, bo splugawili abstrakcyjną czystość idei? Nie, drogi panie. My nie jesteśmy tak romantyczni i cikliwi. My wiemy, że nie ma rewolucji bez bizantyjskich esów-floresów. Niech pan sobie przypomni innego prowincjonalnego narwańca Robespiera, który usiłował założyć nową religię i kazał ludowi Paryża ubóstwiać na Polu Marsowym nagą aktorkę jako Boginię Rozumu. No i co? Ekscentryczny kult Robespiera poszedł w zapomnienie, a Prawa Człowieka dotrwały do dzisiaj. Prawdziwy sens rewolucji ujawnia się dopiero po pięćdziesięciu latach. To tak jak z procesem destylacji: para się ulatnia, a esencja odwaru powoli osiada na dnie.

— Wie pan — powiedział Piotr po chwili — pan sobie to całe zagadnienie bardzo upraszcza. Pan odrzuca wszystkie niedomagania ruchu jako zwykłe esy-floresy, aby móc uwierzyć, że jedynie pańska interpretacja stanowi jego prawdziwą substancję. Ale skąd pan wie jak jest naprawdę? A co będzie, jeśli para rozsądzi rertotę?

— Rzecz prosta i taka możliwość musi być teoretycznie brana pod uwagę. Trzeba ryzykować.

— No na przykład co będzie, jeśli przegracie tę wojnę?

— Taka hipoteza — uśmiechnął się Bernard — jest raczej naciągnięta. Ale przypuśćmy nawet, że zostanie-

my pobici — rezultat na dalszą metę będzie ten sam. Nasi zwycięzcy raz jeszcze spróbują zlepić odłamki swojej stłuczonej mozaiki i napelnią Europę przestarzałymi, zeszlowiecznymi koncepcjami Narodowej Suwerenności, Równowagi Sił, Cel Ochronnych i Bóg wie czego jeszcze. Ich zwycięstwo będzie po prostu oznaczało dziewiętnastowieczne post-scriptum do pierwszej połowy dwudziestego wieku. Ale nie potrwa ono dłużej niż parę dziesiątków lat. Skorupa ziemską się skurczy, ich mozaika zadrży i popęka, a wewnątrz ich własnych krajów siły, które puściliśmy w ruch, rewolucyjne siły ery poliberalnej, dojdą znowu do głosu. Na dobrą sprawę ten proces już się zaczął. Nawet jeśli przegramy tę wojnę, nikt już nie powstrzyma zwycięskiego pochodu naszej idei. Zachód nie ma wizji przyszłości, którą mógłby nam przeciwstawić, jego hasła trącą już myszką — sentymentalną hipokryzją i płytkimi banałami. Jedyną rzeczą jaką Zachód może jeszcze zrobić, to przeprowadzić akcję opóźniającą w stosunku do Historii — pod spłowiętymi i poszarpanymi sztandarami przeszłości. I jeszcze...

Urwał. Ale Piotr wiedział co teraz nastąpi: i jeszcze może zwyciężyć.

Pokój pograżył się w ciemnościach. Dyskutowali parę godzin i półmrok oblókł twarz Bernarda zmęczeniem i przygnębieniem. Ten typ twarzy — pomyślał Piotr — wygląda najlepiej w pełnym i surowym świetle dziennym, a gaśnie w cieniu. Co ona przypomina w ciemnościach? Była to twarz, która nie miała wewnętrznych rezerw przeciwko nocy.

Nagle wróciło doń znowu wspomnienie pacjenta Soni. Opowiadała mu o młodym człowieku, którego nocą nawiedzały ataki lęku przed śmiercią. Nie było to tchórzostwo — dawał zawsze dowody odwagi, a nawet zuchwalstwa w obliczu niebezpieczeństwa fizycznego — ale coś w rodzaju strachu przed próżnią. W

dzień był aktywny, czujny, zrównoważony; ale w nocy szarpał zębami koldrę i pełen głuchej rozpacz trząsł się cały na myśl o śmierci, która jest nieunikniona. Gdy tylko Piotr zobaczył w półmroku pomarszczoną i obwisłą twarz Bernarda, nie miał już najmniejszych wątpliwości, że to on był owym pacjentem Soni.

Bernard wyprostował się i spojrzał na zegarek.

— No dość już, muszę skończyć na dzisiaj moje nawrócenia pana — powiedział z wymuszonym uśmiechem. Zgarnął książki i ruszył ku drzwiom. Nie podali sobie rąk. Ale Bernard odwrócił się jeszcze w otwartych drzwiach i dorzucił:

— Byłem z panem bardzo szczery. Pan nie należy do ludzi, którzy się wycofują dla przyjemności uprawiania własnego ogródka. Potrzeba nam ludzi do pracy tam, dokąd pan jedzie. To bardzo proste w porównaniu z tym, co pan dotychczas robił. I bardzo emocjonujące. Niech pan o tym pomyśli.

I wyszedł, nie zostawiwszy nawet Piotrowi czasu na odpowiedź.

5.

Za tydzień — odjazd.

Przyszedł list od Odette. Koperta była tej samej wielkości i tego samego blado-niebieskiego koloru jak ta, którą znalazł obok szklanki do mycia zębów w jej pustym pokoju.

Przez chwilę radował wzrok jasnymi markami i długimi kańciastymi literami Odette — sztywną procesją, kroczącą na szczudłach kresek poprzez jego nazwisko i adres. Potem otworzył kopertę. List był przyjazny i niewiążący. Napisany przed otrzymaniem wiadomości o jego bliskim przyjeździe, starał się wyraźnie nie wpływać na jego decyzję. W rezultacie brzmiał raczej ozięble; a jednak z niewytłumaczonych powodów

jego rozczarowanie zmieszane było z uczuciem ulgi, którego nie potrafił sobie wytłumaczyć. Ale ostatnio zaszły w nim inne jeszcze zmiany, których również nie był w stanie sobie wytłumaczyć.

W ciągu ostatnich paru dni rzadko wychodził z domu. Większość czasu spędzał na wędrówkach po opustoszałych pokojach, na lekturze i rozmyślaniach. W czasie pierwszego tygodnia po wyjeździe Soni upijał się co wieczór, ale katzenjammer pogrążał go w taką depresję, że rychło zarzucił i tę przyjemność. Potem trzy razy pod rząd poszedł do kina; ale dodatki wojenne wtrącały go w stan nieokreślonego podniecenia i przyparły go o tak gwałtowne bicie serca, że przeraził się prawie możliwości nawrotu choroby.

Poza tym, wydawało mu się, że nie może wyjść z domu, aby się nie natknąć na towarzysza Tomasza z żoną, albo na tego pocharatanego młodzieńca, którego obserwował kiedyś w kawiarni. Gdy ich dostrzegał z daleka wpadał w popłoch i zastanawiał się czy przejść na drugą stronę ulicy; zawsze jednak opuszczała go w ostatniej chwili odwaga, więc mijał ich tylko szybko wiedząc doskonale, że nie mogą nie zauważyć jego rozwścieczonej miny. Raz nawet młody pilot rzucił mu w tłumie lekko zdziwione spojrzenie. Piotrowi zdawało się, że pod jego niezaschłymi jeszcze i zaczerwienionymi powiekami błysnął na chwilę przezroczysty znak zapytania.

Próbował rano chodzić na spacer do parku, gdzie pierwszy jesienny deszcz zmył kurz z palm i wzbił w powietrze zapach tropikalnych kwiatów. Przychodziły tu głównie guwernantki z całego miasta, pulchne przysadziste kobiety, wykrzykujące coś piskliwymi głosami do dzieci; gdy je mijał czytał w ich oczach zawsze to samo pytanie. Często wydawało mu się, że słyszy jak szepczą i chichoczą za jego plecami. A pewnego dnia, gdy siedząc na ławce usiłował na próżno sku-

pić myśli nad książką, usiadła obok niego jakaś młoda guwernantka. Była szczupła i ładna, spróbował więc nawiązać z nią rozmowę, aby rozbić wreszcie szklaną klatkę swojej samotności. Uśmiechała się, ale nie rozumiała ani słowa. Wreszcie, chcąc go widocznie wybawić z zakłopotania, wskazała palcem na morze, w kierunku, w którym jak zapewne sądziła znajduje się jego ojczyzna, i z twarzą rozjaśnioną sympatią uczyniła ruch, przypominający pociągnięcie za cyngiel.

Po tym wypadku zaczął omijać również i park, wychodził z domu tylko po zakupy, i gotował sobie sam w dużej kuchni Soni.

Zaczęły go znowu nawiedzać sny. Przez dwie noce męczył go jeden i ten sam, wyjątkowo przykry sen: był na powrót małym chłopcem i na wiosnę uciekł ze szkoły. Chodził po świeżych, falujących łąkach, pokrytych szkarłatnymi makami, których tyle jest w jego kraju. Schylił się aby urwać jeden, ale z maku opadły natychmiast wszystkie płatki, a ogołocona szypułka napełniła go złością i smutkiem. Przez cały zaś czas nie dawała mu spokoju myśl o pustym miejscu w szkolnej ławie.

Wmówił sobie, że zapada znowu na neurozę i prowadził długie, imaginacyjne dialogi z Sonią.

— Głuptasie — mówiła Sonia — nie dość ci było tego wszystkiego?

— Kiedy oni patrzą na mnie, widzę znaki zapytania w ich oczach — żalił się.

— Znowu dostałeś manii prześladowczej?

— Być może. Dlaczego mnie opuściłaś?

— Bo byłeś już wyleczony.

— Gdybym był wyleczony, to szkarłatne maki nie wiodłyby w moich rękach.

— Nie nauczyłeś się jeszcze radości życia. Zmiana miejsca doskonale ci robi.

— A może Odette mnie już nie kocha?

— Kocha cię, wiesz o tym dobrze.

— A może ja jej nie kocham. Może wyleczyłaś mnie także z miłości do Odette...

Nagle głos Soni zniknął, pogrążając go w jeszcze większej samotności. Wracał więc do przerwanej wędrówki po pustych pokojach, a po chwili zaczął dialog od nowa:

— Dlaczego oni na mnie tak patrzą?

— Nikt na ciebie nie patrzy. To wytwór twojej wyobraźni.

— Dopytują się ciągle: co on robi? dlaczego nie idzie tam gdzie należy?

— Ale ty do nikogo i do niczego nie należysz, głuptasie.

— Jak można żyć nigdzie nie należąc?

— Należysz do samego siebie. Zrobiłam ci z ciebie podarek.

— Nieprawda. Wyskoczyłaś z tym podarkiem nie w porę.

— Więc czego chcesz?

— Nie wstydzisz się samego siebie.

— Czego się wstydzisz?

— Moich spacerów po parku, gdy inni toną, lub spalają się żywcem; tego, że należę do samego siebie, gdy inni należą do kogoś, lub do czegoś.

— Wierzysz więc ciągle w ich wielkie słowa i małe chorągiewki?

— Nie.

— Nie cieszysz się, że ci otworzyłam oczy?

— Cieszę się.

— Czym była twoja wiara?

— Iluzją.

— A twoje poszukiwania braterstwa?

— Wypatrywaniem kwiatów paproci.

— Twoja odwaga?

— Próżnością.

— Lojalność?

— Pokutą.

— Czemu więc znowu zaczynasz?

— Otóż to, czemu? To ty właśnie powinnaś mi to wyjaśnić.

Jakże jednak mogła Sonia wyjaśnić mu sprawę, która działa się poza zasięgiem jej rozumowania, a może w ogóle poza zasięgiem ludzkiego rozumowania? Opadał więc znowu na fotel i kołysząc się lekko na biegunach, rzucał niedopalonego papierosa w puste palenisko, zaśmiecone niedopałkami, które przypominały kości bielejące w katakumbach; po chwili zaś podejmował znowu swój milczący dialog.

— Słuchaj Sonia, zanim spotkałem ciebie, byłem głupi. A jednak byłem szczęśliwszy w ową noc, gdy wypelzłem na brzeg zatoki.

— W noc, kiedy znalazłeś tę chorągiewkę?

— Idąc ulicą miałem wrażenie, że moje blizny są odsłonięte. To jest wstrętne.

— A jednak nie mogłeś znaleźć ani jednej odpowiedzi na argumenty Bernarda.

— Och, miałem ich mnóstwo, ale on by i tak nie zrozumiał.

— Czemu? Jest logiczniejszy od ciebie.

— Właśnie dlatego. Moje odpowiedzi nie były logiczne.

— A jakie?

— Przypuszczam, że Bernard nazwałby je ple-ple.

— Stajesz się mistykiem, Piotr?

— A jeśli tak, no to co?

— Rośnie nowa choinka?

— Przeklnij wiatr, który nawiewa nasienie.

— Nie mam zamiaru kląć. Chcę tylko, żebyś pamiętał o rozumie.

— Gdybym o nim pamiętał, mógłbym z powodzeniem przyjąć propozycję Bernarda.

— A czemużby nie? Przynajmniej raz w życiu byłbyś po stronie zwycięzców.

— Otóż to, czemużby nie? A potem gdyby mnie ktoś zechciał napiętnować, dotknęłabyś mnie natychmiast swoją różdżką czarodziejską, wyciągnęłabyś wszystkie króliki i doniczki, aby zaświadczyły o mojej niewinności; dowodziłbyś, że wszystko można wyjaśnić przyczyną i skutkiem; a skoro już coś może być wyjaśnione, to musi być również i przebaczone...

Przestał się kołysać: nie, ta ostatnia riposta Soni była fałszywa. Sonia nie pochwaliliby nigdy jego zgody na propozycję Bernarda. Ale z jakiego źródła czerpałaby swoją dezaprobatę? Była potężnym wyrwidębem — to prawda; ale czy ze swojego ogrodu nie wyrwała również drzewa wiadomości dobrego i złego? Czy nie pragnęła przypadkiem cofnąć się do czasów sprzed pierwszego upadku, gdy mężczyzna i kobieta nie wstydzili się własnej nagości?

Złapałem cię, Sonia — myślał z rosnącym podnieceniem — złapałem cię znowu. Cokolwiek mówisz, jakkolwiek piszesz — i ty też zjadłaś owoc z owego przeklętego drzewa. Błogosławiony niech będzie upadek, błogosławione niech będzie drzewo. I błogosławiona niech będzie gleba, która przyjęła jego nasienie.

6.

Następnego ranka jednak — piątego dnia przed wyjazdem — humor mu się zmienił. Wyjął z szuflady list Odette i przeczytał go na nowo. List zabrzmiał nagle nutą powściąganej czułości i pożądania. Rozłożył kartkę papieru i kopertę na stole i otoczył je kolorowymi nalepkami, które mu podarowano w biurze podróży. Na każdej nalepce sterczał dymiący komin, a na tle błękitnego nieba unosił się biały albatros. Wyciągnął dokumenty z czarnymi i czerwonymi stemplami i rozłożył

je również symetrycznie na stole. Całość wyglądała teraz jak mała gablotka muzealna. Oparł się o ścianę i rozważał efekt; cieszył wzrok obietnicą ogromnego szczęścia, które się nigdy nie spełni.

Czemu miałoby się nigdy nie spełnić? Kto zamierza mu stanąć na przeszkodzie? Jeszcze pięć dni, jeszcze sto dwadzieścia godzin — zaczął teraz odmierzać czas godzinami — a znajdzie się na pokładzie „Lewiatana”, wolny od niebezpieczeństw, które się w nim czaiły. Boże, modlił się oparty o ścianę, zawieź mnie bezpiecznie na pokład tego okrętu. Ustrzeż mnie od obłądu, który się zawziął, aby mnie zniszczyć. Uchroń mnie od drugiego upadku, pozwól mi nigdy więcej nie zakosztować gorzkiego smaku zakazanych owoców — smaku wiadomości dobrego i złego, która pcha ludzi w objęcia poświęcenia i samozniszczenia.

Zachwiał się od lekkiego zawrotu głowy. Nie mógł oderwać oczu od niebieskiej koperty Odette. Pochód liter na szczudłach zdawał się zbliżać ku niemu jak żywy, obrzucać go smutnym, prowokacyjnym uśmiechem i szeptać: „Ostatecznie, czemu nie?”. Tracę głowę — pomyślał. Oto modliłem się teraz zupełnie na serio, i chyba częściowo tylko na niby. I co za przewrotna modlitwa, jaki złośliwy tekst. Czyż Bóg nie zagroził śmiercią człowiekowi, który posiadzie wiedzę dobrego i złego? Dziwny sposób zachęcania do posłuszeństwa wobec praw etycznych. Wąż, obrońca porządku moralnego, jedyny spośród wszystkich zwierząt skazany został na czołganie się na brzuchu i na karmienie się pyłem dróg. Adam zaś gdy tylko zjadł jabłko, ukrył się wśród drzew, i zaczął się zachowywać w sposób wyraźnie neurotyczny. Potwierdzałoby to tezę Bernarda, że głód Sprawiedliwości jest oznaką neurozy, a pogoń za wartościami moralnymi łączy się zawsze z jakąś chorobliwą zgryzotą. W każdym razie obie te sprawy zdaje się wiązać ogniwo losu. Jeżeli przyjmujesz jedną, to godzisz się właściwie na obie. Ci, którzy odpowiadają na wołanie, dźwignąć

muszą brzemień wielu utrapień. Uwolnij ich od tego brzemienia, a ogłuchną natychmiast. Wyleczywszy się z obsesji królików, zapomnisz natychmiast o Jeruzalem: Nie wolno ci oczekiwać, że zdrowe motywy zaprowadzą cię do chorobliwego aktu samopoświęcenia. Szczęście ludzkości oparte jest na tych, którzy płacą urojone długi. Wyrwij korzenie ich winy, a pozostaną już tylko piaszczyste wydmy pustyni.

W myślach jego zapanował nieład; ale poczuł, że pierwszy, niewyraźny promyk zrozumienia i przyzwolenia rozdarł krótkim błyskiem panujący w nim chaos. Zgasł zaraz, ale wiedział, że powróci niebawem.

Poszedł do kuchni i ugotował sobie śniadanie. Był wyczerpany i wyjałowiony. Zaniósł jedzenie do stołowego i usiadł za stołem. Ale gardło miał suche, napęcznieiał od czczości, i jedząc, czuł niesamowity ból w szczękach.

Wrócił do swojego pokoju i rzucił się na zmiętoszone łóżko. Pozostawało jeszcze sto osiemnaście godzin oczekiwania. Po chwili rozebrał się znowu i wsunął się pod koldrę. W łóżku czuł się bezpieczniej, nie mógł popełnić żadnej lekkomyślności. Nie mógł na przykład popędzić na główną aleję, ominąć Urząd Pocztowy i skrócić w drugą ulicę na prawo — w tę wąską, opadającą stromo uliczkę, która śmierdzi rybami. Gdyby nie wstawał z łóżka przez pozostałe cztery dni, to udałoby mu się może opanować ten chorobliwy instynkt, który go tam pchał.

Znowu zwrócił oczy ku listowi Odette i ku nalepkom z błękitnym niebem, dymiącymi i białymi albatrosami. Mój Boże — wyszeptał — któż mi zapłaci za zmarnowane lata? Kto pokryje ten niepodpisany czek życia, który noszę w kieszeni? Miliony ludzi brną przez ten potop i fala lekko tylko obryzguje ich nogi. Nie są ani gorsi, ani lepsi ode mnie. Więc czemu ja? Czemu właśnie ja?

Nie wyszedł tego dnia, ani następnego — czwartego przed wyjazdem. Żył konserwami, które zostawiła Sonia. Większość dnia drzemał, rozciągnięty wpoprzek na łóżku. W nocy nie mógł spać. Myśli jego wirowały jak bąk, który uderzony nagle z boku, podskakuje i zmienia nachylenie, ale nie traci rozpędu; uderzywszy o ścianę, znowu podskakuje i wiruje dalej pod innym kątem. Aby położyć kres tym oszalamiającym męczarniom i zabić jakoś czas, wrócił do pisania noweli, którą zaczął parę dni temu. Opowiadała ona o młodym człowieku, siedzącym na plaży i rysującym patykiem trójkąty na piasku...

...Nie dostrzegał mew, krążących nad jego głową, ani galer, płynących wolno na nieboskłonie wód. Miał na sobie dziwaczny, szeroki płaszcz i w bolesnym ośłupieniu wpatrywał się w figury na piasku, mruczając pod nosem jakieś niezrozumiałe słowa. Na drugim końcu ławki przysiadł się nagle pomarszczony starzec o przenikliwym spojrzeniu. Przez chwilę przyglądał się dziwnym czynnościami młodzieńca, po czym zapytał uprzejmie:

— Cóż to, mój przyjacielu, rysujesz tym patykiem?

Młody człowiek podskoczył, jak gdyby go przytłapano na gorącym uczynku.

— Rysuję trójkąty — powiedział rumieniąc się nagle.

— A dlaczego narysowałeś jeden trójkąt, ścieras go natychmiast ręką, a potem rysujesz następny, zupełnie taki sam jak poprzedni?

— Nie wiem. Wierzę, że te trójkąty zawierają jakiś sekret i chcę go odkryć.

— Sekret?... Ejże, mój przyjacielu, czy przypadkiem nie prześladują cię złe sny? Czy nie krzyczysz czasem przez sen?

— Tak, bardzo często.

— A jakież to sen cię nawiedza, każąc ci krzyczeć po nocy?

Młody człowiek zarumieniał się znowu.

— Sni mi się ciągle, że ja i ukochana moja żona Celia przyglądamy się popisom atletycznym naszego przyjaciela Porfiriusa. Dysk rzucony jego ręką w niewłaściwym kierunku, zbliża się ku nam koziolkując w powietrzu i trafia w głowę moją biedną żonę, która obsuwa się na ziemię z tajemniczym uśmiechem na wargach...

Starzec zachichotał i położył mu rękę na ramieniu.

— Drogi przyjacielu — powiedział — masz szczęście, że los kazał mi przejść przez ścieżkę twojego życia. Trudnię się bowiem wyjaśnianiem wyroczni i rozwiązywaniem zagadek, i niosę pomoc ludziom strapionym. Zapłacisz mi drachmę, ale to co powiem warte będzie drachmy. A teraz słuchaj:

— Zauważyłem, że opowiadając swój sen, zacząłeś znowu bezwiednie rysować na piasku. Gdy wspomniałeś o sobie, nakreśliłeś linię prostą. Gdy wymieniałeś imię Porfiriusa, narysowałeś drugą linię, pod kątem prostym do pierwszej; a gdy uczyniłeś wzmiankę o żonie swojej, Celii, zamknąłeś trójkąt przeciwprostokątną. W ten sposób Twój sen stał się zupełnie przejrzysty. Twój umysł nękanym jest niepokojem, który ukrywałeś nawet przed sobą samym; a sekret trójkąta łatwo teraz możesz rozwiązać, wypytując służących o życie prywatne swojej żony.

Młody człowiek, któremu na imię było Pitagoras, skoczył na równe nogi.

— Bogom niechaj będą dzięki za to, że rozwiązałeś zagadkę, która dręczyła od dawna mój umysł! Przez dwa lata rysowałem te głupie trójkąty. Teraz zaś pójdę do domu i spuszczę Celii solidne lanie, tak jak przystało na rozumnego męża.

Przydeptał sandałami ostatni narysowany trójkąt i zebrawszy fałdy swej togi, ruszył przed siebie szybkimi krokami. Czuł się szczęśliwy i lekki jak piórko. Tajemnicza, niedocieczona potrzeba rysowania trójkątów na

piasku opuściła go na zawsze. I tak oto Prawo Pitagorasa nie zostało nigdy wynalezione.

Piotr włożył opowiadanie do koperty i posłał je Soni. Uśmiechnął się, wrzucając list do skrzynki. Od chwili gdy je napisał poczuł się, niewiadomo dlaczego, znacznie lepiej.

8.

Trzeciego dnia przed wyjazdem Piotr poszedł do biura podróży, aby załatwić ostatnie formalności.

Wszystko było w porządku. Poradzono mu aby w dniu wyjazdu przyszedł wcześniej na molo, bo drobiazgi paszportowe i celne zajmują zazwyczaj sporo czasu. „Lewiatan” miał odbić od brzegu z wieczornym przypływem, około godziny szóstej, ale jeden z urzędników poradził mu przyjść do portu już o dziesiątej rano, z nim rozpocznie się tłok, zjeść wygodnie obiad na statku i obserwować potem krzątanie spóźnionych pasażerów z fotelu na pokładzie.

Wszystko to miało się odbyć pojutrze, albo mówiąc dokładniej za czterdzieści sześć godzin; bo mądra rada urzędnika wytrąciła osiem pełnych godzin z rozkładu jazdy Piotra. Szedł przez skąpane w słońcu ulice, które wydawały się jaśnieć teraz ostrzej niż zwykle, teraz — po długim okresie samotnictwa. Zamierzał iść prosto do domu i spędzić przedostatni dzień w Europie w czterech ścianach swojego pokoju. Ale po wyjściu z biura podróży zatonął w nowym śnie na jawie: oto stoi na pokładzie, mewy kąpią się w ciepłej smudze wody wlokącej się za okrętem, a w nozdrzach czuje zapach smoły i roślin morskich. Ani się spostrzegł jak nogi poruszane własnym impulsem, zanosły go do kawiarni na placu. Porażony nagłym lękiem chciał się w pierwszej chwili cofnąć i wrócić. Ale gdy stał tak pełen wahania pomiędzy chodnikiem a fontanną dostrzegł nagle

znajomą twarz, śmiejącą się doń serdecznie. Przed frontem sąsiedniej kawiarni siedział samotnie Mr. Wilson. Piotr mógł być albo ostentacyjnie szorstki i zmienić kierunek, albo przejść obok niego w odległości paru metrów. Wolno i z pewnym oporem ruszył przed siebie. Zrównawszy się ze stolikiem, uklonił się niezgrabnie, a Mr. Wilson podniósł trzy zdrowe palce do góry w przyjaznym pozdrowieniu. Piotr uznał to za zachętę do zatrzymania, się, a właściwie zanim zdołał cokolwiek pomyśleć, przyrósł nieomal do chodnika. Mr. Wilson był ciekaw co się z nim działo od czasu ostatniej wizyty w konsulacie.

— Wyjeżdżam pojutrze — odpowiedział cicho Piotr.

— Ah, cóż za świetna wiadomość — wykrzyknął Mr. Wilson z wyrazem ulgi na twarzy i w głosie. — Niech pan usiądzie i napije się czegoś.

Piotr usiadł, a Mr. Wilson zamówił kieliszek absyntu.

— Zastanawiałem się często, co się z panem stało — powiedział. — Mówił mi ktoś, że pan był chory.

Piotr odmruknął coś pod nosem. Był oszołomiony życzliwością Mr. Wilsona. Czy zapomniał o tym liście — czy nie wie, że mówi w gruncie rzeczy do deztertera? Przyniesiono absynt.

— To trucizna na moją podagrę — powiedział Mr. Wilson, rozcieńczając alkohol w dużej ilości wody. — A propos, pańskie pozwolenie przyszło już dość dawno, i zdaje się że napisaliśmy o tym do pana parę słów, ale musiało to być chyba w czasie pańskiej choroby i nigdy pan pewnie tego listu nie otrzymał. Prawdę mówiąc, cieszę się z tego. Dość się pan już nacierpiał, i zasłużył pan w pełni na jakieś normalniejsze życie. A więc, za pańską podróż.

Piotrowi zabiło serce. Czyżby to wszystko miało być aż takie proste? Czyżby wystarczyło tylko podnieść się z klęczek, otrzepać kurz ze spodni i z dźwiękiem „absolvo te” w uszach wyjść na rozslonecznioną ulicę?

Wypił. — Czy to ma znaczyć — wykrztusił z trudem — że pan mnie nie potępia?

Mr. Wilson spojrzał nań zmieszany i uśmiechnął się łagodnie:

— Potępiać pana — za co?

Ale zanim Piotr zdążył odpowiedzieć Mr. Wilson zamachał znowu ręką, uśmiechając się do kogoś za plecami Piotra. Był dzisiaj w bardzo towarzyskim usposobieniu.

— Chodź tu Andrew i przedstaw się panu Sławkowi — powiedział zapraszająco; a w chwilę potem Piotr znalazł się oko w oko z pozszywaną, podobną do maśki twarzą, która z bliska bardziej niż kiedykolwiek przypominała kiepską imitację twarzy ludzkiej.

— Siadaj — powiedział Mr. Wilson. — Cóż to za zaszczyt siedzieć przy jednym stoliku z dwoma młodymi bohaterami.

W przystępie dobrego humoru zamówił jeszcze coś do picia.

— Słyszałem o panu wiele — powiedział Andrew i uchwyciwszy swoimi szponami krzesło podstawił je sobie zręcznie — pan jest jednym z tych ludzi, o których czytaliśmy w naszych gazetach z uczuciem winy.

— Z uczuciem winy? — wymamrotał Piotr. Wypił do połowy drugą szklankę w desperackiej nadziei, że pomoże mu to przejść i przez tę próbę.

Mr. Wilson dolał sobie także wody do drugiej szklanki absyntu. Był dziś zdecydowanie w doskonałym humorze. Lekko znużony wyraz jego twarzy ustąpił miejsca spojrzeniu, w którym malowała się nieśmiała radość.

— Mały Andrew czuje się tutaj jak tchórz — zachichotał. — Boi się, że któraś z miejscowych pięknych dam pośle mu pewnego dnia zajęczą łapkę.

— Czy nie zauważył pan — zwrócił się Andrew do Piotra, nie reagując na docinek Mr. Wilsona — że wszyscy poruszamy się w tym galimatiasie z uczuciem winy?

— Ale dlaczego pan? — zapytał Piotr i mimo woli wskazał wzrokiem na rękę Andrew, w której niepewnie kołysała się szklanka alkoholu. Andrew zauważył to. Kpiarski wyraz jego oczu ożywił się.

— To nie zmienia postaci rzeczy — powiedział. — Równie dobrze i panu mogłaby spaść cegła na głowę w czasie jakiejś awantury.

— Wolę już pozostać przy moim złym samopoczuciu — zaśmiał się Mr. Wilson.

— Ale czegoż pan mógłby jeszcze dokonać po tym wszystkim, co pan już zrobił? — zapytał Piotr.

— Mówilem panu, że nie o to chodzi — powiedział Andrew, a przez jego maskę przebiegł skurcz zniecierpliwienia. — Cywile czują się winni wobec ludzi w mundurach khaki, ludzie w mundurach khaki czują się winni wobec lotników. Personel naziemny ma kompleks niższości wobec personelu latającego. Lotnikom z bombowców bywa gorzko w gębie wobec myśliwców. Myśliwcy przed lotem czują się winni wobec tych, którzy zostają na ziemi. Tak już jest.

— Chce pan powiedzieć, że nikt z nas nie daje ze siebie wszystkiego?

Maska drgnęła znowu:

— Wszystkiego? Na rzecz czego?

— Na rzecz wojny.

— Wojny? U nas w kraju nie ma wojny — powiedział Andrew. — Wszyscy tylko udają, że jest wojna. Każdy obywatel naszego kraju ma złe samopoczucie, bo wie, że tylko udaje. A paru chłopców z zamilowaniem do sportu przesoliło trochę z tym swoim udziałem w wojnie i to wprawia wszystkich w jeszcze większe zakłopotanie.

— Nie demoralizuj naszych aliantów — zachichotał Mr. Wilson. A zwracając się do Piotra:

— Widzi pan, on ani przez chwilę nie wierzy w to co mówi. Wyraźnie szarżuje.

— Czy to ma znaczyć — wyjąkał Piotr — że pan to wszystko zrobił dla sportu?

Andrew wzruszył ramionami. Zogniskował teraz całą swoją uwagę na próbie wypicia alkoholu bez urońnienia jednej kropli.

— Nie sądzi pan — powiedział wreszcie — że to raczej nudna zabawa, to wyszukiwanie powodów dla wszystkiego co się robi?

Postawił szklankę; wylądowała z brzękiem na metalowym blacie stolika.

Po długiej przerwie Piotr zapytał:

— Lecz jeśli ich się nie zna, to jakaż busola kierować ma ludzkimi czynami? Andrew oklapł gwałtownie; alkohol nie podniecił go zupełnie. Na wargach i skroniach pojawiły się małeńkie krople potu. Wyglądały dziwnie nie na miejscu na tej surowej powierzchni skóry.

— Zresztą — powiedział na koniec — jakby nie było daleko pan nie zajedzie z tym rozumowaniem.

— Popatrz, popatrz — powiedział Mr. Wilson, który po każdym łyku dolewał wody do szklanki — wy obaj razem wzięci jesteście młodszy ode mnie o jakieś dziesięć lat, a przecież kiedy słucham waszej rozmowy czuję się jak młodzieniaszek w towarzystwie dwóch starych i sceptycznych wujków.

Andrew uśmiechnął się. Dziwne — pomyślał Piotr — jak pełna wyrazu staje się jego twarz, kiedy się do niej przyzwyczaić.

— Ale — powiedział Piotr — ostatecznie musi być przecież jakaś sprawa...

— Eh, wy cudzoziemcy z waszymi sprawami — przerwał Mr. Wilson, którego niezliczone ilości wypitej wody wprawiały w coraz lepszy humor.

— Myśli pan, że łatwiej jest żyć dla sprawy? — zapytał Andrew.

— Nie wiem — wymamrotał Piotr — myślę tylko, że może łatwiej jest umrzeć za sprawę, niż za nic...

— Ah! — wykrzyknął Andrew — to co innego...

Umrzeć za idealną sprawę — cóż to za luksus! Ale trudno oczekiwać, aby bogowie rozpieścić nas mieli aż do tego stopnia. Umrzeć za idealną sprawę! Czuć się jak pies, którego poklepano po karku i który zdycha, merdając radośnie ogonem...

Opróżnił szklankę i wstał. — No, muszę już iść — powiedział. — Cieszę się, że pana poznałem. Dziękuję za miłe popołudnie.

Przyglądali mu się, gdyż szedł przez plac z rękami w kieszeniach i z lekko pochyloną głową. Znikł wreszcie za rogiem, pochłonięty przez biały blask słońca.

— Mamy z nim sporo kłopotów — powiedział Mr. Wilson po chwili. — Marzy o powrocie do dywizjonu, ale lekarze nie chcą go puścić, i mają rację... W każdym razie — dodał z westchnieniem — wypijmy jeszcze kroplę tej trucizny. Za pańską podróż.

9.

Tej nocy — przedostatniej nocy w Neutralii — nawiedził Piotra sen. Musiało się to zdarzyć nad ranem, bo pamiętał, że obudziwszy się spojrzał na zegarek, który wskazywał parę minut po piątej. Odwrócił się na drugi bok i pomyślał, że pozostało mu jeszcze tylko 29 godzin oczekiwania.

Zdawało mu się, że ciemności wokół niego zagęściły się nagle, jak gdyby zjeżdżał w skafandrze na dno morza. Nigdy by nie przypuszczał, że ciemności mogą osiągnąć aż taki stopień nasilenia, a przecież wzrastały ciągle, aż uprzytomnił sobie naraz, że to co go otaczało było nie mrokiem, ale czarnym światłem. Odetchnął z ulgą, ale w chwilę potem zauważył, że ktoś naciska od wewnątrz klamkę od drzwi do sypialni; i gdy wstrzymując oddech przyglądał się powolnemu ustępowaniu klamki, wiedział już kto to jest. Drzwi otworzyły się łagodnym, bezszelestnym ruchem, ten ktoś wszedł do pokoju i za-

czął wolno kroczyć w kierunku łóżka Piotra. Przybysz ukrywał się za rdzewiejącą kolczugą, ale nie mogło być nawet cienia wątpliwości co do jego osoby: ta sama twarz, której nie zapomnialby żaden policjant, te same rude twarde włosy, nos o złamanym siodełku i górna warga, odsłaniająca szczyrby w przednich zębach i część dziąseł. I te same trupio blade cienie w zapadlinach oczu, takie jakie odbiło lustro w kabinie kąpielowej. Ale teraz nie było już pomiędzy nimi lustra; a ten drugi, o oczach ślepych i niewidocznych w ciemności, zbliżał się miękkim posuwistym krokiem do łóżka, niosąc przed sobą w kurczowo zaciśniętych rękach krzyż, którego nie było. Musiał być chyba naprawdę i ślepy i zmartwiał, jeśli nie widział, że jego palce zaciskają się wokół powietrza, a jego ręce obejmują tylko słup próżni, w którym miało się niby znajdować drzewce krzyża. Podchodził coraz bliżej; przeniknął przez nogi łóżka i kroczył po materacu i ramach, jak gdyby zbudowane były z jakiegoś uginającego się fluidu. Nagle niewidzialny krzyż dotknął ciała Piotra i poraził go niepojętą zgrozą i niewysłowioną rozkoszą. Chciał krzyknąć, ale głos jego utonął w ciemnościach; chciał usiąść, ale powietrze przygniotło mu pierś ogromnym ciężarem; czekał więc na chwilę, gdy ten drugi przeniknie, zادةpcze i unicestwi jego ciało, i drżąc ze strachu, obudził się.

Pokój zalany był światłem. Kominy i albatrosy z nalepek na walizkach mieniły się wszystkimi kolorami tęczy. Była godzina dziewiąta; wszystkiego dwadzieścia pięć godzin do odjazdu.

10.

Najzupełniej nieoczekiwanie ostatni dzień, który jak sądził, będzie się włókł najdłużej, zbiegł mu bardzo szybko. Rano poszedł z wizytą pożegnalną do komitetu, gdzie musiał podpisać cały szereg formularzy i kwitów.

Ponieważ około 200 protegowanych komitetu opuszczało także na pokładzie „Lewiatana” brzegi Neutralii i musiało przejść przez tę samą procedurę, na ulicy powstał długi ogonek — pierwszy radosny ogonek, jaki Piotr widział w tym kraju. Wszyscy rozmawiali z podnieceniem, porównując swoje miejsca na różnych pokładach, dyskutując na temat jedzenia na okręcie i środków zapobiegawczych przeciwko chorobie morskiej, upewniając się nawzajem, że podróżującym pod neutralną banderą nie grozi żadne niebezpieczeństwo. Piotr usiłował również wmieszać się do tej paplaniny, ale głos jego był tak wymuszony, że ludzie których zagadnął stali się z miejsca krępująco uprzejmi.

Dopiero po pierwszej załatwił wszystko w komitecie. Miał ochotę wstąpić jeszcze po raz ostatni na kieliszek absyntu do kawiarni, ale poszedł wprost do domu, upitrasił sobie i zjadł obiad i zabrał się do sprzątanía pokoi. Komorne było już zapłacone i Piotr miał jedynie, idąc jutro rano do portu, wręczyć klucze właścicielom. Chciał jednak zostawić po sobie czyste mieszkanie, zatrzeć wszystkie swoje ślady. Nie powinien tu zostać nawet najdrobniejszy strzęp wspomnień, z mieszkania należało wymieść dokładnie przeszłość. A poza tym całe to szorowanie i czyszczenie pomagało zabić jakoś dłużące się godziny oczekiwania.

Pod wieczór uporał się z jadalnią i przeszedł do sypialni Soni. Gdy wyciągnął do odkurzenia puste szuflady jej szafy znalazł pomiędzy śmieciami małą garstkę podartych listów. W sypialni Soni nie było kōsza na śmieci, a do jej bałaganiarskich obyczajów należało również darcie otrzymywanych listów i wrzucania ich do szuflady. Zgarnął wszystkie strzępki na śmietniczkę i po niósł do kuchni, gdy nagle wzrok jego zatrzymał się na maleńkim skrawku błękitnego papieru listowego Odette, który wystawał z samego wierzchu zmiecionej garstki. Nie mógł się oprzeć pokusie wyjęcia go. Skrawek

zawierał zaledwie parę linijek; była wzmianka o nim: „Piotr jest...”, z resztą zdania oddartą; potem jakaś aluzja, której nie mógł zrozumieć i wreszcie: „...było to przyjemne dla odmiany. Myślę, że potrzebowałam tego. Ale jedyną realną rzeczą jesteś Ty, i cała moja czułość...”.

W kuchni wrzucił wszystko do skrzyni ze śmieciami. Strzępy papieru spoczęły na dnie, pomiędzy kurzem, obierzynami z kartofli i wełnistymi kosmykami brudu. Nie był ciekaw pozostałych fragmentów listu. Opuścił wieko skrzyni i wrócił do pracy w sypialni.

To co przeczytał nie wywołało w nim wstrząsu — wiedział już przecież od dawna o stosunkach łączących Odette z Sonią — ale coś w rodzaju fizycznej niechęci. Przede wszystkim zaś odczuwał ogromny smutek na widok pustych szuflad i litość dla Odette, dla wpatrzonej w nieznaną dal, smukłej i zranionej dziewczyny — dla Odette, ofiary tonącej w objęciach mięsożernego kwiatu.

Skończył sprzątać w sypialni Soni i przeszedł do swojego pokoju. Wszystkie posiadanie drobiazgi ułożył w taniej walizeczce, którą kupił wczoraj. List Odette umieścił na dnie. Zaczął szorować podłogę. W pokoju rozszedł się zapach mydła, kurzu i pasty. Ostatnie duchy przeszłości, ukryte w atramentowych kleksach na biurku, przyczajone w palmach na parapecie okna, powinny przecież teraz odfrunąć. Klęcząc szorował zapalczywie podłogę i czuł, że gdy tak oto egzorcyzmuje przeszłość, przyszłość spłonęła już także pomiędzy podartymi skrawkami papieru w skrzyni na śmiecie, nad którą właśnie przed chwilą zatrzaskał bez żalu wieko.

Wieczorem, gdy wyszorował już prawie pół podłogi, przyszedł Bernard. Piotr wpuścił go do mieszkania i wymówiwszy się jakimś banalnym przeproszeniem, wrócił do szorowania. Bernard rozparł się w drzwiach jadalni, obserwując ironicznie jego czynności.

— Pożegnanie z bronią... — powiedział po chwili, wciągawszy nosem powietrze. — To pachnie mocnym postanowieniem rozpoczęcia nowego życia.

Piotr nie odpowiedział. Wycierał podłogę szmatą, starannie wygarniając spod łóżka resztki brudu.

— Zastanawiał się pan może nad naszą rozmową? — zapytał Bernard.

— Ma pan na myśli propozycję współpracy z wami? — odparł Piotr i wyprostowawszy się na kolanach, wyjął ścierkę nad wiadrzem.

— Niech pan się nie spieszy z odpowiedzią — powiedział Bernard. — Ma pan mnóstwo czasu na prze-myślenie wszystkiego. I na miłość boską, niech pan się nie uważa za zdrajcę, jeśli pan przejdzie do nas. Nie ma już teraz czystej, wyraźnej linii podziału między klasami. Ludzie, którzy mówią dziś o zdradzie, rozumują w kategoriach dziewiętnastowiecznej, socjalistycznej wojny pozycyjnej. — Postęp przeciwko Reakcji. Lewica przeciwko Prawicy — a żyjemy przecież w samym sercu płynnej wojny ruchów społecznych. Duża część klasy robotniczej przystąpiła już do nas. Radykalne skrzydła New Deal'owców i młodych Torysów działają na lewej flance związków zawodowych. Syndykalistyczni partyzanci w krajach łacińskich maszerują pod sztandarem państwa korporacyjnego. Wszędzie lotne oddziały odłączają się od swoich organizmów społecznych, a biurokraci i administratorzy umacniają się na swoich kluczowych pozycjach. A pan został sam w swoim no-man's-landzie, daremnie wypatrując oczy za starymi, opuszczonymi okopami, które wiatr zawiał lotnym piaskiem i pokrył rumowiskiem.

— A skąd pan wie — powiedział Piotr, przestawszy na chwilę przyglądać się schnącej podłodze — że jeżeli wszystko jest płynne i sypkie, to przyszłość należeć będzie właśnie do was? A może jesteście tylko zmotoryzowaną kolumną pancerną, która pędząc przez pobojowi-

sko, tratuje wszystko po drodze, strzela na lewo i na prawo, a potem znika bez śladu za horyzontem?

—Być może — powiedział Bernard. — Kto wie? Ale tymczasem nic nie wskazuje na to, że znikniemy bardzo szybko. Nawet w tak zwanych państwach demokratycznych powietrze pełne jest naszej niedostrzegalnej obecności. Gdyby pan w latach dwudziestych wyszedł na ulicę bez kapelusza, albo zamówił hors d'oeuvres zamiast zupy nazwanoby Pana bolszewikiem. Dziś jeśli pan powie coś pomysłowego, coś co zakłóca ich zatęchłą idyllę, nazwą pana jednym z nas. Chcesz psa uderzyć, kij się znajdzie. Zmora prześladowuje Europę, ale tym razem jest to nasza zmora...

— Czy nie sprawi panu różnicy, jeśli pan stanie teraz obok okna? — zapytał Piotr. — Chcę pociągnąć podłogę pastą.

— Z przyjemnością — powiedział Bernard, siadając na parapecie okna. — Pańska gorliwość w wykonywaniu zajęć domowych jest oznaką wewnętrznego kryzysu, który zbliża się do swego punktu kulminacyjnego.

Piotr podniósł głowę i zderzył się z ironicznym spojrzeniem Bernarda.

— Nie będę nigdy dla was pracował — powiedział z wymuszonym spokojem — jeśli to właśnie miał pan na myśli.

— Kto wie? — odpowiedział z uśmiechem Bernard. — Nie mało już ludzi śmiało się i podrwiwało na samą myśl o tym, a przecież potem przychodzili grzecznie na czas. Zawsze ten sam proces. Najpierw wścieka się człowiek na samego siebie, miota się wśród przestarzałych przesądów, aż pewnego dnia, gdy jest już dostatecznie zdarty i zmęczony, przychodzi mu nagle na myśl, że walczył przecież z cieniami i szepcze do siebie cicho: „Ostatecznie, czemu nie?...”.

Bernard przerwał, przerażony nagłą bladością twarzy

Piotra. Piotr zerwał się na równe nogi. Ostatnie zdanie zadzwoniło mu w uszach jak echo. Po raz pierwszy od chwili spotkania Bernarda poczuł prawdziwe niebezpieczeństwo, rozpaczliwe wrażenie staczania się po równi pochyłej.

— Precz — powiedział tępym głosem.

Bernard podniósł oczy z wyrazem uprzejmego zaskoczenia i nie spiesząc się, zeskoczył z parapetu.

— Doskonale — powiedział. — Kładę to na karb pana rozstroju nerwowego...

— Precz — powtórzył tym razem spokojnie Piotr.

— ...I uważam za jeszcze jeden dowód, że punkt kulminacyjny jest tuż, tuż — skończył Bernard bez cienia zmieszania i uśmiechnął się do Piotra spod drzwi. — Kiedy panu to przejdzie i poweźmie pan nareszcie jakąś decyzję — proszę mnie zawiadomić.

— Nie będzie już okazji — powiedział Piotr — jutro wyjeżdżam.

— Będzie mnóstwo okazji — odparł Bernard, uśmiechając się przyjaźniej niż zwykle — właśnie przyszedłem panu powiedzieć, że przeniesiono mnie za ocean. Robi się tam teraz coraz goręcej. Udało mi się przed chwilą dostać ostatnią kabinę na „Lewiatanie”. Podobno wstrętny okręt. A więc do zobaczenia jutro na pokładzie...

Wyszedł. Piotr stał jeszcze przez chwilę na środku pokoju, trzymając ścierkę w ręce. Jego spojrzenie zatrzymało się w końcu na ciemnej plamie na posadzce. Ukląkł odruchowo i zaczął ją trzeć tak mocno, że aż mu twarz poczerwieniała, a spływające z czoła do oczu krople potu przestoniły wszystko gryzącym niemitosiernie bielmem.

II.

A więc tak wygląda „Lewiatan”? Żywy okręt nie przypominał zupełnie fotografii w biurze podróży: był

stary i miał brudno szary kadłub. Dym z kominów wydobywał się urywanymi kłębami, a zamiast zapachu smoły i morskich traw czuć było smród garkuchni, jak w tanim pensjonacie.

Marynarz, który stał obok pomostu wyjaśnił Piotrowi uprzejmie, gdzie należy szukać kabiny. Rozleniwiony chłopiec okrętowy zawahał się przez chwilę czy zaopiekować się jego walizką, ale spojrzawszy nań dokładniej, zarzucił widać tę myśl i oddalił się szybko z rękami w kieszeniach.

Piotr odnalazł schody i zaczął zstępować pod pokład. Nie spotkał po drodze żywej duszy. Na schodach i korytarzach było pusto jak w operze wczesnym rankiem. Na pierwszym piętrze minął tylko wystawę sklepiku z zabawkami i przychwycił szkliste spojrzenie pluszowych misiów. Sklepiak był zamknięty, subiekt jeszcze nie przyszedł.

Dwa piętra niżej odnalazł pokład „E”. Wszedł do swojej kabiny — drzwi jak wszędzie były uchylone. Wśród trzech mieszczących się w kabinie koj, odszukał swoją. Znajdowała się pod okrągłym okienkiem w ścianie. Położył walizkę na szorstkim równo obciągniętym kocu, który upodabniał koję do łóżka szpitalnego i rozmieszczył na półeczce grzebień, przybory do mycia i szczotki. Rozpakował się w ciągu trzech minut; cały dzień stanął przed nim otworem. Usiadł na koi i zapalił papierosa. Powietrze w kabinie było duszne. Ogarnęło go uczucie jałowej pustki. Doprowadził się do porządku i postanowił zwiedzić okręt.

Wygramolił się na górny pokład. Tu było znacznie przyjemniej: białe łodzie ratunkowe, leżaki, szeroko rozpościerający się widok portu. Nagle dostrzegł niepozorny napis, rezerwujący całe to królestwo dla pasażerów pierwszej klasy. Tak również było na obu piętrach niżej. W końcu odnalazł pokład, przeznaczony dla pasażerów, podróżujących tą samą co on klasą. Zdumiewające, jak

mało miejsca wydzielono na tym olbrzymim okręcie dla zwykłych, skromnych pasażerów. Jakiś steward proponował mu wynajęcie leżaka na czas podróży. Był uprzejmy, a nawet uniżony i na Piotrze zrobiło to wrażenie taniej imitacji pierwszej klasy. Ale opłata za leżak nie była tania. Podczas gdy steward kaligrafował na deszczulce J.W.P. PETER SLAVEK, Piotr przyglądał mu się z uczuciem mdłości i upokorzenia.

Tymczasem przybyło na pokład około tuzina nowych pasażerów. Dwoje z nich stanęło na najwyższym pokładzie i oparłszy się łokciami o balustradę, spoglądało na port. Reszta rozbiła się na małe grupki rozmawiające z ożywieniem. I znowu, tak jak wczoraj, Piotr poczuł, że odgradza go od tych ludzi jakaś niewidzialna bariera.

Nagle od jednej z grup odłączyła się jakaś para i zbliżyła się do leżaka Piotra. Pamiętał z ogonka przed konsulem to małżeństwo o wschodnich, wiecznie myszkujących twarzach. Spotkał je w dzień, w którym po raz pierwszy zobaczył Sonię. Szli ku niemu maleńkimi kroczkami rozpromienieni i szczęśliwi.

— Jak zdrowie, panie, panie...? — zapytała kobieta.

— ...J.W.P. Slavek — odczytał mężczyzna z deszczulki na leżaku.

— Doskonale, dziękuję — odpowiedział Piotr, unosząc się lekko z leżaka.

— Tak, tak — ciągnęła kobieta — Piotr przypomniał sobie teraz jej nazwisko — nazywała się Abramowiczowa — a więc i pan wyjeżdża z Europy. Jaki pan ma ładny garnitur. Kiedyśmy pana po raz pierwszy zobaczyli w ogonku, nie wyglądał pan tak dobrze.

— Podniesiony kołnierz — wtrącił mężczyzna — i buty...

Podniósł brwi i rozłożył ręce, jak gdyby chciał w ten plastyczny sposób uprzytomnić żaloszny i nędzny wygląd Piotra.

— Ale dumny to pan był — powiedziała kobieta.
— Wychodzić z ogonka! Kto to słyszał?

— Nabrał teraz rozumu — dorzucił mężczyzna. —
Prawda, panie Sławek?

— Sądzę, że tak — odpowiedział Piotr.

Nastalo kłopotliwe milczenie.

— I taki ładny garnitur — powiedział Abramo-
wicz. — Ile pan za niego zapłacił?

— Nie pamiętam — odpowiedział Piotr.

— Nie pamięta, tut-tut — powiedziała kobieta.

— Ciągłe jeszcze jest dumny — dodał mężczyzna —
ale oduczy się tego.

— Zrobi karierę — oświadczyła kobieta.

— Założyłbym się, że zrobi — powiedział mężczyz-
na. — Ale musi się najpierw oduczyć.

— Zobaczymy się jeszcze — powiedziała kobieta —
do widzenia panie Sławek.

— Do widzenia — bąknął Piotr, a państwo Abra-
mowicz podreptali dalej.



Na górnym pokładzie dźwięk gongu zapowiedział
obiad, a po chwili zawtórował mu również dzwonek na
pokładzie Piotra.

Piotr poszedł w ślad za innymi do jadalni i z ulgą
zajął miejsce przy jakimś pustym stoliku. Większość
pasażerów jeszcze nie przyszła i wyglądało na to, że
będzie jeść obiad sam. Na stoliku przyśrubowanym do
linoleum nie było obrusa ani serwetek, ale jedzenia po-
dali w bród, a wino kosztowało bardzo tanio. Piotr wy-
pił najpierw jedną butelkę, a potem drugą. Opróżniał
szklankę za szklanką, jak gdyby umierał z pragnienia.
Czuł się coraz lepiej. Po obiedzie wrócił na pokład,
przesunął leżak w cień i z głową ciężką od wina zasnął
po paru minutach.

Obudził się, gdy ktoś potrącił jego leżak. Kręciło mu się w głowie i przymrużył oczy od blasku słońca. Spał przeszło dwie godziny, jego leżak stał teraz w pełnym słońcu, a wszystko dokoła zmieniło się nie do poznania. Mały pokład wyglądał jak prowincjonalny jarmark, zatłoczony krzyczącymi i pchającymi się ludźmi. Na molo było jeszcze gorzej. Wszędzie leżały stosy bagażu, pasażerowie biegali jak opętani w poszukiwaniu zawieruszonych gdzieś rzeczy, spoceni tragarze wykrzykiwali swoje numery. Motory dźwigów wzmagaly jeszcze hałas. Podobne do ogromnych, stalowych żyraf dźwigi zginały ciągle szyje, chwytaly bale ładunków w zęby, odwracały się i ciskały je w rozdziawione paszcze luków okrętowych. Strumień ludzki ruszył teraz ku pomostowi i segregowany przez kontrolera i stewardów przeciekał na pokład wieloma kanałami. Nagle Piotr zauważył Bernarda. Miał skórzaną teczkę pod pachą i szedł za marynarzem, objuczonym trzema walizkami ku drzwiom pierwszej klasy. Prawie w tej samej chwili Bernard odwrócił się i spojrzał w dół.

Ich spojrzenia skrzyżowały się na chwilę. Bernard uśmiechnął się, podszedł do poręczy i krzyknął ponad głowami tłumu: „Zobaczymy się później!”. Potem znikł za drzwiami, prowadzącymi do kabin na słonecznym pokładzie.

Parę osób stojących w pobliżu Piotra zauważyło tę scenę. Popłynęły ku niemu ciekawe spojrzenia, jako że Bernard był w mieście znaną osobistością. Piotr podniósł się chwiejnie, przepchnął się do drzwi wyjściowych i trzymając się mosiężnej poręczy zbiegł na dół po schodach.

Kabina była ciągle pusta. Zatrzęsnał drzwi i zwałił się na koję. Czuł się źle i dzwoniło mu w uszach. Powietrze było ciężkie od duszności.

— Skąd ja się wzięłem na tym okręcie? — zapytał sam siebie. — I dlaczego nie odbija on od brzegu? Jeżeli to potrwa dłużej, będę mógł jeszcze zbiec na ląd...

Porażony tą myślą zerwał się gwałtownie. W głowie kręciło mu się dalej od wina i od drzemki w ostrym blasku południowego słońca. Zmrużył oczy i rozejrzał się po ciemnej kabinie. Gdzieś w górze dźwig zaterkotał jak karabin maszynowy i umilkł znowu.

Z bijącym ciężko sercem położył się z powrotem na koi.

— Skąd ja na tym okręcie? — dziwił się. — Będą zawsze sam wśród ludzi. Gardło mi zaschnie i zdrętwieje od samotności...

— Będzie z tobą Odette — pocieszał go cichy głos Soni.

— I Odette mnie porzuci. Zapach samotności jest jak zapach śmierci — każe ludziom odwracać głowy.

— Co się z tobą stało, Pietia?

— Człowiek samotny jest jak trędowaty. Gdy idzie ulicą, ludzie się przed nim rozstępują...

Dźwig zaterkotał znowu. Okrągłe okienko nad głową Piotra odbijało się w lustrze umywalni, miał więc ciągle przed oczyma kolisty wycinek mola wraz z postaciami ludzkimi, które przesuwały się w jego polu widzenia, jak figurki w ciemni fotograficznej. Poruszały się bezgłośnie, bo okienko było zamknięte i poza przytłumionym terkotem dźwigu żaden dźwięk nie docierał do kabiny. Szarpnął się niespokojnie na szorstkim kocu.

— A może cięcie Soni nastąpiło za późno — myślał z rozpaczą. — Czuję jeszcze ciągle ból w kikucie. Chcę wrócić. Nigdy nie byłem po stronie zwycięzców...

Zawyla syrena okrętowa — raz długo i żałośnie, a trzy razy krótko. Milczące postacie na molo poruszyły się żywiej. Wyglądały teraz w lustrze jak marionetki.

— Po trzecim sygnale podniesiemy kotwicę. Molo się oddali i zostaną w tej kabinie jak w potrzasku... — Serce mu zabiło, a napiętą skórę skroni zrosił pot.

— Za godzinę — myślał — zamkną się bezpowrot-

nie drzwi celi. Czemu nie ma nikogo, ktoby mi mógł doradzić co robić? Kiedyś ludzie modlili się o znak i panienka z wosku przesyłała im swój uśmiech: nie było wówczas pytań bez odpowiedzi...

Usiadł i otarł pot z czoła. Serce biło mu ciągle, ogarnięte panicznym lękiem przed samotnością.

— Chcę wrócić — szepnął do siebie.

Zrobiło mu się słabo. Koja zdawała się kołysać, przyprowadzając go o mdłości.

— Nie bądź głupi — odezwał się głos Soni. — Oto jest arka, a wszędzie dokoła szaleje potop. Przekleństwo wisi nad ziemią, i deszcz padać będzie czterdzieści dni i czterdzieści nocy. Któż słyszał, żeby wyskakiwać za burtę i wracać w samo serce szalejącego potopu?

— Ale czemu nie, Sonia, czemu nie? Czegoś brak w tej historii. Ktoś przecież musi wybiec na deszcz i zginać razem z tymi, którym ziemia ucieka spod stóp...

— No i co dalej — przerwał głos Soni. — Jaki będzie los szaleńca, który wróci?

— Bóg wejrzy w jego serce i zawstydzi się. A potem osłoni go własną ręką przed deszczem...

— Czyżby? Ah, więc spodziewasz się w skrytości serca, że tak oto będzie wyglądał wzruszający epilog tej historii? Łudzisz się, Piotr. Kto składa siebie w ofierze, będzie przyjęty. Leż więc lepiej spokojnie na koi...

Dokładnie w tej samej chwili syrena zawyla po raz drugi; a jednocześnie przez odbicie okienka w lustrze przesunęły się trzy osoby. Towarzysz Tomasz z żoną, pomiędzy nimi zaś, naprowadzona jak gdyby na obiektyw ciemni, mignęła w ciągu ułamka sekundy twarz Ossiego.

A może był to tylko ktoś podobny do Ossiego?

Piotr nie dowiedział się nigdy prawdy. Nie czas było na pytania teraz, gdy biegł przez wąski korytarz, przeskakiwał po trzy schody, roztrącał ludzi, odpychał ich

na boki głuchy na okrzyki i protesty, aż wreszcie przesadziwszy paroma susami pomost, wylądował na molo.

Zatrzymał się bez tchu i rozejrzał się dokoła. Trójka znikła. Pobiegł do budki celnika i zajrzał przez okno do urzędu paszportowego; nie było ich nigdzie. Pewnie odprowadzili kogoś na okręt i poszli z powrotem do miasta. Na molo było tylko jedno wyjście. Jeżeli się pospieszy, złapie ich jeszcze. Poderwał się i pobiegł długą, zakurzoną aleją w kierunku miasta.

Na pomoście nie ustał jeszcze popłoch. Jacyś ludzie krzyczeli za nim ciągle, aż znikł wreszcie zupełnie z ich oczu.

12.

Mr. Wilson siedział w biurze i rozmawiał z jakimś jegomościem, wyglądającym na wojskowego. Od czasu do czasu odwracał się ku oknu, za którym widać było morze i fragment portu. Dwadzieścia minut temu „Lewiatan” zaryczał po raz drugi i, spoglądając na dymiący komin, Mr. Wilson czekał teraz na trzecią syrenę i na chwilę, w której ogromny parowiec odbije od brzegu. Mr. Wilson lubił przyglądać się okrętom, wychodzącym na pełne morze; gdyby nie był tak zajęty, poszedłby na pewno do portu, aby być obecnym przy odjeździe „Lewiatana”. Skończyli właśnie rozmowę, gdy weszła sekretarka i oświadczyła że Mr. Slavek chciałby się zobaczyć z Mr. Wilsonem.

Mr. Wilson obrzucił ją zakłopotanym spojrzeniem.

— No, wszystkiego bym się..... — wymamrotał.

— Powiedziałam mu, że pan ma konferencję — wtrąciła sekretarka — ale odpowiedział, że chętnie poczeka.

— Czy to ten chłopiec o którym opowiadał mi pan w swoim czasie? — zapytał mężczyzna o wojskowym wyglądzie i zgarnął swoje papiery.

— Ten sam — odparł Mr. Wilson.

— Myślałem, że zrezygnował już ze swoich zamiarów.

— Nigdy nie można wiedzieć — wtrącił sentecjonalnie Mr. Wilson.

Nieznajomy skierował się ku drzwiom.

— Jeżeli tym razem sprawa dojdzie do skutku, to chciałbym go zobaczyć — powiedział.

— Dobrze — doparł Mr. Wilson. — Niech pani poprosi Mr. Slavka — zwrócił się do sekretarki.

Gdy został sam w pokoju, podszedł do okna, spojrzął na port, a potem na zegarek.

— Mr. Slavek — zaanonsowała sekretarka.

— Słucham — powiedział Mr. Wilson, odwracając się od okna. Zmierzył Piotra badawczym spojrzeniem i dorzucił:

— Zdaje mi się, że lepiej będzie, jeżeli pan najpierw usiądzie i zapali papierosa, a potem dopiero wytłumaczy mi o co chodzi.

— Nic mi nie jest — powiedział Piotr. Wyglądał istotnie na bardzo podnieconego, chociaż na schodach zdążył sobie poprawić kołnierzyk i krawat. Wyczepił zęby w niespokojnym uśmiechu. — Przyszedłem z powrotem...

— Na tyle jeszcze wzrok mi dopisuje — zauważył Mr. Wilson.

— Zdawało mi się, że zobaczyłem pewnego znajomego. Ale mniejsza o to. I tak trudno by mi było panu wytłumaczyć...

— I co pan zamierza teraz robić? — zapytał Mr. Wilson po chwili.

— Chciałbym pana prosić... — zaczął Piotr. — Przypu z zam, że zgoda na mój wyjazd nie jest jeszcze przedawniona.

Przerwał mu długi, płaczliwy ryk syreny „Lewiatana”. Obaj zwrócili głowy w kierunku okna. Z kolei

nastąpiły trzy krótkie sygnały i szarawa smuga nad kominem zamieniła się w czarny i gęsty słup dymu. Mr. Wilson wystukiwał trzema zdrowymi palcami jakiś takt na parapecie okna.

— Wie pan, Mr. Slavek — powiedział nie odwracając głowy — wydaje mi się często, że ludziom pańskiego pokroju potrzeba jednej rzeczy: aby ich jakiś starszy pan rozłożył na kolana i spuścił solidne lanie.

Nie przestawał patrzeć na port i na „Lewiatana”, który z majestatyczną powolnością zaczął się oddalać od mola. Okręt ukazał się stopniowo cały, otoczony rojem maleńkich stateczków i szalup, które niby czarne cętki pokryły połyskującą powierzchnię wody.

— Kto mi to już kiedyś powiedział? — zastanawiał się Piotr. — Czy nie przeżywam aby tej sceny po raz drugi?

Nagle przypomniał sobie wszystko: Radicza siedzącego za biurkiem i dwie głowy pochylone nad zegarkiem, odmierzającym powolnym tykaniem czasu.

Mr. Wilson odwrócił się wreszcie od okna.

— Tak to bywa — powiedział, machnąwszy ręką w stronę portu i okrętu. — Teraz możemy się zająć pańską sprawą. Za parę dni powinien odejść transport...

Podszedł do półki i zaczął grzebać pomiędzy zwałami zakurzonych, szarych teczek.

— Niech pan sobie nie wyobraża — powiedział zmienionym głosem — że będzie pan miał okazję dokonania jakichś wiekopomnych czynów. — Wyjął teczkę z nazwiskiem Piotra. — Będzie pan prawdopodobnie kopał rowy, albo robił coś w tym rodzaju.

— Słyszałem — powiedział Piotr — że ludzi, którzy znają warunki lokalne, szkoli się do specjalnych zadań. Niektórzy nawet zrzucani są jako spadochroniarze...

— Romantyczny nonsens — przerwał Mr. Wilson i

usiadł z aktami Piotra za biurkiem. — Tak czy owak, zadecydują o tym odnośnie władze w kraju.

Rozłożył zawartość teczek na biurku i odnotował coś na jednym z dokumentów.

— Jak dotąd wszystko w porządku — powiedział po chwili. — Przedstawię pana teraz mojemu koledze. Powinno to panu ułatwić wiele rzeczy po przyjeździe.

— Kto to jest? — zapytał Piotr.

Ale Mr. Wilson znikł za drzwiami z aktami Piotra. Piotr czekał przez chwilę w głębokim fotelu skórzanym, po czym wstał i podszedł do okna. „Lewiatan” minął już molo i wypłynął na pełne morze. Zostawił w tyle rój małych stateczków, podobny do królowej rozpuszczającej za sobą tren sukni. Pióropusz dymu przegiął się w prawo i zamiatał morze jak na obrazku z nalepki bagażowej. Mewy zataczały szerokie kręgi nad jaśniejącym w słońcu pokładem.

Za plecami Piotra otworzyły się drzwi. — Może pan wejść — powiedział Mr. Wilson.

— Sądziłem, że Mr. Wilson będzie bardziej zaskoczony moim powrotem — pomyślał Piotr idąc w kierunku drzwi.



Tak to bywa. Piotr szedł wolno przez park i rzucał przyjazne spojrzenia ładnym guwernantkom, które go tak odpychały jeszcze tydzień temu. Ich oczy zdawały się nie pytać o nic więcej; migotał w nich błysk umocnienia i aprobaty.

Jakże spokojny był park o tej porze dnia! Zegary miejskie wydzwaniały porę kolacji. Gromadki zakurzonych i zmęczonych dzieci cisnęły się do bram. Cisza zapanowała tak nagle jak po hucznym przyjęciu, które opuścił ostatni gość. Opustoszały drzewa i krzaki, a po zniknięciu dziecinnych łódeczek dzikie kaczki objęły staw w niepodzielne władanie.

— Więc tak to bywa. Co by na to powiedziała Sonia? Co by powiedziała patrząc na jego rozmowę z Mr. Wilsonem, na wzbierającą w nim falę zgody i uległości? Oh, wiedział dobrze co by powiedziała. Mówiłaby długo o synowskim poszukiwaniu utraconego obrazu ojca, o tęsknocie za poświęceniem, o wyłgiwaniu się od obowiązków, o ucieczce...

O tak, wiedział dobrze o tym wszystkim, nie był już przecież taki głupi — ale jakby wytłumaczyła fakt, że uległ jednak wbrew tej świadomości? Tak, tak, Sonia miała rację, ale cała ta jej logika nie zaczęła ani trochę o to doznanie najwyższego spokoju, jaki zdaje się promieniować ze źródła, którego nie była w stanie dojrzeć, ze źródła które wytryska z najgłębszych pokładów naszej jaźni. Potrafiłaby na pewno dowieść, że wszystkie jego przesłanki były fałszywe; ale może w tych rejonach ducha prawda musi się zawsze opierać na fałszywych przesłankach? A jeżeli i to nazwałaby postawą neurotyczną, to Bóg z nią, niech i tak będzie. Może zdarza się często, że źródło tego promieniowania, natrafiwszy na zapory we wszystkich głównych ujściach, musi siłą torować sobie drogę poprzez kręte i niepewne przesmyki.

W parku zmrok. Palmy pochyliły swoje korony na powitanie wieczornego wiatru. Wokoło była cisza i tylko żwir chrząścił miarowo pod nogami Piotra.

W skrzyśconej podagrą ręce Mr. Wilsona nie tkwi napewno żagiew nowej epoki. Jest on raczej pogrobowcem dziewiętnastego wieku, tego wieku, który tak zgryźliwie opisał Bernard. Ludzi tego typu wyśmiewają karykaturzyści nawet w gazetach jego własnej ojczyzny. Ludzi, którzy są posłuszni wyświechtanej hierarchii, ludzi których cnoty są zmurszałe, których siła jest siłą inercji. W dynamicznym rozwoju historii są raczej hamulcem niż motorem. Ale gdy motor się przegrzewa, gdy zaczyna jak oszalały pędzić przed siebie, potrzeba także hamulców.

A jeśli ktoś widział Niepotrzebnych Żydów wchodzących do komory gazowej w imię koncepcji dynamicznej, jeśli ktoś widział lancet i strzykawkę rewolucji biologicznej przy pracy — to cóż mu pozostaje innego jak wstąpić do ligi anty-wiwiseksyjnej na przekór jej problematycznemu statutowi i wbrew jej przyziemnemu programowi?

Tak, uległ z otwartymi oczyma, uległ bardziej „na przekór” niż „z powodu”. I tak powinno być. Kto chce wierzyć, ten nie powinien pytać dla czego — owo „z powodu” musi się dlań stać czymś danym, czymś poza dyskusją.

Kto wierzy „z powodu” nie obroni się nigdy przed rozczarowaniami. Nie poczuje nigdy twardego gruntu pod nogami. Ale kto uwierzy na przekór zastrzeżeniom, na przekór niedoskonałościom i błędom — nie zazna słabości.

I tym się różniła jego pierwsza krucjata, którą przegrał na tapczanie Soni, od drugiej, na którą wyruszał teraz. Wówczas chciał iść nie wiedząc dlaczego. Teraz wiedział już dlaczego, ale wiedział również, że nie to jest najważniejsze. Jak jądro otoczone skorupą: skorupa pękła, a jądro pozostało nietknięte, niedosiężne już dla działania przyczyn i skutków.

Przypomniawszy sobie sen jaki miał owej nocy, po spotkaniu Andrew. To była noc decyzji, noc zwycięstwa człowieka w kolczudze, niosącego niewidzialny krzyż. Krzyż utonął w ciemnościach, utracił swój zarys i kształt; ale choć niewidzialny i niedotykalny, istniał przecież na pewno, tkwił w pustych uchwytach niosących go dłoni.

13.

Rzeczy Piotra pojechały na „Lewiatanie”, ale udało mu się jeszcze wydostać z biura agencji klucz od mieszkania. Ostatnie dwa dni pobytu w Neutralii spędził na pisaniu noweli, którą zatytułował „Sąd Ostateczny”.

SĄD OSTATECZNY

Rozedrgany dźwięk gongu odezwał się trzy razy i rozplynął się koncentrycznymi kręgami w ciemnościach. Jakiś głos obwieścił:

— Panowie, Sąd Ostateczny.

Oskarżeni ziewnęli i zajęli miejsca w ciasnych wagonach. Mała lokomotywa gwizdnęła i pociąg ruszył. Był to pociąg Kolei Scenicznych, i powiózł ich przez ciemny wijący się tunel. Po obu stronach ciągnęły się jasno oświetlone groty, poprzdzielane szklanymi płytami, jak na wystawach sklepowych. Za szkłem pomyślowe figurynki, żywcem jak gdyby wyjęte z zegara średniowiecznego, odgrywały sceny z życia oskarżonych. Sceny zrazu niewinne, stawały się sprostne i odpychające w miarę jak tunel wwiercał się coraz głębiej w ziemię; a monotonne podrygi pozytywek, powtarzających te same ciągle ruchy, potęgowały jeszcze uczucie grozy i bezwstydu. Nagle kukielki zaczęły tracić ludzkie kształty. Kosmate, małpiaste, uzbrojone w maczugi stwory mordowały, grabiły, biły się i tańczyły za szkłem w uroczystym milczeniu. W pociągu słychać było płacz i jęki. Krzyki i dychawiczne westchnienia oskarżonych wypełniły parne powietrze tunelu. Niektórzy oskarżeni próbowali przymknąć oczy, ale oślepiające światło grot przebijało powieki i zmuszało ich siłą do patrzenia.

Po pewnym czasie pociąg się zatrzymał i pasażerowie wyszli na peron przed katedrą. Przez otwarte drzwi katedry widać było kolegium sędziowskie które zgromadziło się w drugim końcu nawy. W osnutym mrokiem wnętrzu przewalał się potężny grzmot organów. Weszli do katedry gęsiego i muzyka ucichła. Przechodząc przez nawę główną, oskarżeni zobaczyli w ławkach duże audytorium. Wszystkie tyły głów były takie same, ale żaden z oskarżonych nie mógł odwrócić się, aby spojrzeć w ich twarze. Sędziowie i przysięgli zaś cofali się stopniowo w głąb, ukrywając również swe twarze.

Tymczasem zaczęła się rozprawa przeciwko pierwszemu oskarżonemu. Przed sądem stanął wychudły, zgarbiony człowiek.

— Jak się czujesz? — zapytał sędzia strasznym głosem, który rozległ się głośnie echem w całej katedrze.

— Pelen jestem pokory, Panie — odpowiedział oskarżony. Ale głos wychudłego człowieka był nikły i zamarł w powietrzu bez oddźwięku, aby zaraz potem runąć z przetrąconymi skrzydłami do jego stóp.

— Złe echo — zaryczał Sędza. — Ale mów dalej.

— Rozdał swój majątek biednym — oświadczył Obrońca. Twarzą przypominał oskarżonego, ale ciało miał tęższe, a w głosie więcej pewności siebie.

— Coś dziś jadł na obiad — zaryczał Sędzia.

— Szklanek mleka i kromkę chleba — odparł oskarżony.

Zerwał się Prokurator. I on podobny był do oskarżonego, choć miał twarz bardziej jeszcze wynędzniałą, a głosem smagał jak biczem.

— W Chinach umarło dziecko z głodu w tym czasie, gdy on żłopał mleko i żarł chleb — wykrzyknął.

— Skazany! — zaryczał Sędzia, a audytorium zawtórowało przejętymi zgрозą głosami:

— Skazany, skazany.

Oskarżony wyszedł wolno z katedry, usiadł na swoim dawnym miejscu w pociągu i ukrył twarz w dłoniach.

Następny oskarżony miał jowialną, prostoduszną twarz i duży brzuch.

Szedł rozpromieniony, a gdy się zbliżył do stołu, konsylium obrońców zmieniło wygląd. Znowu przypominali obaj oskarżonego — jeden wyglądał nawet jeszcze bardziej prostodusznie i miał znacznie większy brzuch.

— A ty, coś jadł dzisiaj na obiad? — zaryczał Sędzia.

— Panie, — odpowiedział oskarżony — myślę, że nie było rzeczą głupią zjeść kawałek świeżego łosia,

jako że rozpoczął się na nie właściwie sezon — i zapie go buteleczką białego wina, aby mógł sobie pływać swobodnie i cieszyć się chłodem.

— Dość — zaryczał Sędzia. — Głos ma Obrona.

— Co za zmysł trawienia — skinął poważnie głową obrońca i zaplótł ręce na brzuchu. — O co jest oskarżony?

Sędzia zwrócił się w stronę oskarżyciela. Ale miejsce Prokuratora było puste.

— Uniewinniony z braku oskarżenia — zaryczał, a widownia powtórzyła radośnie:

— Uniewinniony, uniewinniony.

Oskarżony skłonił się z godnością, wyszedł z katedry usiadł na swoim dawnym miejscu w pociągu i natychmiast usnął.

Zbliżył się następny oskarżony i Konsylium obrońców przeobraziło się znowu na jego podobieństwo. Wyglądał śmiało i zachowato, i gdy tylko stanął przed Sądem, Prokurator zerwał się z miejsca:

— Oskarżam tego człowieka, — oświadczył tagodnym, anielskim głosem — o morderstwo, podpalenie i zdradę.

— Przyznajemy się z dumą do winy. — wykrzyknął obrońca. — Uczyniliśmy to wszystko dla dobra sprawy.

— Słuchał naszego głosu tylko we śnie — użał się Prokurator.

— Był nam zawsze posłuszny na jawie — chętnie się obrońca.

— Gdziekolwiek stąpnął, rozsiewał zło — skarżył się Prokurator bijąc się w piersi.

— Aby dobro wydało plon we właściwym czasie — krzyknął obrońca.

— Widziałeś żniwa? — zaryczał Sędzia.

— Jeszcze nie — odpowiedział oskarżony. — Ale...

— Skazany z braku dowodów! — zaryczał Sędzia.

Widownia odpowiedziała echem, a oskarżony, uśmiechnąwszy się zuchwale, wrócił do pociągu.

Do stołu sędziowskiego zbliżył się teraz następny oskarżony. Był bardzo stary, podpierał się sękatym kijem i idąc, rozsiewał w katedrze głuche milczenie. Nieczuły zupełnie na otoczenie pochylił głowę i zdawał się wstuchiwać w jakiś tajemniczy, sobie tylko znany dźwięk. Ale w katedrze zapanowała teraz tak głęboka cisza, że i inni go posłyszeli. Dziwny, wątki dźwięk to marł, to się wzmagał, jak gdyby przekręcał ktoś klucz w starym klawikordzie.

— Co on robi? — zapytał Sędzia.

— Stroi swoje serce — odpowiedział obrońca.

— A gdzież ma pokrętło strojeniowe — zaproponował Sędzia.

— Próbuje dopasować je do klucza niebieskiego — wyjaśnił obrońca. — Jeżeli mu się uda, to jego istota rozszerzy się i rozplynie w duchu wszechświata.

Zerwał się Prokurator. Był teraz starszy nawet od oskarżonego, a jego bezkrywe wargi wykrzywił grymas goryczy i rozczarowania.

— Oskarżam tego człowieka — powiedział znużonym głosem — o współudział we wszystkich morderstwach i zbrodniach teraźniejszości, przeszłości i przyszłości.

— Nie zabił w swoim życiu nawet muchy — oświadczył obrońca.

— Muchy których nie zabił stały się rozsądnikami zarazy w całym kraju — odparował Prokurator.

— Spójrzcie na niego i posłuchajcie — szepnął obrońca.

Starzec podniósł głowę, a jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech ślepego. Sędzia i audytorium wyteżyli słuch, ale drżenie strun przestroїło się teraz na tak wysoki ton, że nikt nie wiedział czy słyszy prawdziwy dźwięk, czy tylko dzwonięcie we własnych uszach.

— Skazany wobec licznych wątpliwości — oświadczył Sędzia. Audytorium odpowiedziało echem, a na twarzy oskarżonego zgasł uśmiech. Zwiesił na powrót głowę i powlókł się, kulejąc do pociągu.

Sąd obradował całą noc i oskarżeni podchodzili kolejno do stołu: Jedni trzęsąc się ze strachu, inni z udawaną gorliwością, jeszcze inni z pełną pokory uległością, a niektórzy z podniesionymi brwiami i skurczonymi twarzami; i choć Prokurator mówił na ogół szeptem, większość wracała do pociągu z wyrokiem skazującym. Jedni za to, że doszli do prawdy po fałszywych tropach, inni za to, że oparli fałsz na prawdziwych przesłankach. Byli tacy, co umartwiali swoje ciała, ale mieli nie dość głębokie pręgi po samobiczowaniu; byli i tacy, co zażywali rozkoszy ciała, ale ich radość uznano za niewystarczającą. Niektórych ukarano za to, że wydawali rozkazy, innych za to, że ich słuchali. Jednych za przywiązanie do życia, innych za pogardzanie nim w imię niesłusznej sprawy. Zbolałych karano za bóle, zdrowych za zdrowie. Po ogłoszeniu wyroku, skazani wracali na swoje dawne miejsca w pociągu. W ogonku pozostał teraz tylko jeden młody człowiek z nieśmiałą twarzą. Poprzez pustą nawę zbliżył się do stołu sędziowskiego.

— Co to za jeden? — zaryczał Prokurator.

— Krzyżowiec, który zgubił krzyż — oświadczył Prokurator.

— Krzyżowiec w poszukiwaniu krzyża — sprostował Obrońca.

— Nie możemy go zaopatrzyć w krzyż — zaryczał Sędzia — uprościłoby to zbyt sprawę.

— Uprościłoby, Panie? — zapytał z gorącością w głosie Obrońca. — Spójrz, Panie, na to chrześzczące żelastwo, którym Oskarżenie obciążyło jego pierś.

— Musieliśmy stworzyć przeciwwagę dla jego lot-

nego umysłu — powiedział Prokurator. — Obrona wdmuchnęła mu zbyt wiele baniek do mózgu.

— Jakżeż ma pływać z całym tym obciążeniem — skarżył się obrońca.

— Każda rzecz ma swój czas: raz się pływa, a raz tonie — zauważył zniecierpliwiony Sędzia. Czekają nań jeszcze tej nocy inne sprawy.

— We właściwym czasie, czy nie, większość moich klientów pływa — odpowiedział żywo obrońca.

— Tylko ci, którzy toną będą zbawieni — oświadczył Prokurator.

— Dość — powiedział Sędzia. Zwrócił się do oskarżonego:

— Dopóki ci dwaj się nie pogodzą, nie zaznasz spokoju. Oto wyrok: Czyścić na próbę.

— Na próbę! — zawtórowało echem audytorium.

— Ale ja już byłem w Czyścicu — bronił się pokornie młody człowiek. — Nic nie szkodzi — powiedział Sędzia — próba niektórych ludzi trwa całe życie.

— Całe życie! — odpowiedziało echem audytorium.

— Są wiecznymi młodzieńcami, w których rodzaj ludzki dojrzewa.

— Dojrzewa, dojrzewa, dojrzewa! — śpiewały senne głosy audytorium.

— Posiedzenia na dzisiaj skończone — powiedział Sędzia, i Trybunał wstał z miejsc. Młody człowiek odwrócił się i idąc wzdłuż nawy ku drzwiom, zauważył po raz pierwszy, że nie tylko Prokurator i obrońca, ale i wszyscy ludzie z widowni przeobrazili się teraz na jego obraz i podobieństwo. Serce skurczyła mu rozpacz.

— Czy jestem sam? — zapytał.

Audytorium odpowiedziało:

— Nie ma nikogo więcej pod tą kopułą.

Gdy zajęli wszyscy miejsca w wagonach, lokomotywa gwizdnęła i pociąg ruszył w tym samym kierunku, z którego przyszedł. Groty wygasły, tunel wypeł-

niło szare światło świtu, a pasażerowie spali. Młody człowiek trącił łokciem sąsiada.

— Co to za dziwny Trybunał? — zapytał.

— Czemu dziwny? Najwyższy Trybunał — odpowiedział sąsiad. — Nie byłeś tu jeszcze nigdy?

— Nie — powiedział młody człowiek. — Czy tu się wraca?

— Co noc — odparł sennie zagadnięty.

— Za każdym razem sądzą od nowa?

— Za każdym razem jest Sąd Ostateczny — odpowiedział sąsiad i usnął.

Ale po chwili młody człowiek obudził go znowu.

— Jak to jest — zapytał — wszyscy ci ludzie wracają tutaj co noc tym samym pociągiem?

— A jakżeś myślał? — zapytał sąsiad.

— Ale przecież niektórzy zostali skazani, niektórzy uniewinnieni, a niektórzy zesłani na próbę... Czyżby to wszystko nie miało znaczenia?

— Bo co? — ziewnął sąsiad.

— Bo jeśli nie ma znaczenia, to czemu miałbym się poddawać wyrokowi?

— Nie zapominaj, że to jest Sąd Ostateczny — odpowiedział sąsiad i zasnął znowu.



Po pewnym czasie pociąg wynurzył się z tunelu i stanął. Pasażerowie przeciągnęli się, wyszli z wagonów i nie oglądając się za siebie, rozeszli się szybko we wszystkich kierunkach. Poranek był mglisty i chłodny. Ludzie spieszyli do pracy lub na spoczynek. Zdawali się nie pamiętać, że w nocy spotkają się znowu w pociągu.

CZĘŚĆ PIĄTA

ODJAZD.

...Ach, dla niektórych nie być męczennikiem, to właśnie męczeństwo!...

DONNE

I.

Samochód z zaćmionymi światłami podjechał do bramy lotniska. Z budki wyszedł wartownik, oświetlił latarką kabinę i rozpoznawszy oficera, siedzącego obok Piotra, zasalutował. Nie sprawdzał tożsamości Piotra. Żelazna brama otworzyła się i zamknęła za nimi bezgłośnie. Przejechali jeszcze jakieś pół mili, minęli parę zaciemnionych, posępnych domków i zatrzymali się przed niskim, betonowym budynkiem o dachu, krytym karbowaną blachą.

— No, jesteśmy na miejscu — powiedział oficer, wysiadając z samochodu. Było to pierwsze zdanie, jakie wypowiedział od dwudziestu minut, to znaczy od chwili, gdy zarzucili ostatecznie jedyną próbę nawiązania rozmowy.

Piotr wysiadł za nim. Mżył drobny deszczyk, a dokoła nich panowała zupełna ciemność, którą przerywało tylko ciche bzykanie samolotu, szybującego prawdopodobnie gdzieś wysoko, ponad chmurami. Oficer otworzył drzwi budynku. Weszli do pokoju, w którym były dwa zniszczone fotele skórzane, stół pokryty zie-

lonym suknem i zarzucony ilustrowanymi magazynami o poszarpanych okładkach, szachownica i dwie książki z biblioteczki polowej. Zobaczył jeszcze parę pokręconych krzeseł, żelazny piecyk i lampę stołową, osłoniętą papierowym, przepalonym w kilku miejscach, abażurem.

— Niech pan się rozgości — powiedział oficer i znikł za drzwiami sąsiedniego pokoju, z którego dochodził dźwięk kul bilardowych. Piotr usiadł w fotelu i otworzył jeden z magazynów. Czytał nagłówki i podpisy, nie kojarząc ich zupełnie z ilustracjami. Reklama gorsetów damskich zaopatrzona w rysunek długich nóg w jedwabnych pończochach i zadartych do góry główek kobiecych przypominała mu Odette, ale tylko na chwilę. Wydawało mu się że siedzi w poczekalni szpitalnej, a w sercu i w pęcherzu czuł dziwny niepokój. Oficer wrócił teraz do pokoju w towarzystwie jakiegoś młodego człowieka.

— Oto pański pilot — powiedział i odwrócił się do kolegi: — a to jest twój pasażer.

Ucisnęli sobie dłonie i nowoprzybyły obrzucił Piotra spojrzeniem, pełnym tajonej ciekawości. Był mniej więcej w wieku Piotra. Jego szczupła pociągła twarz przywodziła raczej na myśl urzędnika bankowego, lub buchaltera, ale w ruchach przejawiał jakąś żywość, graniczącą prawie z zarozumiałością. Bluzę miał niedopiętą, a w ręku trzymał krótką fajkę, którą natychmiast po przedstawieniu się włożył z powrotem między zęby.

— Sprawdzają już motor — powiedział. — Pójdziemy na start za jakieś pół godziny.

Piotr skinął głową. Nie mógł wykrztusić ani słowa. Obaj oficerowie stali jeszcze przez chwilę z wyrazem niezdecydowania w twarzach, wreszcie odeszli w kąt i rozpoczęli rozmowę o sprawach służbowych, nie zwracając już nań zupełnie uwagi. Piotr wiedział, że ich

napła rzeczowość wynika z poczucia taktu, ale wydało mu się jednocześnie, że trochę przesadzają. Poprzednie skojarzenie szpitalne wzmogło się w nim znowu wraz ze wszystkimi objawami fizycznymi. Przypomniawszy sobie dzień, w którym operowano mu ślepą ki:zkę. Leżał na noszach i czekał aż go przeniosą na stół operacyjny. Grupa w bieli, złożona z doktora i sióstr, była tak bez reszty pochłonięta myciem rąk i rozmową, jak gdyby całym swym zachowaniem chciała zadokumentować, że chodzi tu tylko o sprawę codzienną i mało naprawdę ważną. I teraz, tak jak wówczas, wołałby aby nie wahano się okazać mu choć trochę ciepła i życzliwości — zamiast zachowywać się tak, jak gdyby on, główny ostatecznie w tej sprawie zainteresowany, był jedyną osobą, która nie ma z tym wszystkim nic wspólnego.

Obaj oficerowie wyszli teraz z pokoju i Piotr został sam. Z przyległej izby dochodziły odgłosy gry w ping-ponga. Dźwięk celuloidowej piłeczki, która uderzała rytmicznie o stół, miał w sobie coś z tępej monotonii wody kapiącej z niedokręconego kranu.

Do pokoju weszła jakaś dziewczyna w niebieskim mundurze i o bladej, nadąsanej twarzy. Postawiła przed nim filiżankę herbaty.

— Z cukrem? — zapytała.

— Proszę — odpowiedział, zaskoczony nagle głębokim brzmieniem swego głosu. Zacerpnęła łyżeczkę cukru z puszki, i Piotr zauważył, że ziarenka pozlepiały się w żółtawe sople od ciągłego zanurzania mokrej łyżeczki. Miał ochotę porozmawiać z nią chwilę, ale nie wiedział od czego zacząć. Spojrzał na jej niezgrabne nogi w szarych, bawełnianych pończochach. Postawiła herbatę na zielonym suknie stołu i wyszła z pokoju, nie spojrzawszy na niego nawet. Czy to dyskrekcja — zastanawiał się — wywołana poufnym charakterem mojej misji, czy może instynkt, nakazujący odwracać

oczy od ludzi chorych? Przypomniawszy sobie jak w czasie spacerów na dziedzińcu więziennym starali się wszyscy nie patrzeć w kierunku celi skazańców. Spróbował herbatę; była za słodka, ale gorąca i wypił chętnie całą filiżankę. Wypiłby jeszcze i drugą, ale nie śmiał wejść do sąsiedniego pokoju. Wyjął z kieszeni list, który zaczął pisać dziś rano. Jeżeli nie dokończy go teraz, to list nie dotrze już nigdy do miejsca przeznaczenia.

— ...*Tak więc, Odette, nie będzie ciągu dalszego.*

Papier położony na zielonym suknie uginał się miękko pod ołówkiem. Podłożył więc sobie pod list magazyn z reklamą gorsetów.

Do dziś nie wiem, czy człowiek, który pojawił się w okrągłym otworze kajuty przypominał naprawdę Ossiego, czy było to tylko przewidzenie. Ale to nieważne. Gdyby się nie pojawił ten obraz w lustrze, stałoby się na pewno coś innego. Gdyby nie Andrew wypowiedział to zdanie na które czekałem, powiedziałby je ktoś inny. Takie znaki są odbiciem ukrytego przeznaczenia ludzkiego. Sonia powiedziała kiedyś, że istnieje geometria losu, która liniom prostym każe przecinać równoległe zawsze pod tym samym kątem.

Wiem teraz, że kochałem cię, i że będę Cię kochał zawsze. Wiem również, że Twoje powikłania życiowe nie były rzeczą przypadku. Byliśmy pijanymi dziećmi we mgle.

Dziś odlatuję po stycznej do tej krętej ścieżki. Nie wiele mam złudzeń co do motywów, które mną kierują, i co do sprawy której służę. W dzieciństwie rozwiązywałem często dziwną zagadkę. Był to kawałek papieru, pokryty płataniną czerwonych i niebieskich linii. Na pierwszy rzut oka nie można było nic zrozumieć. Ale wystarczyło nałożyć nań skrawek przezroczystej czerwonej bibułki, aby czerwone linie rysunku znikły nagle, a niebieskie utworzyły obraz clowna trzymającego obręcz, i małego pieska, przeskakującego przez nią

z rozpędu. A gdy się nakładało na ten sam rysunek niebieską bibułkę, pojawiał się ryczący lew, który gonił clowna dookoła areny cyrkowej. To samo można zrobić z każdym śmiertelnym stworzeniem, żywym czy umarłym. Możesz patrzeć na ludzi przez bibułkę Soni i napisać biografię Napoleona w kategoriach funkcjonowania jego gruczołów wewnętrznego wydzielania. Fakt, że przypadkowo podbił Europę ukaże ci się wówczas jedynie jako symptom działania tych dwóch małych galek, wielkości ziarnka grochu. Możesz wyjaśnić wszystkie Proroctwa jako produkt szalu epiletycznego, a Madonnę Sykstyńską jako projekcję snu kazirodczego. I taka metoda jest poprawna, i taka metoda daje wyczerpujący obraz. Ale strzeż się zarozumialców, którzy twierdzą, że jest ona jedyna. Obraz jaki zobaczysz przez niebieską bibułkę będzie nie mniej prawdziwy i wierny. I clown i lew istnieją obok siebie, przeplatają się w tym samym wzorze.

Ale może przesadzam mówiąc, że oba te obrazy są równie wyczerpujące. Od czasów Odrodzenia czerwona bibułka naszego myślenia naukowego osiągnęła większą doskonałość niż niebieska bibułka naszej intuicji i zasad etycznych. Na przestrzeni ostatnich czterech stuleci pierwsza czyniła ciągle postępy, druga chyliła się systematycznie do upadu. A wcześniej, w wieku Gotyku, szale wagi poruszały się w odwrotnych kierunkach; i wierzę, że ten proces znowu się odwróci. Wiek eksperymentów, o którym mówił Bernard, może potrwać jeszcze parę dziesięcioleci i spowodować jeszcze parę kataklizmów. Od dawna już wszystkie kierunki filozoficzne i wielkie ruchy polityczne ostatnich stuleci rozpadają się w gruzy. Wszystkie wysiłki odrodzenia ich kończą się klęską. Ratunek nie przyjdzie od strony doskonałej formuły laboratoryjnej. Wiek miar ilościowych dobiega do końca...

Drzwi sąsiedniego pokoju uchyliły się i ukazała się w nich głowa młodego pilota.

— Będziemy gotowi za dziesięć minut — powiedział. — Czy pan gotów?

Piotr skinął głową. Z przyległego pokoju dochodziła jakaś wesola rozmowa i miarowy stukot piłeczek ping-pongowych. Drzwi zamknęły się znowu. Piotr pisał w pośpiechu:

Powiem Ci w co wierzę, Odette. Zbliża się czas narodzin nowego boga. Takie rzeczy mówi się tylko w wyjątkowych chwilach; ale dla mnie taka chwila już nadeszła, bo za parę minut wyjeżdżam.

Módl się do tego nienarodzonego boga, Odette. Nie próbuj wyobrazić sobie co powie, lub jak będzie wyglądał jego kult — to są rzeczy, które przyjdą po nas. Mistycy dnia dzisiejszego są równie banalni jak reformatorzy polityczni. Bo my jesteśmy ostatnimi potomkami Człowieka Renesansu, jesteśmy końcem, a nie początkiem...”

Drzwi otworzyły się znowu. Twarz pilota była teraz bardziej skupiona, a jego chód znacznie energiczniejszy.

— No, już czas, młody człowieku — powiedział pogodnie.

2.

— Już czas — pomyślał młody człowiek i podawszy całe ciało niezgrabnym ruchem do przodu — skończył.

Spadał z kolanami przyciśniętymi do brzucha. Koziółkując w gwizdzącym strumieniu powietrza. Nagle jego ciało natrafiło na pas próżni, wyprostowało się łukiem nurka, wystrzeliło spiralnie meteoorycznym błyskiem i zgasło prując bezgłośnie atmosferę.

Przez ułamek sekundy wydawało mu się, że spada

do góry, oddala się od ziemi. Wyciągnął rękę, aby uchwycić się jeszcze latającej tratwy, ale było już za późno. Pociągnął więc za linkę zwalniającą. Usłyszał łomot nad głową. Ogromny kwiat rozpękł się i rozwinął pomiędzy nim a gwiazdami. Poczul tępe uderzenie pomiędzy udami, jak wówczas, gdy skoczywszy z pokładu „Speranzy”, uderzył rozkroczem o ciemną powierzchnię morza. Ciało targnięte gwałtownie zeszywniało, a w chwilę potem obłuźniło się znowu. Wyprostował się i zawisł nieruchomo na czarnej powale nieba.

Spojrzał w dół, na milczącą ziemię. Ani śladu życia, ani śladu domu, ani śladu drzew, odcinających ciemnymi sylwetkami na tle szaro-światlistych skał. Martwe wzgórza wyglądały jak wygasłe kratery na księżycu.

Spojrzał do góry gdzie wielki, szary kwiat rozchylił już w powietrzu swoje płatki. Cały firmament był w ruchu. Nieboskłon przechylił się w jedną stronę, zatrzymał się na chwilę i wrócił wolno na swoje miejsce. Skulony, huśtał się na cicho spadającym kwiecie. Tak oto, jako dziecko, siedział kiedyś na starej huśtawce pomiędzy dwoma drzewami w ogrodzie matki. Limonki skrzypiały na grubych gałęziach, a on bujał się w przód i w tył, marząc o wielkich dziełach, których dokonał w życiu. Nie było teraz nikogo, kto mógłby mu powieścić czy przegrał czy wygrał, nie było skali, którą można by było zmierzyć wartość jego czynów. Pozostawało mu tylko wierzyć, że jego odjazd przybliży chociaż trochę nadejście zdarzeń, o których wolno człowiekowi mówić jedynie w wyjątkowych chwilach. Nie teraz zaś nastąpiła owa chwila.

Bo inne pochłaniały go myśli, gdy kołysząc się jak liść na wietrze, spadał owej nocy na ziemię wśród migających obojętnie gwiazd.

Lipiec 1942 — lipiec 1943.



